



ANATOLE FRANCE

---

**W cieniu więzów**

ANATOL FRANCE

# *W cieniu wiązków*

TŁUM. JAN STEN

## I

Salon, w którym odbywały się oficjalne przyjęcia kardynała arcybiskupa, był przyozdobiony za Ludwika XV<sup>1</sup> bogatą rzeźbą w drzewie, malowaną na kolor jasnopopielaty. Postacie kobiece siedzące wśród alegorycznych ornamentów zdobiły kąty sufitu. Na kominku lustro, złożone z dwóch części, pokryte było u dołu draperią z purpurowego aksamitu, na którego tle wynurzała się niepokalanej białości, przepasana błękitną szarfą statua Najświętszej Panny

---

<sup>1</sup>Ludwik XV (1710–1774; fr. *Louis XV de France*) — król Francji w latach 1715–1774. [przypis edytorski]

z Lourdes. Na ścianach rozwieszono były emaliowane medale w zielonych pluszowych ramach, oleodrukowe portrety papieży Piusa IX<sup>2</sup> i Leona XIII<sup>3</sup> oraz hafty przywiezione jako pamiątki z Rzymu przez pobożne damy diecezji. Na złożonych konsolach stały gipsowe modele gotyckich i romańskich kościołów: kardynał arcybiskup kochał się w budowlach. Z rokokowego stropu zwieszał się świecznik w stylu epoki Merowingów<sup>4</sup>, wykonany według planów pana Quatrebarbe, architekta diecezji, kawalera orderu Świętego Grzegorza.

Jego Eminencja, unosząc sutannę i wygrzewając przed kominkiem krótkie i tęgie łydki w purpurowych pończochach, dyktował list pa-

---

<sup>2</sup>*Pius IX*, właśc. *Giovanni Maria Mastai Ferretti* (1792–1878) — papież w latach 1846–1878; inicjator I Soboru Watykańskiego, promotor dogmatu o niepokalanym poczęciu Najświętszej Maryi Panny oraz dogmatu o nieomyślności papieża. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*Leon XIII*, właśc. *Gioacchino Vincenzo Raphaelo Luigi Pecci* (1810–1903) — papież w latach 1878–1903, uważany za pierwszego nowoczesnego papieża, dążącego do dialogu Kościoła z współczesnym światem. W 1883 r. udostępnił naukowcom tajne archiwa Watykanu; wypowiedział się przychylnie o demokracji. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*Merowingowie* (fr. *Mérovingiens*) — dynastia władców frankijskich w V–VIII w. [przypis edytorski]

sterski do księży swej diecezji; ksiądz de Goulet, wikariusz generalny, przy wielkim stole z szylkretu i brązu, nad którym zwieszał się piękny krucyfiks ze słoniowej kości, pisał: „Aby nic w duszach naszych nie mąciło radości Karmelu...”

Jego Eminencja dyktował głosem suchym, bez namaszczenia. Był to człowiek mały, prosto trzymający swą wielką głowę i twarz kwadratową, o policzkach z wiekiem obwisłych. Twarz ta, o rysach pospolitych i gminnych, wyrażała spryt i pewną godność nabytą z przyzwyczajenia i zamiłowania do rządów.

— „...radości Karmelu...” Tu ksiądz rozwinie idee zgody, pojednania umysłów, uległości dla ustanowionej władzy, które wyraziłem już w poprzednich mych listach.

Ksiądz de Goulet uniósł swą długą, bladą i rozumną twarz, okoloną bujnymi włosami w puklach niby peruką z czasów Ludwika XIV<sup>5</sup>.

---

<sup>5</sup>Ludwik XIV (1638–1715; fr. *Louis XIV de France*) — król Francji w latach 1643–1715; nazywany Królem Słońce. [przypis edytorski]

— Czy tym razem nie należałoby, ponawiając te zalecenia, zachować powściągliwości, jakiej wymaga położenie rządu, wstrząśniętego wewnętrznymi kryzysami i niezdolnego do zapewnienia zawartym sojuszom tego, czego sam nie ma; chcę powiedzieć: ciągłości i trwałości? Bo Jego Eminencja nie może nie wiedzieć, że upadek parlamentaryzmu...

Kardynał arcybiskup potrząsnął głową:

— Bez zastrzeżeń, księżę de Goulet, bez jakichkolwiek zastrzeżeń! Pełen jesteś wiedzy i pobożności, księżę de Goulet, ale twój stary pasterz może ci jeszcze dać parę lekcji przeczności, zanim umierając złoży zarząd diecezji w twe młode, energiczne dłonie. Czyż nie mamy powodu do zadowolenia z pana prefekta Worms-Clavelin, który przychylnie patrzy na nasze szkoły i zakłady? Czyż nie podejmujemy jutro za naszym stołem generała dowodzącego dywizją i pana prezesa sądu? Ale co się tyczy obiadu, proszę pokazać mi, księżę, spis potraw.

Kardynał arcybiskup przejrzał spis, poprawił go, uzupełnił i zalecił, by zwierzyńcę kupiono u Rivoire'a, dostawcy prefektury.

W tej chwili wszedł lokaj i podał kardynałowi na srebrnej tacy bilet wizytowy.

Eminencja przeczytał na karcie nazwisko księdza Lantaigne, rektora seminarium, i zwracając się do swego wikariusza generalnego rzekł:

— Założę się, że ksiądz Lantaigne znów przychodzi skarżyć się przede mną na księdza Guitrel.

Ksiądz de Goulet wstał chcąc wyjść z salonu, ale kardynał zatrzymał go.

— Zostań! Chcę, by ksiądz miał wraz ze mną przyjemność wysłuchania księdza Lantaigne, który uchodzi, jak wiesz, za pierwszego kaznodzieję w diecezji. Jeśli wierzyć głosowi opinii, kazania jego przewyższałyby nawet twoje, księżo Goulet. Nie jest to zresztą moje zdanie. Między nami mówiąc, nie cenię ani jego napuszonej wymowy, ani zagmatwanej wiedzy. Jest straszliwie nudny, więc zatrzymuję cię, żebyś mi pomógł pozbyć się go jak najprędzej.

Ksiądz wysokiego wzrostu, barczysty, poważny, bardzo skromny, o spojrzeniu skupionym, wszedł do salonu i uklonił się. Na jego widok kardynał zawołał radośnie:

— Ach, dzień dobry, księżu Lantaigne! W chwili gdy kazałeś się oznajmić, mówiliśmy o tobie. Mówiliśmy, że jesteś najznamienitszym mówcą w diecezji i że twoje kazania wielkopostne wygłoszone u Świętego Eksuperego świadczą zaszczytnie o twym wielkim talencie i wielkiej wiedzy.

Ksiądz Lantaigne zarumienił się. Był czuły na pochwały; tylko przez furtkę pychy szatan mógł wcisnąć się do jego duszy.

— Eminencjo — rzekł i twarz jego rozjaśniła się uśmiechem, który wszakże znikł szybko. — Pochwała z ust Jego Eminencji napętnia mnie głęboką radością i szczęśliwie ułatwia rozpoczęcie rozmowy bardzo przykrej dla mnie. Bo z żalem musi rektor seminarium podać skargę ojcowskiemu uchu Jego Eminencji.

Kardynał przerwał:

— Powiedz mi, księżę Lantaigne, czy wielkopostne twoje kazania zostały wydrukowane?

— Sprawozdanie z nich podano w diecezjalnym tygodniku kościelnym. Wzruszony jestem zainteresowaniem, jakim Jego Eminencja zaszczyca moje prace apostolskie. Och! Już od dawna przemawiam z ambony. W 1880 odstąpiłem kazania, gdy miewałem ich za dużo, księdzu Roquette, teraz wyniesionemu na tron biskupi.

— Ach! — zawołał arcybiskup z uśmiechem — ten Roquette! Udawszy się zeszłego roku *ad limina apostolorum*<sup>6</sup>, spotkałem go po raz pierwszy, jak pełen radości szedł do Watykanu. W tydzień później ujrzałem go w bazylice Świętego Piotra; szukał tam pociechy, a potrzebował jej bardzo, odmówiono mu bowiem kapelusza.

— I dlaczegóż — zapytał ksiądz Lantaigne głosem świszczącym jak bicz — dlaczegóż purpura spaść by miała na barki tego biedaka

---

<sup>6</sup>*ad limina apostolorum* (łac.) — do progów apostolskich (tj. do Rzymu).  
[przypis edytorski]



bardzo miernych obyczajów, niezbyt wykształconego, śmiesznego przez ociężałość umysłu? Wszak za nim przemawiało jedynie to, że na uczenie masonów w towarzystwie prezydenta Republiki zajadał cielęcinę. Roquette, gdyby mógł wznieść się ponad siebie, zdziwiłby się sam, że jest biskupem. W tych czasach próby, wobec przyszłości pełnej to złudnych nadziei, to strasznych gróźb, należałoby wyszkolić duchowieństwo silne charakterem i wiedzą. A oto właśnie, Eminencjo, o księdzu niezdolnym dźwigać brzemień swych obowiązków, o drugim Roquette, pragnę pomówić z Jego Eminencją. Profesor retoryki w seminarium, ksiądz Guitrel...

Jego Eminencja z udanym roztargnieniem przerwał i zapytał ze śmiechem, czy ksiądz Guitrel jest także na drodze do episkopatu.

— Co za myśl, Eminencjo! — zawołał ksiądz Lantaigne. — Gdyby ten człowiek jakimś trafem otrzymał biskupstwo, ujrzelibyśmy znów

czasy Cautinusa, gdy niegodny kapłan kaził stolicę biskupią świętego Marcina<sup>7</sup>.

Kardynał arcybiskup, skulony w swym fotelu, rzekł dobrodusznie:

— Cautinus, biskup Cautinus (po raz pierwszy słyszał to nazwisko), Cautinus, który zajął tron świętego Marcina... Czy tylko pewny jest ksiądz, że ten Cautinus istotnie tak źle się prowadził, jak utrzymują? Jest to zajmujący szczegół z historii Kościoła Galii; chciałbym usłyszeć o nim zdanie człowieka tak uczonego jak ty, księżu Lantaigne.

Rektor seminarium wyprostował się.

— Eminencjo, świadectwo Grzegorza z Tours<sup>8</sup> jest rozstrzygające w sprawie biskupa Cautinusa. Ten następca błogosławionego Marcina otaczał się takim zbytkiem, w taki sposób trwonił skarby bazyliki, że po dwóch latach jego zarządu wszystkie sprzęty kościelne były w rękach Żydów w Tours. I jeżeli zestawiłem na-

---

<sup>7</sup>*stolica biskupia świętego Marcina* — św. Marcin był w IV w. biskupem w Tours. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*Grzegorz z Tours* (539–594; fr. *Grégoire de Tours*) — biskup Tours, historyk Kościoła, zajmował się również historią Franków. [przypis edytorski]

zwisko biskupa Cautinusa z nazwiskiem księdza Guitrel, nie uczyniłem tego bez powodu. Guitrel zagarnia przedmioty sztuki, cenne rzeźby, artystycznie kute naczynia, które znajdują się jeszcze w kościółkach wiejskich pod strażą głupich zakrystianów, i grabież tę prowadzi na korzyść Żydów.

— Na korzyść Żydów? — zapytał arcybiskup. — Jakże to?

— Na korzyść Żydów — powtórzył ksiądz Lantaigue — dla wzbogacenia salonów pana prefekta Worms-Clavelin, Izraelity i masona. Pani Worms-Clavelin kocha się w antykach. Za pośrednictwem księdza Guitrel nabyła kapy od trzech wieków przechowywane w zakrystii kościoła w Lusancy i, jak mi mówiono, pokryła nimi stołki, tak zwane pufy.

Kardynał potrząsnął głową.

— Pufy! Jeśli nabycie tych ozdób, które już wyszły z użytku, odbyło się prawidłowo, nie wiem, w czym biskup Cautinus... chciałem powiedzieć: ksiądz Guitrel... zawinił pośrednicząc w tej zupełnie legalnej sprawie. Nie

trzeba czcić ornatów pobożnych proboszczów z Lusancy jak relikwii świętych. Nie jest świętokradztwem sprzedać ich znoszoną odzież, by z niej porobiono pufy.

Ksiądz de Goulet, który od jakiegoś czasu gryzł koniec obsadki, nie mógł powstrzymać pomruku. Ubolewał on nad tym, że kościoły ogoławane były przez niedowiarków z artystycznych bogactw. A rektor seminarium mówił dalej z mocą:

— A więc dajmy pokój, Eminencjo, tym frymarkom, którymi trudni się przyjaciel pana prefekta, Żyda Worms-Clavelin. Przeciw profesorowi retoryki wyższego seminarium podnoszę jeszcze inne zarzuty, aż nazbyt słuszne... Zarzucam mu: *primo*: jego nauki, *secundo*: jego obyczaje. Mówię, że zarzucam mu, *primo*, jego doktrynę, i to z czterech powodów: *primo*...

Kardynał arcybiskup wyciągnął naprzód obie ręce, jak gdyby chciał uniknąć tylu punktów przemówienia.

— Księżę Lantaigne, spostrzegam właśnie, że ksiądz wikariusz generalny od jakiegoś cza-

su gryzie pióro i robi rozpaczliwe znaki, by mi przypomnieć, że drukarz czeka na nasz list pasterski. Ma on być odczytany w niedzielę we wszystkich kościołach diecezji i mam nadzieję, że przyniesie nieco ukojenia naszym księżom i wiernym.

Ksiądz Lantaigne skłonił się i wyszedł bardzo smutny. Po jego odejściu kardynał arcybiskup zwrócił się do księdza de Goulet:

— Nie wiedziałem — rzekł — że ksiądz Guitrel jest tak zaprzyjaźniony z prefektem. Wdzięczny jestem przełożonemu seminarium, że mnie o tym uprzedził. Ksiądz Lantaigne jest uosobieniem szczerości, cenię jego otwartość i prawość. Z nim się wie, dokąd się zmierza...

Poprawił się:

— ...dokąd by się zmierzało.

## II

Ksiądz Lantaigne, rektor seminarium, pracował w swoim gabinecie. Bielone ściany tego pokoju w trzech czwartych zastawione były pół-

kami z prostego drzewa, na których spoczywały księgi naukowe w ciemnych, safianowych oprawach: całe *Dzieje Ojców Kościoła* Migne'a<sup>9</sup>, tanie wydania św. Tomasza z Akwinu, Baroniusa<sup>10</sup>, Bossueta<sup>11</sup>. Obraz Matki Boskiej w guście Mignarda<sup>12</sup> z gałązką zakurzonej palmy zatkniętą za starą złoconą ramę, wisiał nade drzwiami. Krzesła, wypychane włosiem, niegościnnie rozstawione były na ceglanej posadzce pod otwartymi oknami, przez które wnikały cikliwe<sup>13</sup> zapachy refektarza, wsiąkające w perkalowe franki. Pochylony nad orzechowym biurkiem, ksiądz rektor przeglądał rejestry, które podawał mu stojący przy nim ksiądz Perruque, kierownik studiów.

---

<sup>9</sup>*Jacques Paul Migne* (1800–1875) — fr. duchowny, wydawca pism Ojców Kościoła i innych średniowiecznych tekstów (znanych we Francji pod tytułem *Patrologies latine et grecque de Migne*). [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*Baronius* — Cesare Baronio (1538–1607), wł. kardynał, historyk Kościoła katolickiego a. Justus Baronius Calvinus (ok. 1570 – po 1608), niem. teolog, uczeń Cesare Baronia, autor pism apologetycznych. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*Jacques-Bénigne Bossuet* (1627–1704) — fr. biskup i pisarz. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*Mignard* — rodzina fr. malarzy, słynnych w XVII w., należeli do niej Pierre (1610–1695), najbardziej znany dzięki płótnom i freskom o tematyce religijnej, jego brat Nicolas (1606–1668) i bratanek Pierre II (1640–1725). [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*ckliwe* — fr. *fade*, tj. mdlące. [przypis edytorski]

— Widzę — rzekł ksiądz Lantaigne — że znów znaleziono w tym tygodniu zapas łakoci w pokoiku jednego z kleryków. Te przekroczenia powtarzają się zbyt często.

Istotnie, klerycy mieli zwyczaj chować tabliczki czekolady między podręcznikami. Nazywali je teologią Menier<sup>14</sup>. Zbierali się po dwóch lub trzech w jednym pokoju, żeby nocą raczyć się łakociami.

Ksiądz Lantaigne zalecił kierownikowi postępować z całą surowością:

— Nieporządki te groźne są z tego względu, że mogą przyłączyć się do nich przewinienia poważniejsze.

Ksiądz rektor zażądał dziennika ze stopniami z klasy retoryki. Ale kiedy ksiądz Perruque podał mu go, odwrócił oczy; myśl, że retorykę kościelną wyklada ten Guitrel, człowiek bez wiary, niepewnych obyczajów, ścisnęła mu serce. Westchnął i pomyślał w duchu:

---

<sup>14</sup>*Menier* — marka czekolady, popularnej we Francji w XIX w. [przypis edytorski]

„Kiedyż spadnie bielmo z oczu arcybiskupa, aby dojrzał, jak niegodny jest ten ksiądz?!”

I odrywając się od tej gorzkiej myśli, by popaść w inną, równie gorzką, zapytał:

— A Piédagnel?

Firmin Piédagnel od dwóch lat był powodem bezustannych trosk księdza rektora. Syn szewca utrzymującego kramik między dwoma filarami kościoła Św. Eksuperego, jedynak, był dzięki swej inteligencji najlepszym uczniem seminarium. Usposobienia spokojnego, miał również dość dobre oceny ze sprawowania. Zdawało się, że nieśmiałość charakteru i wątłość organizmu zabezpieczają czystość jego obyczajów. Ale nie miał ani umysłu teologicznego, ani powołania do kapłaństwa. Wielki znawca dusz, ksiądz Lantaigne u młodych kapłanów nie obawiał się zbyt tych gwałtownych, niekiedy zbawiennych ataków buntu, które łaska uśmierza. Lękał się natomiast słabości umysłu spokojnego, a nieposłusznego. Za straconą uważał duszę, której zwątpienie przychodziło



lekkko i łatwo, której myśli same łagodnie spływały ku niewierze. A takim właśnie był ten inteligentny syn szewca. Księdzu Lantaigne udało się pewnego dnia, znienacka, za pomocą jednego ze zwykłych mu podstępów, przejrzeć dno tej duszy, skrytej w pozorach grzeczności. Spozstrzegł z przerażeniem, że Firmin z nauk udzielanych w seminarium przyswoił sobie tylko wytworność stylu łacińskiego, zręczność w użyciu sofizmatów i pewien sentymentalny mistycyzm. Odtąd Piédagnel wydał mu się istotą słabą — a groźną, nieszczęśliwą — a złą. Kochał jednak tego chłopca, kochał tkliwie, z pewną pobłażliwością. Mimo wszystko wdzięczny mu był, że jest ozdobą, wdziękiem seminarium. Kochał w nim czar jego umysłu, słodką, delikatną mowę, nawet tkliwość jego bladych oczu krótkowidza, jakby obolałych pod drgającymi powiekami. Niekiedy z upodobaniem widział w nim ofiarę tego księdza Guitrel, którego ubóstwo umysłowe i moralne musiało — wierzył w to głęboko — obrazić i smucić ucznia tak inteligentnego i pojętneho. Pochlebiał sobie,

że, lepiej kierowany, Firmin — zbyt słaby, aby stać się dla Kościoła jednym z wodzów energicznych, tak mu potrzebnych — w przyszłości mógłby dać religii takiego Pereyve’a lub Gerbeta, jednego z tych księży, którzy wnoszą do kapłaństwa serce młodej matki. Ale niezdolny do złudzeń ksiądz Lantaigne odtrącał prędko te niepewne nadzieje i widział w tym chłopcu nowego Guéroulta<sup>15</sup> albo Renana<sup>16</sup>. I krople zimnego potu rosily mu czoło. Drżał, że wychowując takich uczniów przygotowuje Prawdzie strasznych wrogów.

Wiedział, że to właśnie w świątyni ukuto młoty, które zburzyły świątynię. Mawiał często: „Taka jest potęga metody teologicznej, że ona jedynie jest zdolna tworzyć wielkich bezbożników; niedowiarek, który nie przeszedł przez nasze ręce, jest bezsilny i bezbronny. W naszych murach nabywa się wszelkiej wiedzy, na-

---

<sup>15</sup>*Adolphe Georges Guérault* (1810–1872) — fr. publicysta i polityk, zwolennik doktryny Saint-Simona, antyklerykał, postulował rozdział religii i państwa. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*Joseph Ernest Renan* (1823–1892) — fr. pisarz, filolog, filozof i historyk, autor krytycznej *Historii początków chrześcijaństwa*, zwolennik teorii Darwina. [przypis edytorski]

wet bluźnierczej”. Od pospolitych kleryków wymagał tylko prawości i pilności, pewny, że zrobi z nich dobrych wyznawców. U typów wyjątkowych obawiał się ciekawości, dumy, zachwalstwa umysłu, nawet cnót, które zgubiły aniołów.

— Księżę Perruque — rzekł nagle — zobaczmy stopnie Piédagnela.

Kierownik studiów, zwilżywszy śliną gruby paluch, przerzucił rejestr, po czym wskazał uwagi wypisane na marginesie dziennika:

„Piédagnel wygłasza zdania niebaczone.”

„Piédagnel jest skłonny do smutku.”

„Piédagnel nie bierze udziału w ćwiczeniach fizycznych.”

Ksiądz rektor przeczytał i pokiwał głową. Przewrócił kartkę i czytał dalej:

„Piédagnel napisał złe wypracowanie o jedności wiary”.

Tu ksiądz Lantaigne wybuchnął:

— Jedność, oto czego nie pojmie on nigdy! A przecież jest to zasadnicza idea, którą ksiądz przede wszystkim przejąć się powinien.

Nie waham się twierdzić, że jest to idea Boga, że jest ona najsilniejszym, że tak powiem, wyrazem Boga.

Zwrócił na księdza Perruque spojrzenie swych ciemnych, głębokich oczu.

— Jedność wiary jest dla mnie kamieniem probierczym do osądzania umysłów, księżę Perruque. Umysły proste, jeśli nie są pozbawione prawości, z idei tej snują konsekwencje logiczne, rzutki zaś i zdolne wyprowadzają z tej zasady cudowną filozofię. Trzy razy, księżę Perruque, wygłosiłem kazanie o jedności wiary i bogactwo tego przedmiotu zadziwia mnie dotąd.

Znów zabrał się do czytania dziennika:

„W biurku Piédagnela znaleziono zeszyt, w którym własnoręcznie przepisał ustępy z poezji erotycznych Leconte de Lisle’a<sup>17</sup> i Paula Verlaine<sup>18</sup>, jako też innych autorów świeckich, a wybór tych wyjątków świadczy o jego wielkiej rozwiąłości i zmysłowości”.

---

<sup>17</sup>*Charles Leconte de Lisle* (1818–1894) — fr. poeta i filozof, przedstawiciel parnasizmu. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*Paul Verlaine* (1844–1896) — fr. poeta, jeden z tzw. poetów wyklętych. [przypis edytorski]

Zamknął dziennik i odrzucił go gwałtownie.

— Nie brak w dzisiejszych czasach ani nauki, ani inteligencji, brak natomiast umysłów teologicznych.

— Księżę rektorze — rzekł ksiądz Perruque — intendent zapytuje, czy może wejść natychmiast. Kontrakt z rzeźnikiem Lafolie o dostawę mięsa wygasa w połowie bieżącego miesiąca, więc intendent czeka decyzji księdza rektora, czy odnowić umowę, z której nasz zakład nie był zadowolony. Nie mógł ksiądz rektor nie zauważyć, jak zły wołowiny dostarczał Lafolie.

— Niech wejdzie — rzekł ksiądz Lantaigne.

Gdy został sam, ksiądz Lantaigne wziął się obu rękoma za głowę i westchnął:

— *O quando finieris et quando cessabis, universa vanitas mundi?*<sup>19</sup> Z dala od ciebie, Boże, jesteśmy tylko błędzącymi cieniami. Nie ma

---

<sup>19</sup>*O quando finieris et quando cessabis, universa vanitas mundi* (łac.) — Ach, kiedy przestaniesz istnieć i kiedy przeminiesz, odwieczna próżności tego świata. [przypis edytorski]

większych zbrodni jak zbrodnie popełniane przeciw jedności wiary. Racz, o Panie, nawrócié ludzkość ku tej jedności błogosławionej!

Gdy w południe, po śniadaniu, w czasie pauzy, ksiądz rektor przechodził przez podwórze, seminarzyści grali w piłkę nożną. Na wysypanym piaskiem placu klerycy w sutannach, które czyniły ich podobnymi do noży osadzonych w czarnych trzonkach, biegali z twarzami zaczerwienionymi i ze sztywnymi gestami pacjentów; słychać było krzyki i nawoływania we wszystkich dialektach diecezji.

Kierownik studiów, ksiądz Perruque, podkasawszy sutannę brał udział w grze; ten chłop zamknięty w murach, upojony powietrzem i ruchem, oddawał się jej z zapalem, końcem trzewika zapiętego na sprzączkę kopał jak atleta ogromną piłkę obszytą kawałkami skóry. Na widok przełożonego grający się zatrzymali, ale ksiądz Lantaigne dał znak, by nie przerywali zabawy. Szedł wzdłuż alei wątych akacji, otaczającej podwórze od strony wałów i pól. W pół drogi spotkał trzech uczniów, którzy rozma-

wiali trzymając się pod rękę i przechadzając się tam i z powrotem. Ponieważ zazwyczaj w ten sposób spędzali pauzę, nazwano ich perypate-tykami<sup>20</sup>. Ksiądz Lantaigne zawołał najdrobniejszego z nich. Był to młodzieniaszek blady, nieco pochylony, o ustach delikatnych i szyderczych, o wzroku nieśmiałym. Nie usłyszał od razu, dopiero towarzysz musiał go trącić łokciem i szepnąć:

— Piédagnel, ksiądz rektor cię woła.

Wtedy podszedł do księdza rektora i skłonił się niezgrabnie, a mimo to z pewnym wdziękiem.

— Mój chłopcze — rzekł doń rektor — będziesz mi jutro służył do mszy.

Młodzieniec zarumienił się. Służyć do mszy księdzu rektorowi było zaszczytem, o który usilnie się ubiegano.

Ksiądz Lantaigne, z brewiarzem pod pachą, wyszedł przez furtkę ku polom na zwykłą

---

<sup>20</sup>*perypatetyk* (z gr. περιπατητικός, *peripatetikos*: związany z chodzeniem, przechadzaniem się) — tu: osoba, która lubi spacerować w czasie rozmowy (w innym znaczeniu: zwolennik filozofii Arystotelesa). [przypis edytorski]

przechadzkę wzdłuż wałów, drogą pełną kurzu, zarosłą ostem i pokrzywą. Po drodze rozmyślał:

„Co się stanie z tym biednym chłopcem, delikatnym, wątłym, nieśmiałym, nie znającym pracy ręcznej, gdy go się nagle wydali? I co za smutek dla jego biednego ojca, kaleki!”

Kroczył wolno po żwirze zaniedbanej drogi. Doszedłszy do krzyża postawionego tu na pamiątkę misji, zdjął kapelusz, otarł chustką pot z czoła i rzekł cicho:

— Boże, natchnij mnie, abym postąpił wedle twej woli, cokolwiek by me serce ojcowskie cierpieć miało!

Nazajutrz o wpół do siódmej z rana ksiądz Lantaigne kończył mszę w pustej, pozbawionej wszelkich ozdób kaplicy. Przy bocznym ołtarzu stary zakrystian układał papierowe kwiaty w porcelanowych wazonach u stóp złoconej figury świętego Józefa. Szary dzień wraz z deszczem spływał smutnie wzdłuż zamgłonych szyb. Celebrans stojąc na lewo od wielkiego ołtarza czytał Ostatnią Ewangelię.



„*Et Verbum caro factum est*”<sup>21</sup> — rzekł zginając kolano.

Firmin Piédagnel, który służył do mszy, przykląkł jednocześnie na stopniu, gdzie był dzwonek, powstał i po ostatnich odpowiedziach wyszedł przed księdzem do zakrystii. Ksiądz Lantaigne postawił kielich z korporalem i czekał na ministranta, żeby pomógł mu zdjąć szaty kościelne. Firmin Piédagnel wrażliwy był na tajemniczy wpływ przedmiotów i odczuwał czar tej sceny tak prostej, a jednak tak świętej. Dusza jego, tkliwym namaszczeniem przejęta, z uczuciem szczęścia tonęła we wzniosłości kapłaństwa. Nigdy jeszcze tak głęboko nie czuł pragnienia, by zostać księdzem i samemu odprawić ten święty obrzęd. Ucałowawszy i złożywszy starannie komżę i ornat, skłonił się przed księdzem Lantaigne i zmierzał do wyjścia. Ksiądz rektor wdziewał właśnie ciepły płaszcz i dając chłopcu znak, by pozostał, spojrział nań tak szlachetnie i łagodnie, że młodzieniec to spojrzenie

---

<sup>21</sup>*Et Verbum caro factum est* (łac.) — A Słowo ciałem się stało. [przypis edytorski]

przyjął jak łaskę i błogosławieństwo. Po dłuższym milczeniu ksiądz Lantaigne powiedział:

— Moje dziecko, odprawiając mszę, do której chciałem ciebie mieć za ministranta, prosiłem Boga, by mi dał siły do wydalenia cię z seminarium. Modlitwy mojej wysłuchano. Nie należysz już do tego seminarium.

Słuchając tych słów Firmin oniemiał. Zdawało mu się, że ziemia spod stóp mu się usuwa. Oczyma pełnymi łez widział w niejasnych zarysach pustą drogę, deszcz, życie pełne nędzy i pracy, ciężką dolę zbłąkanego dziecka. Przed tym wszystkim drżała jego niemoc i nieśmiałość. Spojrzał na księdza Lantaigne. Łagodna stanowczość, niewzruszony spokój tego człowieka oburzyły go. I w duszy jego zrodziło się i wzrosło uczucie, które umocniło go i podtrzymało, zrodziła się głęboka nienawiść do kleru, nienawiść trwała i płodna, nienawiść zdolna wypełnić życie całe. Nie wyrzekłszy słowa, wielkimi krokami wyszedł z zakrystii.

### III

Ksiądz Lantaigne, rektor seminarium w N.... napisał do Jego Eminencji kardynała arcybiskupa list następujący:

Eminencjo!

Gdy 17 bieżącego miesiąca miałem zaszczyt być przyjętym przez Waszą Eminencję, obawiałem się nadużyć Jego ojcowskiej dobroci i pasterskiej łagodności, gdybym ze wszystkimi szczegółami przedstawił sprawę, o której przyszedłem pomówić. Ale ponieważ sprawa ta należy do wysokiej i świętej jurysdykcji Waszej Eminencji i dotyczy zarządu tej diecezji, która jest jedną z najstarszych i najpiękniejszych prowincji Galii chrześcijańskiej, uważam za obowiązek przedstawić czujnej sprawiedliwości Waszej Eminencji fakty, które sądzić winien całą pełnią Swej powagi i Swego światłego umysłu.

Podając fakty te do wiadomości Waszej Eminencji spełniam obowiązek, któ-

ry nazwałbym przykrym dla mego serca, gdyby nie pewność, że spełnienie obowiązku jest samo przez się źródłem niewyczerpanych pociech dla duszy i że nie dość jest wypełniać rozkazy Boskie, lecz należy spełniać je z radością.

Fakty, które Waszej Eminencji przedstawić muszę, dotyczą księdza Guitrel, profesora wymowy kościelnej w naszym seminarium. Sformułuję je, o ile możliwości, zwięźle i ściśle.

Fakty te tyczą się:

- 1) głoszonej doktryny,
- 2) obyczajów księdza Guitrel.

Przejrzawszy zeszyty, podług których prowadzi on wykłady wymowy kościelnej, znalazłem w nich różne poglądy niezgodne z naukami Kościoła.

1) Ksiądz Guitrel, potępiając wnioski wyciągane z komentarzy Pisma świętego, pisanych przez niedowiarków i tzw. protestantów, nie potępia ich źródła i idei samej i w tym błądzi wielce. Boć oczywista,

że skoro pieczę nad Pismem Kościołowi powierzono, Kościół jedynie zdolny jest tłumaczyć księgi, których sam strzeże.

2) Zachęcony świeżym przykładem pewnego duchownego ubiegającego się o poklask tłumów, ksiądz Guitrel chce tłumaczyć sceny Ewangelii za pomocą kolorytu lokalnego i fałszywej psychologii, czym tak popisywali się Niemcy. Ksiądz Guitrel nie baczy, że idąc w ten sposób śladami niedowiarków błądzi nad przepaścią, w którą oni wpadli. Znużyłbym miłościwą uwagę Waszej Eminencji, gdybym chciał przed Jego wzrok czcigodny podawać wyjątki, w których ksiądz Guitrel z litości godną naiwnością baje wedle opowiadań podróźników „o żegludze na Jeziorze Tyberiadzkim” lub opisuje z niepojętą nieprzyzwoitością to, co nazywa „stanami duszy” i „przełomami psychologicznymi” Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Te głupie nowinki, godne potępienia u człowieka świeckiego, nie mogą być to-

lerowane u księdza, który ma wychowywać młodych kapłanów. Toteż byłem bardziej zmartwiony niż zdziwiony dowiedziawszy się, że pewien zdolny uczeń, którego później dla jego buntowniczego umysłu wydalić musiałem, nazywa profesora wymowy „księdzem *fin de siècle*”<sup>22</sup>.

3) Ksiądz Guitrel wykazuje naganną skłonność do częstego powoływania się na niepewny autorytet Klemensa Aleksandryjskiego<sup>23</sup>, nie zaliczonego w poczet męczenników, w czym profesor retoryki zdradza słabość umysłu uwiedzionego przykładami rzekomych spirytualistów, upatrujących w *Stromatach*<sup>24</sup> tłumaczenie wyłącznie alegoryczne podstawowych tajemnic wiary chrześcijańskiej. I nie błędząc ostatecznie, ksiądz Guitrel okazuje tu jednak brak konsekwencji i lekkomyślność.

---

<sup>22</sup>*fin de siècle* (fr.: koniec wieku) — tu: schyłkowy, dekadenccki. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>Klemens Aleksandryjski (ok. 150 – ok. 215) — grecki myśliciel starożytny, jeden z Ojców Kościoła, autor zbioru *Stromata* (*Kobierce*). [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*Stromata* a. *Kobierce* — sylwiczne dzieło Klemensa Aleksandryjskiego (ok. 150 – ok. 215). [przypis edytorski]

4) Skażenie smaku jest wynikiem niedostatecznej wiedzy, a umysł, dla którego wstrętny jest posilny pokarm duchowy, zadowala się strawą lekką, przeto ksiądz Guitrel szuka i uczniom swoim jako przykłady podaje — wyjątki mów księdza Lacordaire<sup>25</sup> i kazań księdza Gratry<sup>26</sup>.

Wyliczę teraz pokrótce fakty dotyczące się obyczajów księdza Guitrel.

1) Ksiądz Guitrel często, a zarazem potajemnie bywa u prefekta Worms-Clavelin, w czym odstępuje od powściągliwości, jakiej duchowny niższego stopnia winien przestrzegać względem osoby urzędowej szczególnie w czasach obecnych, i to wobec urzędnika-Izraelity. Ksiądz Guitrel najczęściej wchodzi do prefektury ukrytymi drzwiami, co dowodzi, że doskonale sobie zdaje sprawę ze swego fałszywego położenia, w którym jednak trwa nadal.

---

<sup>25</sup>*Henri-Dominique Lacordaire* (1802–1861) — dominikanin, fr. publicysta i polityk, zwolennik katolicyzmu liberalnego. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*Joseph Gratry* (1805–1872) — fr. duchowny i filozof, członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

Jest zresztą faktem powszechnie znanym, że ksiądz Guitrel przy pani Worms-Clavelin pełni raczej służbę kupiecką niż religijną. Dama ta rozmiłowana jest w antykach i, choć Izraelitka, nie gardzi żadnym przedmiotem należącym do rytuału kościelnego, jeżeli przedmiot ten odznacza się starożytnością lub artyzmem. Niestety, dowiedzione jest, że za pośrednictwem księdza Guitrel pani Worms-Clavelin za śmieszłą cenę nabywa starożytne sprzęty z wiejskich parafii, które znajdują się tam pod pieczęcią głupich prowiworów kościelnych. W ten sposób cenne rzeźby snycerskie, ozdoby kapłańskie, kielichy, cyboria<sup>27</sup> porwano z zakrystii kościółków wiejskich, by ozdobić nimi prywatne apartamenty państwa Worms-Clavelin. Wszystkim wiadomo, że pani Worms-Clavelin wspaniałymi, czcigodnymi kapłanami z kościoła w Saint-Porchaire kazała

---

<sup>27</sup>*cyborium* — tu: puszka, naczynie liturgiczne w formie metalowego kielicha z przykrywką, służące do przechowywania hostii. [przypis edytorski]



obić meble pospolicie zwane pufami. Nie twierdzę, by ksiądz Guitrel z tej frymarki bezpośrednio osiągał materialną korzyść, ale już dość bolesne jest dla ojcowskiego serca Waszej Eminencji, że kapłan diecezji przyczynia się do ogoławania kościołów z bogactw, które nawet wobec niewiernych świadczą o wyższości sztuki religijnej nad sztuką świecką.

2) Ksiądz Guitrel bez protestu i skargi pozwala na to, by obiegały plotki, jakoby pan prezes rady ministrów oraz minister sprawiedliwości i wyznań życzyli sobie jego wyniesienia na biskupstwo w Tourcoing. Plotki te ubliżają ministrowi, który, aczkolwiek wolnomyślny i mason, zbyt jednak dbały być musi o dobro Kościoła, będąc jego świeckim obrońcą, aby na tronie błogosławionego Lupusa<sup>28</sup> mógł umieścić księdza takiego jak ksiądz Guitrel. Docie-

---

<sup>28</sup>*Lupus z Troyes* (fr. *Loup de Troyes*; zm. ok. 479) — święty Kościoła katolickiego, biskup Troyes, któremu udało się przekonać Attyłę, wodza Hunów, do oszczędzenia miasta. [przypis edytorski]

rając do źródła tej intrygi obawiać się należy, że ksiądz Guitrel sam jest pierwszym i głównym siewcą tych plotek.

3) Ksiądz Guitrel dawniej w wolnych chwilach tłumaczył wierszem *Sielanki* poety łacińskiego Kalpurniusza<sup>29</sup>, którego najlepsi krytycy zgodnie zaliczają do rzędu ckliwych deklamatorów. Dziś z nieuwagą, którą za nieumyślną chćę uważać, ukradkiem rozpowszechnia te prace swej młodości. Egzemplarz *Sielanek* przesłano do tutejszego radykalno-wolnomyślnego dziennika „Latarnia”. „Latarnia” podała wyjątki przekładu księdza Guitrel, między innymi ustęp, który rumieniem się poddać pod ojcowski wzrok Waszej Eminencji: „Naszym niebem jest pierś ukochana”.

Tej cytacie<sup>30</sup> towarzyszą w „Latarni” jak najbardziej nieprzychylne komentarze dotyczące charakteru oraz literackiego smaku księdza Guitrel. Redaktor, którego zło-

---

<sup>29</sup>Kalpurniusz, łac. *Titus Calpurnius Siculus* — poeta rzymski żyjący w I w. n.e.  
[przypis edytorski]

<sup>30</sup>ta cytata — dziś popr. forma r.m.: ten cytat. [przypis edytorski]

śliwość aż nadto jest znana Waszej Eminencji, bierze pochop z tego nieszczęsnego wiersza, by o rozpustne myśli i nieuczciwe zamiary oskarżyć nie tylko ogół profesorów seminarium, ale nawet wszystkich księży naszej diecezji. Dlatego nie przesądżając, czy ksiądz Guitrel jako humanista miał powody tłumaczyć Kalpurniusza, ubolewam nad ogłoszeniem tej pracy, jako że jest ona powodem zgorszenia, które — jestem tego pewien — dla ojcowskiego serca Waszej Eminencji gorzkie jest jak absynt i piołun.

4) Ksiądz Guitrel co dnia około piątej godziny po południu zwykł udawać się do sklepu pani Magloire, właścicielki cukierni na placu Świętego Eksuperego. Tam, pochylony nad bufetem i nad stołami, z głębokim zajęciem i skupieniem przygląda się łakociom nagromadzonym na półmiskach i talerzach. Potem, zatrzymując się w miejscu, gdzie ułożone są ciastka zwa-

ne, jak mi mówiono, babkami i eklerami, końcem palca dotyka jednego ciastka, potem drugiego i każe sobie te smakołyki zapakować. Nie mam zamiaru posądzać go o zmysłowość z powodu tej śmiesznej przy wyborze łakoci drobiazgowości. Zważywszy jednak, że udaje się on stale do sklepu pani Magloire w chwili, gdy eleganckie towarzystwo obu płci napływa tam tłumnie, i że zatem wystawia się na pośmiewisko ludzi świeckich, śmiało przypuścić można, że profesor retoryki w seminarium pozostawia w tej cukierni część swej godności. Istotnie wybór i zakup dwóch ciastek nie uszedł złośliwej uwagi ciekawych, którzy utrzymują — słusznie czy niesłusznie — że ksiądz Guitrel jedno zachowuje dla siebie, a drugie daje swej służącej. Naturalnie może on, nie zasługując na nagane, dzielić się łakociami ze swą służącą, zwłaszcza jeśli osoba ta jest już w wieku kanonicznym. Ale złośliwość ludzka jak najgorzej tłumaczy sobie tę poufałość i nie

śmiałybym uszom Waszej Eminencji powtórzyć tego, co mówią o stosunkach księdza Guitrel z jego służącą. Nie chcę wierzyć tym oskarżeniom. Przyzna jednak Wasza Eminencja, że ksiądz Guitrel postępuje niewłaściwie, bo przez niestosowne zachowanie daje plotkom pozór prawdy.

Przedstawiłem fakty, pozostaje mi tylko wyprowadzić wniosek. Mam zaszczyt zaproponować Waszej Eminencji, by księdzu Guitrel (Joachimowi) odebrać katedrę wymowy kościelnej w seminarium w N., a to zgodnie z Jego władzą duchowną, uznaną przez państwo dekretem z dnia 17 marca 1808.

Racz, Eminencjo, zachować swą ojcowską dobroć dla tego, który, obarczony kierownictwem Jego seminarium, pragnie jedynie dać Mu dowód swego zupełnego poświęcenia i głębokiego szacunku, z jakim pozostaje Eminencji wielce pokornym i posłusznym sługą

## *Lantaigne*

Ksiądz Lantaigne, napisawszy ten list, zapieczętował go swoją pieczęcią.

### IV

Istotnie prawdą było, że profesor retoryki kościelnej w seminarium w N., ksiądz Guitrel, utrzymywał stosunki z panem prefektem Worms-Clavelin i z panią Worms-Clavelin z domu Coblentz. Ale mylił się ksiądz Lantaigne przypuszczając, że ksiądz Guitrel bywa w salonach prefektury, gdzie obecność jego niepokoiłaby zarówno arcybiskupstwo, jak loże masońskie; pan prefekt był bowiem V.:. Sol.:. Lev.:.<sup>31</sup>. W cukierni pani Magloire na placu Św. Eksuperego, dokąd zachodził co sobota, aby kupić dwa ciasteczka po trzy *sous*<sup>32</sup>, jedno dla siebie, drugie dla swej służącej, ksiądz Guitrel zaznajomił się z prefektową, która tam zajadała babki

---

<sup>31</sup>V Sol Lev — w oryg. fr.: Vén du Sol Lev, skrót związany z lożą masońską Wielkiego Wschodu Francji. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>sou (fr., lm sous) — drobna moneta, warta 5 centymów. [przypis edytorski]

w towarzystwie pani Lacarelle, małżonki sekretarza pana prefekta. Dzięki swoim dyskretnym, a zarazem unizonym słówkom, które pozwalały spodziewać się wszystkiego, a nie obawiać niczego, ksiądz profesor retoryki od razu spodobał się pani Worms-Clavelin. Odnajdowała w nim duszę, rysy, niemal płęć owych tandeciarek<sup>33</sup>, przyjaznych opiekunek jej młodości w tych ciężkich czasach, kiedy Noemi Coblentz, w kantorze utrzymywanym przez jej ojca Izaaka na placu Clichy, dorastała i wiedła wśród ciągłych walk i nieporozumień z komornikami i policją. Jedną z nich, pani Vacherie, umiała ją należycie ocenić i stała się pośredniczką między nią a dzielnym, rokującym najpiękniejsze nadzieje prawnikiem, panem Teodorem Worms-Clavelin. Ten, uznawszy, że Noemi jest rozważna i że może mu być użyteczna, poślubił ją po urodzeniu się ich córki Janiny, w zamian za co małżonka szybko popchnęła

---

<sup>33</sup>*tandeciarka* (daw.) — sprzedawczyni towarów z drugiej ręki; w oryginale fr. *marchande à la toilette*: osoba handlująca używanymi ubraniami i ozdobami. [przypis edytorski]

go w karierze administracyjnej. Ksiądz Guitrel był bardzo podobny do pani Vacherie. To samo spojrzenie, ten sam głos, te same ruchy. To dobrze wróżące podobieństwo od razu wywołało nagłą sympatię pani Worms-Clavelin. Zresztą zawsze uważała duchowieństwo katolickie za jedną z potęg świata. Stała się więc wobec męża protektorką księdza Guitrel. Pan Worms-Clavelin, który przyznawał żonie wielką cnotę, dla niego tajemniczą: takt, i dobrze wiedział, że jest sprytna, uprzejmie powitał księdza Guitrel, kiedy go spotkał po raz pierwszy u Rondonneau, jubilera z ulicy Tintelleries. Pan prefekt poszedł tam oglądać modele pucharów zamówionych przez rząd na nagrody w wyścigach organizowanych przez towarzystwo popierania hodowli koni. Odtąd często zachodził do jubilera, pociągnięty wrodzonym upodobaniem do cennych kruszców. Ze swej strony ksiądz Guitrel szukał często okazji, by odwiedzać magazyny Rondonneau, fabrykanta sprzętów kościelnych: świeczników, lamp, cyboryów, kielichów, paten, monstrancji, reli-



kwiarzy. Ksiądz i prefekt spotykali się chętnie w salach pierwszego piętra, z dala od ciekawych, przed kontuarem zarzuconym sztabkami złota, pomiędzy naczyniami i statuetkami świętych, o których prefekt wyrażał się zresztą pogardliwie. Wyciągnięty w jedynym fotelu pana Rondonneau, pan Worms-Clavelin ręką przesyłał ukłon księdzu Guitrel, gdy ten, czarny i tłusty, przesuwiał się jak gruby szczur wzdłuż szaf magazynu.

— Dzień dobry, księżę profesorze. Rad jestem ze spotkania!

I tak było istotnie. Czuł on niewyraźnie, że przy tym księdzu chłopskiego rodu, z typu i z godności duchownej tak rdzennie francuskim, jak francuskie były poczerńiałe kamienie kościoła Świętego Eksuperego i stare więzy w alei spacerowej miasteczka, i on się staje Francuzem, naturalizuje się, pozbywa reszty ciężkiego brzemienia swej krwi niemieckiej i żydowskiej. Zazyłość z księdzem pochlebiała urzędnikowi-Izraelicie. Nie zdając sobie spra-

wy, odczuwał dumę odwetu. Podporządkować sobie, protegować jedną z tych głów tonsurowanych, od osiemnastu wieków przez niebo i ziemię upoważnionych do wyklinania i tępienia obrzezanych — było to dla niego przyjemnym i pochlebnym sukcesem. Prócz tego ta zniszczona, brudna, a jednak szanowana suttanna, kłaniająca się przed nim, miała wstęp do pałaców, w których prefekta nie przyjmowano. Damy z arystokracji miejscowej szanowały tę suknię chylącą się teraz pokornie przed tużurkiem<sup>34</sup> urzędnika. Hołd duchownego był prawie hołdem tej arystokracji ziemiańskiej, której pogardliwy chłód odczuwał prefekt boleśnie, choć mało był wrażliwy. Przebiegle pokorny ksiądz Guitrel umiał podkreślić wartość swego szacunku.

Szanowany jako potężny władca przez tego polityka kościelnego, szef administracji odpłacał życzliwością za okazywany mu szacunek

---

<sup>34</sup>*tużurek* (daw., z fr. *tout jour*: każdego dnia, codzienny) — surdut codziennego użytku; element męskiego stroju w II połowie XIX w., pełniący rolę dzisiejszej marynarki, ale sięgający do połowy uda. [przypis edytorski]

i zwracał do księdza Guitrel pojednawcze słowa:

— Bez wątpienia, istnieją również księża zacni, oddani, rozumni. Gdy duchowieństwo ogranicza się do swych atrybucji...

Ksiądz Guitrel kłaniał się.

Pan Worms-Clavelin mówił dalej:

— Republika nie toczy regularnej wojny z proboszczami. I gdyby kongregacje poddały się były prawom, uniknęłoby się wielu przykrości.

Ksiądz Guitrel protestował:

— Tu jest kwestia prawna. Rozstrzygnąłbym ją na korzyść kongregacji. Jest tu także stan faktyczny. Zakony czyniły wiele dobrego.

Prefekt kończył otaczając się dymem cygara:

— Nie ma co powracać do tego, co się stało. Ale duch nowy jest duchem pojednania.

A ksiądz Guitrel kłaniał się znowu, podczas gdy Rondonneau młodszy pochylał nad rejestrami swą łysinę, na której siadały muchy.

Pewnego dnia panią Worms-Clavelin proszono, by wyraziła swe zdanie o pucharze, który prefekt osobiście miał wręczyć zwycięzcy w wyścigach koni pociągowych, poszła więc z mężem do pracowni Rondonneau. W gabinecie jubilera zastała księdza Guitrel, który udał, że się chce oddalić, ale poproszono go, żeby został. Zasięgnięto nawet jego zdania co do nimf, których wygięte łona tworzyły ucha pucharu. Prefekt wolałby amazonki.

— Amazonki, bez wątpienia... — rzekł półgłosem profesor retoryki kościelnej.

Pani Worms-Clavelin proponowała dziewice-centaury.

— Tak, dziewice-centaury — rzekł ksiądz — albo centaury zwykłe.

Tymczasem Rondonneau młodszy, trzymając w palcach woskowy model, uśmiechał się z zachwytem.

— Księżu profesorze — zapytał prefekt — czy Kościół wciąż jeszcze zabrania nagości w sztuce?

Ksiądz Guitrel odpowiedział:

— Kościół nigdy całkowicie nie zabraniał aktów, zawsze tylko roztropnie miarkował ich nadużywanie.

Pani Worms-Clavelin spojrzała na księdza i pomyślała, że jest on nadzwyczaj podobny do pani Vacherie. Zwierzyła mu się też, że pasjonują ją drobiazgi artystyczne, zaś do szaleństwa kocha się w brokatach, w wytłaczanych aksamitach, galonach, złotogłowiach, haftach, koronkach. Przyznała się do pożądlivosti nagromadzonej w sercu od czasów jej ubogiej młodości, gdy zadowalać się musiała jedynie podziwianiem tych wspaniałości na wystawach u handlarzy starzyzny w dzielnicy Bréda. Powiedziała mu, że marzy o salonie pełnym starych kap i ornatów i że poszukuje starych klejnotów.

Odparł, że istotnie ozdoby kościelne przedstawiają dla artystów cenne wzory, co dowodzi, iż Kościół nie jest wrogiem sztuki.

Od tego dnia ksiądz Guitrel szperał po zakrystiach wiejskich i wyszukiwał przedmioty zabytkowe. Nie było tygodnia, żeby nie przyniósł pod sutanną do Rondonneau młodszego

już to ornatu, już to kapy, zręcznie wyłudzo-  
nych od naiwnych proboszczów. Ograbionym  
zakrystiom ksiądz Guitrel skrupulatnie prze-  
kazywał pięciofrankówki, którymi prefekt opła-  
cał jedwab, brokat, aksamit i galony.

Po sześciu miesiącach salon pani Worms-  
-Clavelin był podobny do skarbcza katedralnego  
i unosiła się w nim mdła woń kadzidła.

Pewnego letniego dnia ksiądz Guitrel, wszedł-  
szy jak zwykle na piętro do jubilera, zastał w ma-  
gazynie pana Worms-Clavelin, wesoło palące-  
go cygaro. Prefekt właśnie w przeddzień prze-  
prowadził na wyborach swego kandydata, ho-  
dowcę koni, świeżo zjednanego monarchistę,  
i liczył na aprobatę ministra, który po cichu  
wolał nie starych, lecz nowych republikanów,  
mniej wymagających i bardziej unizonych. Z ra-  
dosną dumą poklepał księdza po ramieniu.

— Księżę profesorze, dobrze by było, gdy-  
byśmy mieli dużo księży tak oświeconych, wy-  
rozumiałych, bez przesądów, jak ksiądz — bo  
ksiądz nie ma przesądów — księży świadomych  
chwili i potrzeb społeczeństwa demokratycz-

nego. Gdyby episkopat, gdyby duchowieństwo francuskie przejęło się ideami postępowymi i konserwatywnymi zarazem, jakie właśnie głosi Republika, mogłoby ono jeszcze odegrać piękną rolę.

I w dymie swego grubego cygara wyповідаł o religii zdania dowodzące tak zupełnej ignorancji, że ksiądz Guitrel w duchu był zdumiony. Prefekt jednakowoż miał się za lepszego chrześcijanina od wielu chrześcijan i językiem loży masońskiej wychwalał naukę Jezusa, ale odrzucał — piąte przez dziesiąte — zarówno miejscowe zabobony, jak i podstawowe dogmaty, igły rzucane do chrzcielnicy świętego Pfala przez panny na wydaniu i istotną obecność Chrystusa w Eucharystii. Ksiądz Guitrel, zgodnego usposobienia, ale niezdolny do ustępstw w sprawie dogmatów, bąkał:

— Należy rozróżniać, panie prefekcie, należy rozróżniać!

Aby przerwać ten temat, ksiądz Guitrel sięgnął do kieszeni sutanny, wydobył rulon pergaminu i rozłożył go na biurku. Był to wielki

arkusz nut do śpiewu gregoriańskiego, z gotyckim tekstem pod czterolinia, z rubrykami i ozdobnym inicjałem.

Prefekt wlepił w pergamin oczy wielkie jak klosze od lamp. Rondonneau młodszy nachylił różowy, goły czerep.

— Miniatura tego inicjału jest wcale misterna — rzekł — święta Agata, nieprawdaż?

— Męczeństwo świętej Agaty — odrzekł ksiądz Guitrel. — Widać katów szarpiących obcęgami piersi świętej.

I dodał głosem jak miód słodkim:

— Taka istotnie, według autentycznych dokumentów, była męka, na którą prokonsul skazał błogosławioną Agatę. Kartka antyfonarza, panie prefekcie, drobiazg, zwykły drobiazg, może warta jest miejsca w zbiorach pani Worms-Clavelin, tak przywiązanej do naszych starożytności chrześcijańskich. Kartka jest fragmentem *proprium*<sup>35</sup> tej świętej.

---

<sup>35</sup>*proprium* (łac.) — modlitwa związana z danym świętym, przeznaczona na mszę w dzień jego uroczystości. [przypis edytorski]



I zaznaczając mocno akcent rytmiczny odczytał tekst łaciński:

*„Dum torqueretur beata Agata in mamilla graviter, dixit ad judicem: Impie, crudelis et dire tyranne, non es confusus amputare in femina quod ipse in matre suxisti? Ego habeo mamillas integras intus in anima quas Domino consecravi”*.<sup>36</sup>

Prefekt, chociaż miał matureę, na wpół tylko zrozumiał i w gorliwości, by się okazać frywolnym, zauważył, że to pikantne.

— Naiwne — poprawił cicho ksiądz Guitrel — naiwne.

Pan Worms-Clavelin przyznał, że istotnie język wieków średnich ma dużo naiwności.

— Zarazem jest też wzniosły — dodał ksiądz Guitrel.

---

<sup>36</sup>*Dum torqueretur beata Agata in mamilla graviter, dixit ad judicem: Impie, crudelis et dire tyranne, non es confusus amputare in femina quod ipse in matre suxisti? Ego habeo mamillas integras intus in anima quas Domino consecravi* (łac.) — Kiedy świętą Agatę wydano na tortury i szarpano jej piersi, powiedziała ona do sędziego: bezbożny, okrutny i ohydny tyranie, czy nie zawstydzą cię odcinanie kobiecie tego, co ssales u własnej matki? Ja mam piersi całe w mojej duszy, poświęcone Panu Bogu. [przypis edytorski]

Ale prefekt w tej kościelnej łacinie chciał koniecznie widzieć szczyptę swawoli, toteż z upartym i żartobliwym uśmiechem dziękując swemu kochanemu księdzu Guitrel za to odkrycie, schował pergamin do kieszeni.

I popychając księdza we framugę okna, szepnął mu na ucho:

— Kochany księżę Guitrel, gdy nadarzy się sposobność, proszę liczyć na moją pomoc.

## V

Była w mieście partia, która głośno wskazywała księdza Lantaigne, rektora seminarium, jako kapłana godnego infuły i zdolnego zająć wakujący tron w Tourcoing, w oczekiwaniu na moment, gdy zgon arcybiskupa Charlot pozwoli mu w mitrze, z pastorałem w ręku i ametystowym pierścieniem na palcu powrócić do metropolii, świadka jego cnót i czynów. Był to plan czcigodnego pana Cassignol, byłego prezesa sądu apelacyjnego, pozostającego od dwudziestu pięciu lat na emeryturze. Do tych pla-

nów przyłączali się pan Lerond, zastępca prokuratora dymisjonowany w epoce dekretów, obecnie adwokat, i ksiądz de Lalonde, były kapelan wojskowy, obecnie kapelan Zgromadzenia Sióstr Zbawienia. Osoby te, wprawdzie bardzo szanowane w mieście, ale niezbyt wpływowe, stanowiły prawie całą partię księdza Lantaigne.

Zaproszono rektora seminarium na obiad do pana prezesa Cassignol, który mu rzekł w obecności księdza de Lalonde i pana Lerond:

— Księżę rektorze, stawaj w szranki! Kiedy trzeba będzie wybierać między księdzem Lantaigne, który tak godnie służył religii i Francji chrześcijańskiej, który powagą swego talentu i charakteru bronił praw Kościoła francuskiego, tak często w Kościele katolickim zdradzanych, wybierać między nim a księdzem Gutrel, nikt nie będzie na tyle bezczelny, aby się wahać. A że, jak się zdaje, tym razem naszemu miastu przypadnie zaszczyt dać biskupa miastu Tourcoing, wierni diecezji zgadzają się na chwilowe z tobą rozłączenie dla dobra episkopatu i naszej ojczyzny chrześcijańskiej.

I czcigodny pan Cassagnol, rozpoczynający osiemdziesiąty szósty rok życia, dodał z uśmiechem:

— Jestem święcie przekonany, że zobaczymy się znowu. Wrócisz do nas z Tourcoing, księżu rektorze!

Ksiądz Lantaigne odpowiedział:

— Panie prezydencie, nie ubiegając się o żadne zaszczyty, nie będę się uchylał od żadnych obowiązków.

Pragnął zasiąść na osieroconym tronie biskupa Duclou i spodziewał się tego. Ale u księdza Lantaigne duma mroziła ambicję, czekał więc, by mu mitrę biskupią ofiarowano.

Pewnego rana pan Lerond odwiedził go w seminarium i zawiadomił o postępach, które w ministerstwie poczyniła kandydatura księdza Gutrel. Podejrzewano, że na korzyść księdza Gutrel prefekt Worms-Clavelin rozpoczął energiczne zabiegi w biurach ministerstwa, gdzie wszyscy masoni otrzymali już odpowiednie rozkazy. Pan Lerond dowiedział się o tym w redakcji „Liberala”, klerykalnego i umiarkowa-

nego dziennika miejscowego. Jeśli chodzi o stanowisko kardynała arcybiskupa, nic zgoła nie wiadano.

Prawdą było, że Jego Eminencja kardynał arcybiskup nie odważył się dotychczas ani zwalczać, ani popierać żadnej kandydatury. Jego wrodzona ostrożność jeszcze wzrosła z latami. Jeśli nawet wyróżniał kogo swą przychylnością, nie zdradzał tego nigdy. Od dawna już skrywanie prawdziwych uczuć stało się jego zwyczajem i przyjemnością, tak jak codzienna partyjka bezika z księdzem de Goulet. Wyniesienie księdza z jego diecezji na nie podlegające mu biskupstwo właściwie wcale go nie obchodziło. Ale starano się wciągnąć go do tej intrygi. Prefekt, pan Worms-Clavelin, któremu nie chciał się narażać, kazał go wybadać. Jego Eminencja nie przeczył, że ksiądz Guitrel dał dowody ducha pojednawczego i niemałej zręczności. Z drugiej strony sądził, że ten Guitrel jest zdolny do wszystkiego. „Kto wie — myślał — czy nie zamierza on, zamiast iść do tej małej, ponurej metropolii w Galii północnej, posta-

rać się o nominację na stanowisko koadiutora? Jeśli uznam go za godnego biskupstwa, czy nie będzie to wyglądało, że sobie życzę, by podzielił ze mną tron arcybiskupi?” Obawa, by nie dano mu koadiutora, zatruwała starość arcybiskupa Charlot. Co do księdza Lantaigne, arcybiskup miał poważne powody, by zachować milczenie i pewną wstrzemięźliwość. Nie poparłby kandydatury tego księdza po prostu z tej przyczyny, że przewidywał jej porażkę. Jego Eminencja kardynał arcybiskup Charlot niechętnie stawał po stronie zwyciężonych. Ponadto nienawidził rektora seminarium. Co prawda, nienawiść ta w tak łagodnym i zgodnym sercu nie bruździła ambicjom księdza Lantaigne. Aby się go pozbyć, kardynał Charlot chętnie zgodziłby się zrobić go biskupem, nawet papieżem. Ksiądz Lantaigne miał opinię człowieka bardzo cnotliwego, uczonego, wymownego — trzeba było pewnego zuchwalstwa, żeby wypowiadać się przeciwko niemu. A kardynał Charlot, człowiek popularny i zabiegający o to, żeby być

w zgodzie ze wszystkimi, nie lekceważył opinii porządnych ludzi.

Pan Lerond nie znał tajemnych myśli kardynała, ale wiedział, że arcybiskupstwo jeszcze się nie wypowiedziało. Sądził, że można podziałać na duszę starca i że odwołanie się do jego cnót pasterskich nie byłoby daremne, nalegał więc na księdza Lantaigne, żeby niezwłocznie udał się do arcybiskupstwa.

— Z synowskim szacunkiem ksiądz zasięgnie rad Jego Eminencji na wypadek propozycji objęcia biskupstwa w Tourcoing. Jest to krok zupełnie poprawny i na pewno sprawi doskonałe wrażenie.

Ksiądz Lantaigne wymawiał się:

— Powinienem czekać na bardziej uroczyste postawienie mojej kandydatury.

— Cóż może być bardziej uroczyste od życzenia tylu gorliwych chrześcijan, którzy imię twe wymawiają z jednomyślnością przypominającą starożytne okrzyki ludowe na powitanie Medardów i Remigiuszów.

— Ależ, mój panie — odrzekł poczciwy Lantaigne — okrzyki te, jeśli już ten poniechany obyczaj przypominasz, wznosili wierni diecezji, do której zarządu te świątobliwe osobistości były powołane. A ja nic nie wiem o tym, by katolicy w Tourcoing na moją cześć wznosili okrzyki.

Wtedy adwokat powiedział, co powiedzieć należało:

— Jeśli nie zagrodzisz mu drogi, ksiądz Guitrel wejdzie na tron biskupi.

Nazajutrz ksiądz Lantaigne przywdział swój uroczysty płaszcz. Suta pelerynka niby skrzydła trzepotała na jego potężnych barach; po drodze do pałacu arcybiskupiego ksiądz modlił się, by Bóg Kościołowi francuskiemu oszczędził niezasłużonej hańby. Na krótko przedtem, zanim ksiądz Lantaigne stanął przed nim, Jego Eminencja otrzymał właśnie list z nuncjatury z prośbą o poufną opinię o księdzu Guitrel. Nuncjusz nie taił swej sympatii dla tego księdza inteligentnego, gorliwego, jak mówiono, zdolnego do prowadzenia owocnych pertrakta-



cji z władzą świecką. Jego Eminencja natychmiast podyktował opinię przychylną dla kandydata nuncjusza.

Ujrzawszy księdza Lantaigne, kardynał zawołał swym miłym, drżącym głosem:

— Księżę Lantaigne, jakże rad jestem, że cię widzę!

— Eminencjo, przyszedłem prosić Waszą Eminencję o ojcowską radę, na wypadek gdyby Ojciec święty, rzuciwszy na mnie przychylnie spojrzenie, naznaczył mnie...

— Bardzo szczęśliwy jestem, że cię widzę, księżę Lantaigne! Jakże w porę przychodzisz!

— Śmiałym, gdyby Wasza Eminencja nie uważał mnie za niegodnego bi...

— Jesteś, księżę rektorze, znakomitym teologiem i księdzem najuczeńszym w prawie kanonicznym. Jesteś autorytetem w drażliwych kwestiach dyscypliny. Nieocenione są twoje rady w sprawach liturgicznych i w ogóle we wszystkich kwestiach rytuału. Gdybyś nie był przyszedł, miałem cię wezwać; ksiądz de Goulet mo-

że to poświadczyć. W tej chwili bardzo mi jest potrzebna twa światła rada.

I Eminencja swą zartretyzowaną ręką, przywykłą do błogosławieństw, wskazał krzesło rektorowi seminarium.

— Racz posłuchać mnie, księżę rektorze. Proboszcz Św. Eksuperego, czcigodny ksiądz Laprune, tylko co stąd wyszedł. Trzeba ci wiedzieć, że ten biedny proboszcz znalazł dziś w swoim kościele wisielca, samobójcę. Wyobraź sobie jego alterację, głowę traci! Ja sam w podobnej sytuacji muszę zasięgnąć zdania najuczeńszego księdza w diecezji! Co mamy czynić? Odpowiedz!

Ksiądz Lantaigne milczał chwilę w skupieniu. Potem profesorskim tonem począł wykladać tradycje związane z zagadnieniem oczyszczania kościołów.

— Machabeusze, po wymyciu świątyni sprofanowanej przez Antiochusa Epifanesa w roku 164 przed Wcieleniem, uroczyście ją poświęci-

li. Pamiątką tego jest święto zwane Chanuka, czyli Odnowienie. Istotnie...

I dalej myśl swoją rozwijał.

Jego Eminencja słuchał z zachwyconą miną. Ksiądz Lantaigne wciąż wydobywał ze swej niewyczerpanej pamięci teksty odnoszące się do ceremonii oczyszczania, precedensy, argumenty, komentarze.

— Jan, rozdział X, wiersz 22... *Pontificale Romanum*<sup>37</sup>... Czcigodny Beda... Baronius...

Mówił tak przez trzy kwadranse.

Następnie kardynał arcybiskup wtrącił:

— Wiedzieć należy, że samobójcę znaleziono w kruchcie, po stronie lekcji.

— Czy wewnętrzne drzwi kruchty były zamknięte? — zapytał ksiądz Lantaigne.

— Hm, hm! — odrzekł kardynał. — Nie były zupełnie otwarte, ale nie były też całkowicie zamknięte.

— Uchylone zatem, Eminencjo?

— Tak, tak właśnie! Uchylone.

---

<sup>37</sup>„Pontificale Romanum”, „Pontyfikał rzymski” — rzymskokatolicka księga liturgiczna zawierająca modlitwy, ceremonie i obrzędy odprawiane przez papieży, biskupów i opatów. [przypis edytorski]

— A czy wisielec znajdował się w przestrzeni objętej kruchtą? Jest to punkt, który należy ściśle określić. Wasza Eminencja odczuwa całą jego doniosłość.

— Bez wątpienia, księże rektorze... Księże de Goulet, czy jedno ramię wisielca nie wystawało poza kruchtę na kościół?

Ksiądz de Goulet rumieniąc się odpowiedział jakimiś niezrozumiałymi dźwiękami.

— Zdaje mi się — rzekł kardynał — że wystawało ramię albo przynajmniej część ramienia.

Ksiądz Lantaigne wywnioskował z tych danych, że kościół Św. Eksuperego jest sprofanowany. Przypomniał precedensy i opowiedział, jak postąpiono po ohydnych zabójstwie arcybiskupa paryskiego w kościele Św. Szczepana. Przebiegł minione wieki, przeszedł rewolucję, kiedy bazyliki zamieniano na składy broni,

przypomniał Tomasza Becketa<sup>38</sup> i bezbożnego Heliodora<sup>39</sup>.

— Co za wiedza! Jaka prawidłowa doktryna — powiedział kardynał.

Wstał i podał księdzu rękę do ucałowania.

— Oddałeś mi nieocenioną przysługę, księżę Lantaigne; wiedz, że wysoko cenię twą wiedzę, i przyjmij moje pasterskie błogosławieństwo. Z Bogiem.

I tak odprawiony ksiądz Lantaigne spostrzegł, że nie mógł być powiedzieć ani słowa w doniosłej sprawie, w której przyszedł. Ale cały przejęty własną przemową, przepełniony swą wiedzą i rozumem, ujęty pochlebstwami arcybiskupa, zeszedł po okazałych schodach, argumentując sam sobie konieczność pilnego oczyszczenia kościoła parafialnego Św. Eksuperego po samobójstwie. Na ulicy jeszcze myślał o tym.

---

<sup>38</sup>*Thomas Becket* (1117–1170) — ang. polityk i arcybiskup Canterbury; na skutek konfliktu z królem Henrykiem II został zamordowany w katedrze w Canterbury. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*Heliodor* — postać biblijna (1Mch 3:1–40), wielkorządca, który w imieniu króla Syrii próbował rekwirować bogactwa zgromadzone w świątyni jerozolimskiej w II w. p.n.e. [przypis edytorski]

Schodząc krętą uliczką des Tintelleries spotkał proboszcza Św. Eksuperego, czcigodnego księdza Laprune'a, który zatrzymał się przed sklepem bednarza Lenfant i przyglądał się korkom. Wino jego kwaśniało, a on tę szkodę przypisywał wadliwemu korkowaniu butelek.

— To przykre — mruzczał — to przykre!

— A wasz wisielec? — zapytał ksiądz Lantaigne.

Na to pytanie zacny proboszcz Św. Eksuperego otworzył szeroko oczy i spytał zdziwiony:

— Jaki wisielec?

— Ten nieszczęśliwy samobójca, którego znaleźliście dziś rano w kruchcie waszego kościoła.

Usłyszawszy to przerażony ksiądz Laprune pomyślał, że jeden z nich, on albo ksiądz Lantaigne, postradał zmysły, i odrzekł, że nie znalazł żadnego wisielca.

— Jak to!?! — zapytał ksiądz Lantaigne, także teraz zdziwiony. — Nie znaleziono dziś rano wisielca w kruchcie waszego kościoła?

Proboszcz na znak przeczenia pokręcił dwa razy głową, na twarzy jego odbijała się najświętsza prawda.

Ksiądz Lantaigne wyglądał teraz tak, jakby dostał zawrotu głowy.

— Ależ Jego Eminencja kardynał arcybiskup sam przed chwilą powiedział mi, że znaleźliście wisielca w swoim kościele!

— Och! — odrzekł proboszcz Laprune, nagle uspokojony — Jego Eminencja chciał się zabawić. Lubi takie żarty. Celuje w tym i umie utrzymać się w granicach przyzwoitości. Och, on umie żartować!

Ale ksiądz Lantaigne wznosząc w niebo swój wzrok płomienny i ponury zawołał:

— Arcybiskup oszukał mnie! Ten człowiek chyba nigdy nie mówi prawdy, wyjąwszy wypadek, gdy u stopni ołtarza biorąc w ręce świętą

hostię wymawia słowa: *Domine, non sum dignus!*<sup>40</sup>

## VI

Odkąd generał Cartier de Chalmot zaniechał konnej jazdy, a chętnie przebywał w domu, całą swoją dywizję wypisał na kartkach i ułożył w tekturowych pudełkach, które co rano ustawiał na biurku, a co wieczór przenosił na półki z białego drzewa, umieszczone nad żelaznym łóżkiem. Skrupulatnie i porządnie utrzymywał swych tekturowych żołnierzy i to napełniało go zadowoleniem. Każda kartka wyobrażała jednego żołnierza. Ten sposób dowodzenia oficerami, podoficerami i żołnierzami zadowalał jego poczucie ładu i odpowiadał jego pojęciom o świecie. Cartier de Chalmot uchodził zawsze za świetnego oficera. Generał Parroy, pod którego rozkazami służył niegdyś, mówił: „U kapitana Chalmot zdolność posłuszeństwa i zdolność rozkazywania równoważą się. Jest to rzad-

---

<sup>40</sup>*Domine, non sum dignus* (łac.) — Panie, nie jestem godzien. [przypis edytorski]



ki i cenny przymiot prawdziwie wojskowego usposobienia”.

Cartier de Chalmot zawsze był człowiekiem obowiązku. Uczciwy i nieśmiały, doskonały kaligraf, znalazł wreszcie metodę odpowiadającą jego nieprzeciętnym zdolnościom i stosował ją z krańcową dokładnością, dowodząc swą dywizją żołnierzy na kartkach.

Tego dnia, wstawszy jak zwykle przed piątą rano, generał prosto z kąpieli przeszedł do biurka; podczas gdy słońce uroczyście i powoli wschodziło nad więzami arcybiskupstwa, generał organizował manewry, przestawiając pudełka, które wyobrażały rzeczywistość i dla tego umysłu, nadmiernie szanującego wszelkie godła, istotnie były identyczne z rzeczywistością.

Już przeszło od trzech godzin nachylał nad kartkami swe myśli i oblicze tak smutne i blade jak tektura sama, gdy służący zameldował mu księdza de Lalonde. Generał zdjął okulary, przetarł zaczerwienione od pracy oczy, wstał i prawie uśmiechnięty zwrócił ku drzwiom twarz

niegdyś piękną, która i w starości zachowała czystość i prawidłowość rysów. Wyciągnął do gościa szeroką rękę o dłoni prawie bez zmarszczek i głosem gwałtownym i bełkocącym, zdradzającym jednocześnie nieśmiałość człowieka i nieomylność wodza, powitał księdza:

— A, kochany kapelanie, jak się macie! Bardzo rad jestem, że was widzę!

I ręką wskazał mu jedno z krzeseł wypchanych włosiem; wraz z biurkiem i żelaznym łóżkiem były one całym umeblowaniem tego pokoju, czystego, jasnego i bez ozdób.

Ksiądz usiadł. Był to staruszek zadziwiająco ruchliwy. W jego ceglastej, zwiędłej, jakby pokruszonej twarzy tkwiły, jak dwa klejnoty, dziecięce błękitne oczy.

Patrzyli chwilę na siebie z sympatią, nic nie mówiąc. Byli to dwaj starzy przyjaciele, dwaj towarzysze broni. Ksiądz de Lalonde, obecnie kapelan Zgromadzenia Sióstr Zbawienia, był dawniej kapelanem wojskowym. Jako kapelan został przydzielony do pułku gwardii, w którym Cartier de Chalmot był pułkownikiem w ro-

ku 1870. Pułk ten należał do dywizji \*\*\* i z armią Bazaine'a<sup>41</sup> był zamknięty w Metz.

Wspomnienie tych żalosnych i epicznych tygodni zawsze przychodziło na myśl obu przyjaciółom, ilekroć się spotykali, za każdym razem też wypowiadali te same słowa. Tego ranka zaczął kapelan:

— Pamiętacie, generale, gdy byliśmy pod Metzem, jak to nam brakowało lekarstw, paszy i soli?...

Ksiądz de Lalonde był najmniej zmysłowym z ludzi. Osobiście mało odczuwał brak soli, ale cierpiał bardzo, że nie mógł dawać soli żołnierzom, tak jak im rozdawał tytoń w starannie zawiniętych paczkach. I przypomniał sobie ten dotkliwy brak.

— Ach, generale, jak nam było brak soli! Generał Cartier de Chalmot odrzekł:

— W pewnej mierze zaradzono temu dosypując do potraw prochu.

---

<sup>41</sup>*François Achille Bazaine* (1811–1888) — fr. generał, uhonorowany tytułem marszałka Francji. Podczas wojny francusko-pruskiej w 1871 r. dowodził nieudolnie i ostatecznie poddał Prusakom twierdzę Metz. Skazany na śmierć i degradację, zbiegł do Hiszpanii. [przypis edytorski]

— Bądź co bądź — rzekł kapelan — wojna jest czymś okropnym.

I ten poczciwy przyjaciel żołnierzy mówił tak z całą szczerością serca. Ale generał nie zgadzał się na to potępienie wojny.

— Za pozwoleniem, kochany kapelanie. Wojna jest koniecznością okrutną, bez wątpienia, ale oficerom i żołnierzom daje sposobność do okazania wyższych zalet. Bez wojny nie wiadano by, jak wiele dokazać może odwaga i wytrwałość ludzka.

I bardzo poważnie dodał:

— Biblia stwierdza prawowitość wojen, a wiecie lepiej ode mnie, kapelanie, że Boga nazywa się w niej Sabaoth, czyli Pan Zastępów.

Ksiądz uśmiechnął się z łagodną figlarnością, ukazując jedyne pozostałe mu, lecz białe jeszcze trzy zęby, i odrzekł:

— Eh! Nie umiem po hebrajsku. A Bóg ma tyle innych, piękniejszych imion, że mogę się obejść bez nazywania go tym właśnie. Niestety, generale, co za piękna armia zginęła pod wodzą tego nieszczęśliwego marszałka!...

Na te słowa generał Cartier de Chalmot zaczął znów mówić to, co setki razy powtarzał:

— Bazaine!... Nie zachował przepisów o twierdzeniach, był chwiejny w dowodzeniu, w obliczu wroga zaczynał knuć jakieś zamiary. A w obliczu nieprzyjaciela nie należy mieć tajnych, ukrytych myśli... Poddał się w otwartym polu... Zasłużył na swój los. Zresztą, potrzebny był kozioł ofiarny.

— Co do mnie — powiedział kapelan — zawsze się będę wystrzegał słów, które by mogły obciążyć pamięć nieszczęsnego marszałka. Nie potrafię sądzić jego czynów. I nie do mnie, zaiste, należy rozgłaszanie jego najbardziej dowiedzionych błędów. Wyrządził mi on bowiem dobrodziejstwo, za które wdzięczny mu będę dopóki życia.

— Dobrodziejstwo? — zapytał generał. — On? Wam?

— Och, dobrodziejstwo tak wielkie, tak piękne! Na moje prośby ułaskawił biednego żołnierza skazanego na śmierć za niesubordynację. Na pamiątkę tego dobrodziejstwa odprawiam

co rok mszę świętą za spokój duszy eks-mar-  
szałka Bazaine.

Ale generał Cartier de Chalmot nie dał się  
przekonać.

— Kapitulacja w otwartym polu... Niepo-  
jęte... Zasłużył na swój los.

I dla pokrzepienia serca generał zaczął mó-  
wić o Canrobercie<sup>42</sup> i o świetnych czynach jego  
brygady pod Saint-Privat.

A kapelan opowiadał zabawne historyjki za-  
prawione odrobiną nauki moralnej.

— Ach! Saint-Privat, generale! W wigi-  
lię bitwy przybiega do mnie jakiś drab z pułku  
strzelców. Widzę go jeszcze: cały czarny w swej  
baraniej skórze. Mówi mi: „Jutro będzie gorą-  
co. Może kości zostawię w tym tańcu. Pro-  
szę mnie wyspowiadać, a żywo! Muszę jesz-  
cze oczyścić swoją kobyłkę.” Mówię mu: „Nie  
chcę cię zatrzymywać, przyjacielu, ale trzeba,  
żebyś mi powiedział swe grzechy. Jakież są te

---

<sup>42</sup>*François Certain de Canrobert* (1809–1895) — fr. wojskowy i polityk; uczest-  
nik m.in. wojny krymskiej; w wojnie francusko-pruskiej pozostawił główne do-  
wództwo w rękach generała Bazaine’a, ale ze swoim korpusem wsławił się w bi-  
twie pod Saint-Privat. [przypis edytorski]

grzechy?” Patrzy na mnie zdziwiony i odpowiada: „Ależ wszystkie!” „Jak to wszystkie?” „Tak, wszystkie. Popełniłem wszystkie grzechy”. Potrząsam głową: „Wszystkie, mój przyjacielu, to bardzo dużo!... Powiedz mi, czy biłeś kiedy swoją matkę?” Na to pytanie mój strzelec rzuca się, podnosi ramiona, klnie jak poganin i woła: „Księżę kapelanie, kpisz sobie ze mnie!” Odpowiadam: „Uspokój się, przyjacielu, widzisz przecież, że nie popełniłeś wszystkich grzechów...”

Tak wesoło kapelan opowiadał pobożne historyjki z życia pułku. Potem dorzucał do nich morał: pobożni chrześcijanie są zawsze dobrymi żołnierzami. Błędem jest wypędzać religię z armii.

Generał Cartier de Chalmot godził się na te poglądy.

— Zawsze byłem tego zdania, drogi księżę. Niszcząc wierzenia spirytualistyczne niweczy się ducha wojskowego. Jakim prawem można żądać od człowieka ofiary życia, jeśli odbiera się mu nadzieję drugiego, lepszego istnienia?

A kapelan z dobrym, radosnym, niewinnym uśmiechem mówił:

— Powróci się do religii, zobaczycie, generale! Już się do niej zwracają zewsząd. Ludzie nie są tacy źli, na jakich wyglądają, a Bóg jest nieskończenie dobry.

Teraz dopiero przedstawił generałowi cel swych odwiedzin.

— Przyszedłem, generale, prosić was o wielką przysługę.

Generał Cartier de Chalmot zaczął słuchać uważniej, twarz jego, i tak smutna, sposepniała. Kochał i szanował starego kapelana i chciałby mu się przysłużyć, ale sama myśl wyświadczenia przysługi niepokoila jego surową uczciwość.

— Tak, generale, przyszedłem was prosić o przyczynienie się do dobra Kościoła. Znacie, generale, księdza Lantaigne, rektora seminarium w naszym mieście. Jest to kapłan wyróżniający się cnotą i wiedzą, znakomity teolog.



— Widywałem kilkakrotnie księdza Lantaigne. Wywarł na mnie korzystne wrażenie. Ale...

— Ach, generale, gdybyście jak ja słyszeli kazania księdza Lantaigne, bylibyście zdumieni jego wiedzą. A tylko słabą jej część mogłem ocenić. Trzydzieści lat życia spędziłem na przypominaniu Boga biednym żołnierzom jęczącym na łózkach szpitalnych. Wraz z pociechami religijnymi dawałem im tutki tytoniu. Od lat dwudziestu pięciu spowiadam świątobliwe dziewice, niewątpliwie pełne zasługi, ale usposobienia mniej miłego niż niegdyś moi żołnierze. Nigdy nie miałem czasu czytać ojców Kościoła, nie mam ani dość rozumu, ani wiedzy teologicznej, aby wedle zasług ocenić księdza Lantaigne, który jest chodzącą biblioteką. Ale mogę przynajmniej zapewnić, generale, że mówi on to, co czyni, i czyni to, co mówi.

I stary kapelan figlarnie mrużąc oko dodał:

— Niestety, nie wszyscy księża tym się odznaczają.

— I nie wszyscy wojskowi — dodał generał z bladym uśmiechem.

I obaj zamienili spojrzenia sympatii w swym wspólnym wstręcie do intryg i obłudy.

Ksiądz de Lalonde, który był jednak na swój sposób przebiegły, zakończył pochwałę księdza Lantaigue zdaniem:

— To doskonały kapłan. Jako żołnierz byłby doskonałym żołnierzem.

Generał zapytał znienacka:

— A więc cóż mogę dla niego uczynić?

— Pomóżcie mu, generale, przywdziać fiolety, na które bardzo zasługuje. Kandydatura jego na wakujące biskupstwo w Tourcoing postawiona. Proszę, abyście go poparli u ministra sprawiedliwości i wyznań, którego, jak mi mówiono, znacie osobiście.

Generał potrząsnął głową. Faktem było, że nigdy nie prosił o nic rządu. Cartier de Chalmot, monarchista i chrześcijanin, milcząco, lecz całkowicie potępiał Republikę. Nie czytał dzienników, nie rozmawiał z nikim, ale z zasady nie szanował władzy cywilnej, której działania nie

znał. Milczał i był posłuszny. W pałacach okolicznych podziwiano go za tę bolesną rezygnację. Wypływała ona z poczucia obowiązku, a wzmocniona była głęboką pogardą dla wszystkiego, co nie należało do wojska. Potęgowała ją wzrastająca trudność myślenia i wysłowienia, wywołana postępującą chorobą wątroby.

Wiedziano, że generał Cartier de Chalmot w głębi serca pozostał wierny monarchii. Mniej natomiast wiedziano, że pewnego dnia w roku 1893 serce jego doznało uczucia podobnego do tego, jakie chrześcijanie zowią doznaniem łaski, a które z siłą pioruna wnosi w serce człowieka nieznaną i głęboką błogość. Zdarzyło się to dnia 4 czerwca o piątej po południu w salonach prefektury. Tam, wśród kwiatów, które pani Worms-Clavelin sama ułożyła, prezydent Carnot, w przejeździe przez miasto, przyjął oficerów garnizonu. Generał Cartier de Chalmot, obecny ze swym sztabem, ujrzał po raz pierwszy prezydenta i nagle bez wiadomej, określić się dającej przyczyny przejęty został piorunującym podziwem. W jednej chwili przed łagod-

ną powagą głowy państwa ustąpiły wszystkie jego uprzedzenia. Zapomniał, że to najwyższy zwierzchnik cywilny. Uczuł dlań cześć i podziw. Zrozumiał, że węzłami sympatii i szacunku jest złączony z tym człowiekiem, żółtym i smutnym jak on, a dostojnym i pogodnym jak władca. Wybełkotał wówczas oficjalne powitanie, którego poprzednio wyuczył się na pamięć. Prezydent odpowiedział: „Dziękuję panu w imieniu Republiki i Ojczyzny, której lojalnie służysz”. Wtedy to od lat dwudziestu pięciu nagromadzone w sercu generała przywiązanie do nieobecnego księcia przelało się na prezydenta, którego spokojna twarz zachowywała zadziwiającą nieruchomość. Mówił głosem smutnym, bez drgnienia mięśni twarzy i warg, okolonych czarną brodą jakby żałobną pieczęcią. Z tej twarzy woskowej, o oczach pocziwych, jakby sennych, z tej piersi wątlej, wspniale czerwoną wstęgą orderu przepasanej, z całej tej postaci cierpiącego automatu generał wyczytał niedolę człowieka urodzonego pod złą gwiazdą, który nie śmiał się nigdy, a zarazem

powagę i dostojność wodza. Do podziwu jego przyłączyło się rozrzewnienie.

W rok później dowiedział się o tragicznym zgonie tego prezydenta, za którego gotów był umrzeć, a który odtąd ukazywał mu się w myśli sztywny i czarny, jak w koszarach zwinięty sztandar w pokrowcu. Od tej chwili nie znał już cywilnych władców Francji. Obchodzili go tylko jego zwierzchnicy służbowi, których słuchał z posępną dokładnością. Nierad, że musi odmawiać czcigodnemu księdzu de Lalonde, chwilę milczał w skupieniu, potem przedstawił powody:

— To kwestia zasad. Nigdy o nic nie proszę rządu. Przyznacie mi rację, prawda? Z chwilą gdy się przyjmie zasadę...

Kapelan spojrział nań z wyrazem smutku, rzuconym jakby zasłona na radosną twarz starca.

— Jakże mógłbym przyznać generałowi słuszość, ja, który zebrzę u wszystkich? Jestem zadowolonym żebrakiem. Dla Boga i ubogich zebrałem u wszystkich możliwych: u ministrów

króla Ludwika Filipa i u ministrów Rządu Tymczasowego, i Napoleona III, i obecnej Republiki. Wszyscy pomogli mi dokonać czegoś dobrego. A ponieważ, generale, znacie ministra wyznań...

W tej chwili ostry głos zawołał na korytarzu:

— Poulot! Poulot!

Otyła dama o siwych włosach zwiniętych w papiloty, w peniuarze, żywo wbiegła do pokoju. Była to pani Cartier de Chalmot, wzywająca generała na śniadanie.

Już z władczą czułością potrząsnęła była mężem i raz jeszcze zawołała „Poulot!”, gdy spostrzegła starego księdza wciśniętego w kąt koło drzwi.

Przeprosiła go za swój zaniedbany strój. Tego ranka miała tak dużo roboty! Trzy córki, dwóch synów, siostrzeniec-sierota, mąż: siedmioro dzieci, którymi zająć się trzeba!

— Ach, szanowna pani — rzekł ksiądz — Bóg panią zsyła! Będzie pani moją opatrznością.

— Opatrznością księdza, księżę kapelanie?

Opięte szarym szlafrokiem rozłożyście jej kształty świadczyły o majestacie kilkakrotnego macierzyństwa, twarz, zdobna wąsem, błyszcząca dumą matrony, szerokie ruchy zdradzały zwinność gospodyni przywykłej do pracy i swobodę kobiety przyzwyczajonej do oficjalnych hołdów. Generał zniknął poza nią. Była jego fortuną i duchem opiekuńczym; jej pracowitość i dzielność utrzymywała cały dom — ubogi, a wystawny. Paulina była tu jednocześnie szwaczką, kucharką, krawcową, służącą, nauczycielką, aptekarką, nawet modystką o naiwnie krzykliwym guście, na obiadach zaś i większych przyjęciach okazywała doskonałe wychowanie, dumny profil i piękne jeszcze ramiona. Powszechnie mawiano w dywizji, że gdyby generał został ministrem wojny, generałowa świetnie umiałaby czynić honory domu w pałacu przy bulwarze Saint-Germain.

Ruchliwa działalność i praca generałowej szczerze objawiały się na zewnątrz w pobożnych i miłosiernych uczynkach. Pani Cartier de

Chalmot była opiekunką trzech żłobków i dwunastu fundacji zaleconych przez kardynała arcybiskupa. Kardynał Charlot miał dla tej damy osobliwą predylekcję i mawiał niekiedy ze swym światowym uśmiechem: „Pani jest generałową w armii miłosierdzia chrześcijańskiego”. I Jego Eminencja zgodnie z głoszoną doktryną nie zapominał dodać: „A nie ma miłosierdzia poza miłosierdziem chrześcijańskim. Bo jedynie Kościół może rozwiązać zagadnienia społeczne, które niepokoją umysły i są specjalną troską naszego ojcowskiego serca”.

Tak też myślała pani generałowa Cartier de Chalmot. Była ona bardzo pobożna otwarcie, w sposób nieco krzykliwy, podobnie jak krzykliwy był jej głos i kwiaty na jej kapeluszach. Wiara jej, rozlewna i dekoratywna jak łono, w którym się mieściła, wspaniale objawiała się w salonach. Swymi uczuciami religijnymi generałowa wielce szkodziła mężowi. Ale oboje nie zważali na to. Generał także miał przekonania chrześcijańskie, co by mu nie przeszkodziło jednak aresztować kardynała arcybisku-



pa, gdyby dostał rozkaz na piśmie od ministra wojny. Pomimo to był podejrzany dla demokracji. Nawet prefekt Worms-Clavelin, bynajmniej nie fanatyk, uważał generała Cartier de Chalmot za człowieka niebezpiecznego. Była to wina generałowej. Miała ona ambicję, lecz jednocześnie wysokie poczucie honoru i nigdy by nie zdradziła swego Boga.

— W jakim to sposób mogę być opatrnością księdza kapelana?

A gdy dowiedziała się, że chodzi o wyniesienie na biskupstwo w Tourcoing księdza Lantaigne, człowieka tak wielkiej i stałej cnoty, ożywiła się i mężnie zawołała:

— Oto takich biskupów nam potrzeba! Ksiądz Lantaigne musi być mianowany!

Stary kapelan postanowił wyzyskać ten szlachetny zapal.

— Niech pani skłoni generała, żeby napisał do ministra wyznań, który, jak wiem, jest jego przyjacielem.

Potrząsnęła żywo swym wieńcem papilotów.

— Nie, księżę kapelanie. Mój mąż nie napisze. Zbyteczne nalegać. On uważa, że wojskowy nigdy o nic prosić nie powinien. I ma rację. Mój ojciec był też tego zdania. Ksiądz kapelan go znał i wie, że był to człowiek zasłużony i dobry żołnierz.

Były kapelan wojskowy uderzył się palcem w czoło.

— Pułkownik de Balny! Znałem go, oczywiście. To był bohater i chrześcijanin.

Generał Cartier de Chalmot przerwał:

— Główną zaletą pułkownika de Balny, mego teścia, było to, że znał dobrze cały regulamin kawalerii z roku 1829. Regulamin ten tak najeżony był trudnościami, że niewielu oficerów znało go w całości. Później zniesiono go, co zmartwiło pułkownika de Balny i przyśpieszyło jego zgon. Zaprowadzono nowe regulaminy, niewątpliwie odznaczające się większą prostotą. Nie wiem jednak, czy dawniejszy porządek rzeczy nie był lepszy. Trzeba dużo żądać od kawalerzysty, aby cokolwiek zeń wydobyć. To samo tyczy się piechoty.

I generał począł starannie manewrować swoimi żołnierzami w pudełkach. Pani Cartier de Chalmot niejednokrotnie słyszała to samo. Dawała zawsze jednakową odpowiedź. I teraz rzekła:

— Poulot! Jak możesz mówić, że papa umarł ze zmartwienia, kiedy został on rażony apopleksją podczas inspekcji!

Stary kapelan z niewinną przebiegłością wprowadził znów rozmowę na interesujący go przedmiot.

— Ach, łaskawa pani, zacny jej ojciec, pułkownik de Balny, pewnie by umiał ocenić charakter księdza Lantaigne i pragnąłby, żeby ten ksiądz został biskupem.

— Ależ ja także, księżę kapelanie, życzę mu tego — odrzekła generałowa. — Mój mąż jednak nie powinien czynić starań. Ale jeśli ksiądz sądzi, że wstawiennictwo moje może być użyteczne, powiem słówko Jego Eminencji. Nasz arcybiskup wcale mnie nie przeraża.

— Zapewne, słówko z ust szanownej pani... — mruknął staruszek. — Jego Eminencja pewnie będzie miał dla niej życzliwe ucho.

Generałowa oznajmiła, że zobaczy się z arcybiskupem na inauguracji towarzystwa „Chleba Świętego Antoniego”, którego była prezeską, i że tam...

Urwała nagle.

— Kotlety!... Ksiądz kapelan daruje...

Wybiegła na korytarz i ze schodów dawała jakieś rozkazy kucharce. Potem znów ukazała się w pokoju.

— I tam wezmę go na stronę i poproszę, żeby przemówił do nuncjusza na korzyść księdza Lantaigne. Czy dobrze?

Stary kapelan uczynił gest, jakby ją chciał wziąć za rękę, ale tego nie uczynił.

— To, to właśnie, łaskawa pani. Pewien jestem, że dobry święty Antoni Padewski będzie z panią i pomoże jej przekonać Jego Eminencję kardynała arcybiskupa. To wielki święty. Mówię o świętym Antonim... Panie nie powinny

myśleć, że zajmuje się on wyłącznie odszukiwaniem zagubionych klejnotów... Ma on w niebie co innego do roboty. Prosić go o chleb dla biednych — to już lepsze, oczywiście. Pani to pojęła, łaskawa pani. „Chleb Świętego Antoniego” to piękne dzieło miłosierdzia. Chcę bliżej z nim się zapoznać. Ale słowa o tym nie pisnę moim dobrym siostronom.

Mówił o Zgromadzeniu Sióstr Zbawienia, których był kapelanem.

— Mają one aż za dużo prac pobożnych. Święte to dziewice. Ale zanadto przywiązane są do drobnych praktyk te małosłowne, biedne niewiasty.

Westchnął wspomniawszy czasy, kiedy był kapelanem pułkowym, owe tragiczne dni wojny, kiedy towarzyszył rannym na noszach ambulansowych i pokrzepiał ich kropelką wódki. Rozdając rum i tytoń spełniał misję kapłańską. Uległ jeszcze pokusie, by opowiadać o walkach pod Metzem; rozpoczął od anegdotek. Miał ich dużo w zapasie, zwłaszcza o pewnym saperze,

nazwiskiem Larmoise, Lotaryńczyku, człeku zasobnym w różne wybiegi.

— Nie mówiłem wam, generale, że ten czart, mój saper, co dzień przynosił wór kartofli. Zapytałem go raz, gdzie je wykopuje. Odpowiada mi: „Wśród linii nieprzyjacielskich”. Ja na to: „Nieszczęsny!” Wtedy powiada mi, że znalazł krajanów wśród gwardzistów niemieckich. „Krajanów?” — „Tak, krajanów, chłopów od nas. Dzieli nas tylko granica. Uściskaliśmy się, pogadaliśmy o rodzicach, przyjaciółach. I powiedzieli mi: Możesz brać kartofli, ile ci się podoba”.

I kapelan dodał:

— Prosta ta przygoda lepiej niż wszelkie rozumowania dała mi poznać, jak wojna jest niesłuszna i okropna.

— Tak — rzekł generał — te niepożądane przyjaźnie zdarzają się niekiedy tam, gdzie się armie stykają. Trzeba je tępić surowo, biorąc jednak pod uwagę okoliczności.

## VII

Tego wieczora ksiądz Lantaigne, rektor seminarium, w czasie swej zwykłej przechadzki wzdłuż wałów spotkał profesora nadzwyczajnego na wydziale humanistycznym, pana Bergeret, który uchodził za umysł znakomity, lecz dziwaczny.

Ksiądz Lantaigne wybaczał mu jego sceptycyzm i chętnie z nim rozmawiał, gdy spotkał go w cienistej alei więzów. Pan Bergeret ze swej strony rad był badać duszę inteligentnego księdza. Obaj wiedzieli, że ich rozmowy na ławce w alei publicznej nie podobają się ani dziekanowi wydziału, ani arcybiskupowi. Ale księdzu Lantaigne obca była przezorność ludzka, a pan Bergeret, bardzo znużony, zniechęcony i smutny, dawno wyrzekł się względów bezużytecznych.

Jego przyzwoita i taktowna niewiara, częste napady dewocji jego żony i nie kończące się katechizowanie córek sprawiły, że w biurach ministerstwa uchodził za klerykała, niektóre zaś przypisywane mu zdania wyzyskiwali

przeciwko niemu katolicy z przekonania i patrioci z zawodu. Zawiedziony w swej ambicji, pan Bergeret chciał przynajmniej żyć według swej woli i, nie potrafiwszy podobać się, dyskretnie starał się nie podobać.

Tego jasnego i cichego wieczora, ujrawszy księdza Lantaigne, który zbliżał się zwykłą drogą, pan Bergeret postąpił kilka kroków ku niemu i spotkał się z nim pod pierwszymi więzami alei.

— „Szczęsne mi miejsce, w którym cię spotykam”<sup>43</sup> — przemówił ksiądz Lantaigne, który wobec profesora literatury chętnie popisywał się cytatami literackimi.

W kilku niezbyt sprecyzowanych zdaniach wyrazili całą litość, jaką wzbudzał w nich świat, w którym żyć musieli. Ksiądz Lantaigne ubolewał nad upadkiem tego starożytnego grodu, w wiekach średnich tak bogatego w idee i na-

---

<sup>43</sup>*Szczęsne mi miejsce, w którym cię spotykam* (fr. *La place m'est heureuse à vous y rencontrer*) — cytat ze *Szkoły żon* Molière'a (akt VI, scena VI). [przypis edytorski]



ukę, a teraz podległego kilku sklepikarzom-  
-masonom; pan Bergeret natomiast mówił:

— Ludzie byli dawniej tacy jak i dzisiaj, to jest mierni zarówno w dobrym, jak w złym.

— O nie! — odrzekł ksiądz Lantaigne — ludzie mieli tęgi charakter i mocne doktryny w owych czasach, gdy Rajmund Wielki, nazywany *Doctor balsamicus*, wykładał w tym mieście cały zasób wiedzy ludzkiej.

Ksiądz i profesor zasiedli na kamiennej ławce, na której siedzieli już dwaj milczący, bladzi i znużeni starcy. Z ławki był widok na zieloną łąkę, która opadała miękko w przejrzystej mgle aż do topoli rosnących nad rzeką.

— Księżę rektorze — rzekł profesor — jak wszyscy, przerzuciłem i ja w bibliotece miejskiej *Hortus* i *Thesaurus* Rajmunda Wielkiego. Nadto czytałem świeżo wydaną książkę księdza Cazeaux o Doktorze balsamicznym. Otóż, co mnie w tej książce uderzyło...

— Ksiądz Cazeaux jest jednym z moich uczniów — przerwał ksiądz Lantaigne. — Jego książka o Rajmundzie Wielkim opiera się

na faktach, co jest zaletą, i na słusznej doktrynie, co jest bardziej jeszcze pochwałą godną i rzadką, gdyż doktryna zatracą się coraz bardziej w tej Francji upadłej, która była największym narodem, póki była najmocniejsza w teologii.

— Ta książka księdza Cazeaux — ciągnął pan Bergeret — wydała mi się interesująca z różnych powodów. Nie znając teologii błąkałem się w niej nieraz. Ale wyrozumiałem z niej, że błogosławiony Rajmund, ten mnich tak bardzo prawowierny, twierdził, że mędrzec może mieć o tym samym przedmiocie dwa różne, wręcz sprzeczne sądy: jeden teologiczny, zgodny z Objawieniem, drugi czysto ludzki — oparty na doświadczeniu lub rozumowaniu. *Doctor balsamicus*, którego posąg tak poważnie zdobowią podwórzec pałacu arcybiskupiego, utrzymywał, o ile zrozumiałem, że ten sam człowiek może jako obserwator i uczony zaprzeczać prawdę, w którą jako chrześcijanin wierzy i którą wyznaje. I zdawało mi się, że ksiądz Cazeaux,

uczeń księdza rektora, godzi się na taki dziwny system.

Ksiądz Lantaigne, ożywiony tym, co usłyszał, wyciągnął z kieszeni czerwoną chustkę, którą rozwinął jak sztandar, i z twarzą pałającą, z szeroko otwartymi ustami, z czołem podniesionym, rzucił się śmiało w szranki dysputy.

— Panie Bergeret, czy można mieć o tej samej sprawie dwa zupełnie różne sądy, jeden teologiczny, pochodzenia boskiego, drugi czysto racjonalny lub doświadczalny, ludzki — to pytanie rozstrzygam twierdząco. I wykażę panu słuszność tej pozornej sprzeczności na najprostszym przykładzie. Kiedy siedząc w swym gabinecie przed stołem zarzuconym księgami i papierami wołasz: „To nie do uwierzenia, w tej chwili położyłem na stole nóż do rozcinala papieru i nie mogę go znaleźć; widzę go, zdaje mi się, że widzę go jeszcze, a już go nie widzę”, gdy tak myślisz, panie Bergeret, masz dwa zupełnie odmienne sądy o tym samym przedmiocie; jeden, że twój nóż jest na stole, bo na nim być powinien — ten sąd oparty jest na

rozumie; drugi, że noża nie ma na stole, skoro go nie znajdujesz; ten oparty jest na doświadczeniu. Oto dwa niezgodne z sobą sądy o tym samym przedmiocie. A jednak są równoczesne. Jednocześnie twierdzisz, że nóż jest i że go nie ma na stole. Wołasz: „Jest tu, jestem tego pewien”, i w tej samej chwili doświadczasz, że go nie ma.

I skończywszy swoje dowodzenie ksiądz Lantaigne, jakby sztandarem scholastyki, potrząsnął swą kratkowaną chustką, upstrzoną tabaką.

Ale profesor nadzwyczajny na wydziale humanistycznym nie był przekonany. Nietrudno mu było wykazać pustkę tego sofizmu; oszczędzając swego słabego głosu, odrzekł z cicha, że szukając noża doświadczają po kolei, nie zaś jednocześnie obawy i nadziei, skutków niepewności, która trwać nie może, bo ostatecznie zawsze skończyć się musi na tym, że z pewnością się stwierdzi, czy nóż jest na stole, czy go nie ma.

— Nic w tym przykładzie z nożem, nic absolutnie — dodał — nie da się porównać ze sprzecznym sądem, jaki by błogosławiony Rajmund, ksiądz Cazeaux lub ksiądz rektor mogli mieć o jakimś fakcie z Biblii, gdyby twierdzili, że jest jednocześnie prawdziwy i fałszywy. Ksiądz pozwolił mi także uciec się do przykładu. Wybieram nie dlatego, żeby księdza zakłopotać, ale dlatego, że ten przykład sam mi się na myśl nasuwa, wybieram scenę, kiedy Jozue „wstrzymał słońce”...

Pan Bergeret przesunął językiem po wargach i uśmiechnął się. W głębi duszy był wolterianinem.

— ...Jozue wstrzymał słońce. Czyż ksiądz rektor powie jednocześnie, że Jozue słońce zatrzymał i nie zatrzymał go?

Rektor seminarium bynajmniej nie wyglądał na zmieszanego. Świetny dialektyk zwrócił na swego oponenta spojrzenie płomiennych oczu i tchnienie szerokich piersi.

— Zastrzegając się przede wszystkim co do prawdziwej interpretacji, jednocześnie przenośnej i dosłownej owego ustępu *Księgi Jozuego*, który pan wymienił i na którym przed panem rozbiło się niebacznie tylu niedowiarków, odpowiem śmiało: tak, mam dwa zupełnie różne sądy o tym cudzie. Jako fizyk wierzę zgodnie z zasadami fizyki, to znaczy na podstawie obserwacji, że ziemia kręci się dookoła słońca, nieruchomego. Jako teolog wierzę, że Jozue słońce zatrzymał. Jest w tym sprzeczność. Ale sprzeczność ta nie jest nie do usunięcia. Zaraz to panu wykażę. Idea, którą sobie o słońcu tworzymy, jest czysto ludzka i nie może obowiązywać Boga. Dla człowieka ziemia kręci się dookoła słońca. Zgadzam się na to i przyznaję słuszność Kopernikowi. Ale nie posunę się do tego, by zmuszać Boga, aby tak jak ja był uczniem Kopernika, nie będę dochodził, czy dla Boga ziemia kręci się, czy też nie kręci dookoła słońca. Prawdę powiedziawszy, nie potrzebowałem tekstu *Księgi Jozuego*, by wiedzieć, że astronomia ludzka nie jest astronomią Boga. Teorie

i obliczanie czasu, liczb, przestrzeni nie dotyczą nieskończoności; jest myślą niedorzeczną chcieć Ducha Świętego zawikłać w sprzecznościach matematycznych i fizycznych.

— A zatem — zapytał profesor — godzi się ksiądz z tym, że nawet w matematyce można mieć dwa sprzeczne sądy, jeden boski, drugi ludzki?

— Nie lękam się tej ostateczności — odrzekł ksiądz Lantaigne. — Ścisłość matematyki bardzo zbliża ją do prawdy absolutnej. Ale liczby groźne są tylko o tyle, o ile rozum, szukając w nich uzasadnienia dla siebie, zbłądzi tak dalece, iż we wszechświecie widzi jedynie system liczb. Błąd ten jest potępiony przez Kościół. Jednakowoż powiem śmiało, że matematyka ludzka nie jest matematyką boską. Bez wątpienia nie może być sprzeczności między jedną i drugą i chcę wierzyć, że nie każesz mi powiedzieć, iż dla Boga trzy plus trzy może równać się dziewięć. Ale my nie znamy wszystkich właściwości liczb, a Bóg je zna. Wiem, że

są księża uważani za wybitnych, którzy utrzymują, iż wiedza godzić się winna z teologią. Nienawidzę tej zuchwałości, powiedziałbym — tej bezbożności: bo jest pewna bezbożność w tym, by jednoczyć prawdę absolutną, niewzruszoną, z tym rodzajem prawdy niezupełnej i przejściowej, którą zowiemy wiedzą. To szaleństwo, dążące do spojenia rzeczywistości z pozorem, ciała z duszą, wytworzyło już mnóstwo nędznych i szkodliwych sądów, którymi współcześni apologeci dowiedli tylko swej zuchwałej słabości. Jeden z nich, wybitny członek zakonu jezuitów, uznaje wielość światów zamieszkanych; zgadza się, by istoty inteligentne zamieszkiwały Marsa i Wenus, jednak tylko dla ziemi pragnie zachować przywilej Odkupienia, przez co ona staje się jedyną i wyróżnioną w stworzeniu. Drugi, który nie bez powodzenia zajmował w Sorbonie obaloną dziś katedrę teologii, przypuszcza, że geolog mógłby odnaleźć ślady preadamitów, i genezę biblijną redukuje do jednego powiatu we wszechświecie, przeznaczonego na pobyt Adama i jego potomstwa.



Pospolite szaleństwa! Smutne zuchwalstwa! Stare nowinki już stokrotnie potępiane! Targają one tylko uroczystą jedność! O ileż lepiej jest głosić, jak Rajmund Wielki i jego historyk, że religia i wiedza nie powinny łączyć się, tak jak nie łączą się absolut i względność, skończoność i nieskończoność, cień i światło!

— Ksiądz rektor — zauważył profesor — gardzi wiedzą.

Ksiądz potrząsnął głową przecząco.

— Bynajmniej, panie Bergeret, bynajmniej! Za przykładem świętego Tomasza z Akwinu i wszystkich doktorów Kościoła sądzę, że wiedzę i filozofię należy starannie uprawiać w szkołach. Nie gardzi się wiedzą bez gardzenia rozumem, nie gardzi się rozumem bez gardzenia człowiekiem, nie gardzi się człowiekiem bez obrazy Boskiej. Niebaczny sceptycyzm względem rozumu ludzkiego jest pierwszym stopniem do zbrodniczego sceptycyzmu, który rzuca się na tajemnice boskie. Cenię wiedzę jako dobrodziejstwo dane nam od Boga. Ale jeśli Bóg dał nam wiedzę, nie dał nam *swojej* wiedzy. Je-

go geometria nie jest naszą. Nasza tyczy się płaszczyzny lub przestrzeni. Jego — spełnia się w nieskończoności. Bóg nas nie zwiódł; dlatego sędzę, że istnieje prawdziwa wiedza ludzka. Nie dał nam poznać wszystkiego; dlatego twierdzę, że ta wiedza, aczkolwiek prawdziwa, jest bezsilna wobec Prawdy Prawd. I rozdzwięk ten, ilekroć się z nim spotykam, stwierdzam bez lęku; nie dowodzi on niczego ani przeciwko niebu, ani przeciwko ziemi.

Pan Bergeret przyznał, że system ten wydaje mu się równie zręczny, jak śmiały i zgodny z interesami wiary.

— Ale — dodał — nie jest to doktryna naszego arcybiskupa. Jego Eminencja kardynał Charlot w swych orędziach pasterskich chętnie mówi o prawdach religijnych, potwierdzonych odkryciami nauki, a głównie doświadczeniami Pasteura.

— Och! — odrzekł ksiądz Lantaigne nosowym głosem, w którym brzmiało lekceważenie — w zakresie filozofii Jego Eminencja zachowuje ewangeliczne ubóstwo.

W chwili gdy zdanie to brzmiało wśród drzew, opasła postać w sutannie i kapeluszu księżym przesunęła się przed ławką.

— Niech ksiądz mówi ciszej, księżę rektorze — rzekł profesor — ksiądz Guitrel nas słyszy.

## VIII

Prefekt Worms-Clavelin rozmawiał z księdzem Guitrel w magazynie pana Rondonneau, złotnika i jubilera. Rozparł się w fotelu, założył nogę na nogę tak, że podeszwa trzewika prawie dotykała podbródka łagodnego staruszka.

— Księżę profesorze, ksiądz może powiedzieć szczerze jako człowiek oświecony: ksiądz widzi w religii zbiór przepisów moralnych, niezbędną dyscyplinę, nie zaś przestarzałe dogmaty i tajemnice, których absurdalność wcale nie jest tajemnicza.

Guitrel jako ksiądz miał doskonałe zasady postępowania. Jedną z nich było unikanie skandalu i milczenie raczej niż podawanie praw-

dy na pośmiewisko niedowiarków. A że ostrożność ta zgadzała się z jego usposobieniem, zachowywał ją ściśle. Ale pan prefekt Worms-Clavelin nie odznaczał się dyskrecją. Jego wielki, mięsisty nos i grube wargi wydawały się jakby potężnymi narządami do wciągania i wchłaniania, czoło zaś w tył podane i wyłupiate, blade oczy zdradzały doskonałą odporność na wszelką subtelność moralną. Nalegał więc dalej, przeciwko dogmatom chrześcijańskim przytaczał argumenty łóz masońskich i kawiarni literackich i zakończył tym, że dla człowieka inteligentnego niemożliwe jest wierzyć choćby w jedno słowo katechizmu. I kładąc na ramieniu księdza rękę wielką, zdobną w pierścienie, rzekł:

— Kochany ksiądz profesor nic nie odpowiada, ksiądz jest mego zdania.

Ksiądz Guitrel zmuszony był jak męczennik złożyć wyznanie wiary.

— Wybacz pan, panie prefekcie, ale katechizm, ta mała książeczka, którą w pewnych sferach ostentacyjnie lekceważą, zawiera wię-

cej prawd niż tak okrzyczane w świecie grube traktaty filozoficzne. Katechizm łączy najuczeńszą metafizykę z najskuteczniejszą prostotą. Nie jest to moja ocena, wypowiedział ją znamienity filozof, pan Jules Simon<sup>44</sup>, który stawia katechizm wyżej niż *Timaios* Platona.

Prefekt nie śmiał sprzeciwić się zdaniu byłego ministra. Jednocześnie przypomniał sobie, że jego hierarchiczny zwierzchnik, obecny minister spraw wewnętrznych, jest protestantem. Rzekł zatem:

— Jako urzędnik szanuję jednakowo wszystkie wyznania, protestantyzm tak samo jak katolicyzm. Jako człowiek jestem wolnomyślicielem, ale gdybym miał jakiemu systemowi dogmatów oddać pierwszeństwo, skłoniłbym się na stronę reformacji.

Ksiądz Guitrel odpowiedział głosem pełnym namaszczenia:

— Są niewątpliwie między protestantami ludzie wielce szanowni dla swych obyczajów,

---

<sup>44</sup>Jules Simon (właśc. François-Jules Suisse; 1814–1896) — fr. filozof i polityk. [przypis edytorski]

śmiem powiedzieć, ludzie wzorowi według opinii świata. Ale kościół rzekomo reformowany jest tylko członkiem oderwanym od Kościoła katolickiego, a miejsce rozdarcia krwawi dotąd.

Obojętnie słuchając tych silnych słów, zapożyczonych u Bossueta, prefekt wyjął grube cygaro z cygarnicy, po czym podał ją księdzu.

— Służę cygarem, księżę profesorze.

Nie mając pojęcia o dyscyplinie kościelnej i przypuszczając, że palenie jest duchowieństwu wzbronione, chciał cygarem swym zakłopotać lub skusić księdza Guitrel. W nieświadomości swojej sądził, że cygarem doprowadzi księdza do grzechu lub skłoni go do nieposłuszeństwa, może do świętokradztwa, prawie do apostazji. Ale ksiądz Guitrel spokojnie wziął cygaro i włożył je ostrożnie do bocznej kieszeni sutanny, mówiąc, że je wypali u siebie w pokoju po wieczery.

Tak gwarzyli w gabinecie jubilera pan prefekt Worms-Clavelin i ksiądz Guitrel, profesor retoryki w seminarium. Rondonneau młodszy,

dostawca arcybiskupstwa i prefektury zarazem, był obecny przy rozmowie nie biorąc w niej udziału. Załatwiał swe listy, a łysa jego czaszka pochylała się to nad rejestrami handlowymi, to nad próbkami kruszcu nagromadzonymi na stole.

Nagle prefekt podniósł się, pociągnął księdza Guitrel w drugi koniec pokoju, we framugę okna, i rzekł mu do ucha:

— Kochany księże Guitrel, czy ksiądz wie, że wakuje biskupstwo w Tourcoing?

— Istotnie — odrzekł ksiądz — słyszałem o śmierci księdza biskupa Duclou. To wielka strata dla Kościoła francuskiego. Biskup Duclou był człowiekiem równie zasłużonym, jak skromnym. Był świetnym uczonym w homiletyce. Jego listy pasterskie mogą służyć za wzór w tej dziedzinie. Ośmielę się wspomnieć, że znałem go w Orleanie, gdy był tylko księdzem Duclou, czcigodnym proboszczem parafii Św. Sylwestra, i że wówczas zaszczycał mnie swoją przyjaźnią i życzliwością. Wiadomość o jego

przedwczesnym zgonie była dla mnie szczególnie bolesna.

Umilkł i opuścił dolną wargę na znak strapienia.

— Nie o to chodzi — rzekł prefekt. — Umarł. Ktoś musi go zastąpić.

Twarz księdza Guitrel w jednej chwili zmieniła się. Zmrużył małe, okrągłe oczka i wyglądał jak szczur, który spostrzegł słoninę w spiżarni.

— Ksiądz rozumie, kochany księżo Guitrel — ciągnął prefekt — że cała ta sprawa nic mnie nie obchodzi. Nie ja mianuję biskupów. Nie jestem ani kanclerzem, ani nuncjuszem, ani papieżem, dzięki Bogu.

Roześmiał się.

— Ale proszę mi powiedzieć, w jakich stosunkach ksiądz jest z nuncjuszem?

— Nuncjusz, panie prefekcie, spogląda na mnie życzliwie jako na uległego i pokornego syna Ojca Świętego. Ale nie pochlebiam sobie, żeby mnie szczególnie wyróżniał na tym



skromnym stanowisku, które zajmuję i na którym pozostać pragnę.

— Księżę profesorze, mówię z księdzem o tej sprawie zupełnie poufnie, nieprawdaż? Bo mówi się o tym, żeby do Tourcoing posłać księdza z mego departamentu. Wiem z dobrego źródła, że wysuwają na pierwszym miejscu nazwisko księdza Lantaigne, rektora seminarium. Nie jest wykluczone, że zażądam ode mnie poufnej opinii o tym kandydacie. Jest on zwierzchnikiem księdza. Co ksiądz myśli o tym?

Ksiądz Guitrel odrzekł spuszczać oczy:

— To pewne, że na tron uświęcony niegdyś przez apostoła Lupusa ksiądz Lantaigne wniósłby znamienite zalety i cenny dar słowa. Jego kazania wielkopostne u Św. Eksuperego ceniono wysoko zarówno dla podniosłych myśli, jako też dla siły wysłowienia. Wszyscy zgadzają się na to, że do doskonałości brak im tylko namaszczenia, tej oliwy wonnej i błogosławionej, która, śmiem rzec, sama jedna tylko przenika serca. Proboszcz Św. Eksupere-

go pierwszy rad zaznaczył, że ksiądz Lantaigne, wstępując na mównicę najczcigodniejszej bazyliki diecezji, dobrze zasłużył się wielkiemu apostołowi Galii, jej założycielowi, przez zapal i gorliwość, których nadmiar nawet znajduje wytłumaczenie w swym miłosiernym źródle. Ubolewał tylko nad wycieczkami mówcy na teren dziejów współczesnych. Bo należy przyznać, że ksiądz Lantaigne nie waha się stąpać po żarzących jeszcze popiołach. Ksiądz Lantaigne jest człowiekiem znakomitym przez pobożność, wiedzę, talent. Jaka szkoda, że ksiądz ten, godzien wznieść się na najwyższe szczeble hierarchii, uważa, że na pokaz winien wystawiać przywiązanie, chwalebne zapewne w zasadzie, lecz nieumiarkowane w skutkach, do rodziny wygnanej, która darzyła go dobrodziejstwami! Chętnie pokazuje on egzemplarz *Naśladowania Jezusa Chrystusa* oprawny w złoto i purpurę. Otrzymał tę książkę od hrabiny Paryża<sup>45</sup> i chlubi się

---

<sup>45</sup>*hrabiny Paryża* — Maria Izabela d'Orléans (1848–1919), infantka Hiszpanii, kuzynka i żona Filipa d'Orléans (1838–1894), hrabiego Paryża i następcy tronu fr. [przypis edytorski]

swą wiernością i wdzięcznością. I jak to smutno, że pycha, którą wybaczyć można człowiekowi obdarzonemu tak wielkimi zdolnościami, ponosi go aż do tego stopnia, że w parku publicznie wyraża się o Jego Eminencji kardynała arcybiskupie w słowach, których nie śmiałbym powtórzyć! Niestety! Choćbym zmilczał, wszystkie drzewa w alejach naszego ogrodu powtórzą panu słowa księdza Lantaigne wyszeptane do pana Bergeret, profesora nadzwyczajnego na wydziale humanistycznym: „Jeżeli o rozum idzie, Jego Eminencja zachowuje ubóstwo ewangeliczne!” Tak wyraża się stale. Czyż nie słyszano go na ostatnim wyświęcaniu księży, gdy Jego Eminencja zbliżał się przybrany w szaty pontyfikalne, które mimo małego wzrostu umie nosić z taką godnością, czyż nie słyszano, jak powiedział: „Pastorał złoty, biskup drewniany”? Krytykował w ten sposób, bardzo nie w porę, zarówno przepych, z jakim Jego Eminencja odprawia nabożeństwo, jako też i wystawność jego oficjalnych obiadów, głównie zaś obiadu wydanego na cześć generała dowodzą-

cego dziewiątym korpusem armii. Pan był również zaproszony na ten obiad, panie prefekcie. I właśnie lepsze stosunki, jakie zapanowały między arcybiskupstwem a prefekturą, szczególnie rażą księdza Lantaigne. Wbrew zasadom świętego Piotra i naukom Jego Świątobliwości Leona XIII ma on chęć przedłużyć te przykre nieporozumienia, które szkodzą zarówno Kościołowi, jak i Państwu.

Prefekt słuchał z otwartymi ustami, jak to miał w zwyczaju. Potem wybuchnął:

— Ten Lantaigne jest przepojony najobrzydliwszym duchem klerykalnym! Cóż ma przeciwko mnie? Cóż mi zarzuca? Czyż nie jestem dość wyrozumiały, liberalny? Czyż nie przymykałem oczu, kiedy ze wszystkich stron mnisi i zakonnice wracali do klasztorów i do szkół? Bo choć stanowczo trzymamy się podstawowych praw Republiki, nie stosujemy ich wcale. Lecz księża są niepoprawni. Jesteście wszyscy jednacy! Gdy sami prześladować nie może-

cie, krzyczycie, że jesteście prześladowani. A co o mnie mówi ten wasz Lantaigne?

— Nie można nic określonego zarzucić rządowi pana prefekta Worms-Clavelin, ale człowiek tak nieprzejednany, jak ksiądz Lantaigne, nie przebaczy ani związków z masonerią, ani pochodzenia izraelskiego.

Prefekt strząsnął popiół z cygara.

— Żydzi nie są mi przyjaciółmi. Nie mam żadnych stosunków ze światem żydowskim. Ale niech ksiądz będzie spokojny, księżo profesorze, gwarantuję, że ksiądz Lantaigne nie będzie biskupem Tourcoing. Mam przecież dosyć wpływów w biurach ministerialnych, by mu dać mata... Proszę mnie słuchać uważnie, księżo Guitrel: nie miałem pieniędzy, gdy rozpoczynałem karierę. Wyrobiłem sobie stosunki i dziś mam ich niemało, i to dobrych. Stosunki są warte prawie tyle, co majątek. Będę czuwał nad tym, żeby ksiądz Lantaigne skręcił kark w kancelariach ministerstwa. Moja żona ma zresztą kandydata na biskupstwo w Tour-

coing. A tym kandydatem jest ksiądz, księżę Guitrel.

Na te słowa ksiądz Guitrel spuścił oczy i wzniósł ramiona.

— Ja miałbym zasiąść na tronie uświęconym przez błogosławionego Lupusa i przez tytu pobożnych apostołów Galii północnej! Pani Worms-Clavelin powzięła myśl podobną?

— Kochany księżę Guitrel, moja żona chce, żebyś nosił mitrę. I zaręczam, że potrafi mianować biskupa. Ja sam nie miałbym nic przeciwko temu, żeby dać Republice biskupa republikanina. To skończona sprawa, kochany księżę Guitrel: proszę pomówić z arcybiskupem i z nuncjuszem, a ja i moja żona puścimy w ruch biura ministerstwa.

Ksiądz Guitrel szeptał składając ręce:

— Starożytny i czcigodny tron w Tourcoing!

— Biskupstwo trzeciego rzędu, dziura, kochany księżę. Ale to na początek. A czy ksiądz wie, gdzie ja rozpocząłem swój zawód? W Céret! Byłem podprefektem w Céret, w Pirenejach

wschodnich! Czy uwierzyłby kto? Ale czas tra-  
cę na gadaniu... Dobranoc, ekscelencjo.

Prefekt podał rękę księdzu.

Ksiądz Guitrel szedł krętą uliczką des Tin-  
telleries pokorny, z pochylonymi plecami, roz-  
ważając, jakie starania czynić należy. Zarazem  
obiecował sobie, że w dniu, w którym przy-  
wdzieje mitrę i weźmie pastorał w rękę, jako  
ksiązę Kościoła będzie się opierał cywilnym wła-  
dzom państwowym, będzie zwalczał masonów  
i rzuci klątwę na zasady wolnomyślicielstwa,  
Republiki i rewolucji.

## IX

Artykuł „Liberala” powiadomił miasto, że w swych  
murach gości prorokinię. Była nią panna Klau-  
dyna Deniseau, córka właściciela biura pośred-  
nictwa pracy dla służby folwarcznej. Aż do sie-  
demnastego roku życia panna Deniseau dla naj-  
ważniejszego obserwatora nie zdradzała żad-  
nych zaburzeń fizycznych czy duchowych. Była  
to dziewczyna jasnowłosa, tęga, mała, ani ład-

na, ani brzydka, ale miła i wesołego usposobienia. „Odebrała — jak pisał «Liberat» — dobre wychowanie mieszczańskie, była pobożna bez przesady”. Zaczynała osiemnasty rok życia, gdy pewnego wieczora, 3 lutego 189..., o szóstej godzinie, zajęta nakrywaniem do stołu w jadalni, usłyszała, jak się jej wydało, głos matki: „Klaudyno, idź do swego pokoju”. Poszła tam i ujrzała między łóżkiem a drzwiami wielką światłość, i usłyszała głos z tej światłości idący: „Klaudyno, trzeba, by kraj czynił pokutę. Wtedy uniknie wielkich nieszczęść. Jestem święta Radegonda, królowa Francji”. Panna Deniseau dostrzegła wtedy w blasku twarz świetlaną i jakby przejrzystą, w koronie ze złota i drogich kamieni.

Odtąd święta Radegonda przychodziła co dzień rozmawiać z panną Deniseau, której zwierzała proroctwa i odsłaniała tajemnice. Przepowiedziała mrozy, które zwarzyły latorośl winną, i objawiła, że ksiądz Rieu, proboszcz parafii Świętej Agnieszki, nie doczeka świąt wielka-



nocnych. Czcigodny proboszcz umarł istotnie w Wielki Czwartek. Następnie wciąż zapowiadała dla Republiki i Francji bliskie i straszne nieszczęścia, pożary, wylewy, rzezie. Lecz Bóg, znużony karaniem niewiernego narodu, da mu później, pod rządami króla, pokój i szczęście. Święta rozpoznawała też i leczyła choroby. Za jej przyczyną panna Deniseau wskazała dozorczy drogowemu, Jobelin, jakąś maść, która ulżyła mu w bólach kolana. Jobelin mógł powrócić do swoich zajęć. Cuda te ściągały tłumy do mieszkania państwa Deniseau na placu Św. Eksuperego, nad biurem tramwajowym. Młodą dziewczynę obserwowali księża, dymisjonowani wojskowi i lekarze. Uważano, że gdy powtarzała słowa świętej Radegondy, głos jej stawał się głębszy, twarz surowsza, ręce i nogi sztywniały. Zauważono także, że używa wyrażeń u młodej dziewczyny niezwykłych i że jej słowa w prosty sposób nie dadzą się wytłumaczyć.

Pan Worms-Clavelin, z początku obojętny i sceptyczny, wkrótce z niepokojem śledzić

zaczął niezwykle powodzenie wróżbiarki, która przepowiadała kres Republice i powrót Francji do monarchii chrześcijańskiej.

Pan Worms-Clavelin wstąpił do służby politycznej w czasie skandalów w pałacu Elizejskim za prezydenta Grévy. Odtąd był świadkiem wielu nieczystych spraw, które ciągle tuszowano, a które jednak ciągle się odradzały z wielką szkodą dla parlamentu i władz. Ten stan wydawał mu się naturalny i jego serce nabrało wielkiej pobłażliwości, którą rozciągał również na wszystkich mieszkańców swego departamentu. Jeden senator i dwaj deputowani jego okręgu byli ścigani sędownie. Inżynierowie i finansiści, osobistości najbardziej wpływowe ze stronnictwa siedziały w więzieniu lub uciekały. W takich czasach, zadowolony z przywiązania ludności do ustroju republikańskiego, nie żądał od niej ani gorliwości, ani czci, które jemu samemu zdawały się uczuciami przestarzałymi, pustymi zabytkami minionych czasów. Wypadki rozszerzyły jego pierwotnie ciasne poglądy. Niezmierna ironia wszelkich rze-

czy przenikała do jego duszy i uczyniła ją przystępną, uśmiechniętą, lekką. Przekonawszy się, że komitety wyborcze stanowią jedyny i istotny autorytet w departamencie, słuchał ich z pozorną gorliwością i tajemnym, skrytym oporem. Jeśli wykonywał rozkazy, czynił to łagodząc znacznie ich surowość. Wreszcie z oportunisty<sup>46</sup> stał się liberałem i postępowcem. Chętnie pozwalał każdemu mówić i działać wedle woli. Był jednak za rozumny, by tolerować zbyt wielkie wybryki, więc jako sumienny urzędnik dbał o to, by rząd nie doznał żadnej krzyczącej obelgi oraz by ministrowie mogli w spokoju korzystać z tej ogólnej obojętności, która udzielała się zarówno ich przyjaciołom, jak i wrogom, co zapewniało rządowi siłę i spokój.

Rad był, że zarówno dzienniki rządowe, jak i opozycyjne, zaplątane jedne i drugie w nieczyste sprawy finansowe, tak się zdyskredytowały, że ani pochwały, ani obelgi ich nic nie znaczyły. Tylko dziennik socjalistyczny, jedy-

---

<sup>46</sup>*opportunist* — tu: stronnik umiarkowanego nurtu we fr. polityce w latach 1879–1895, którego przedstawicielami byli Léon Gambetta i Jules Ferry. [przypis edytorski]

ny nie skompromitowany, atakował ostro. Ale dziennik ten był bardzo ubogi, a strach, jaki wzbudzał, jeszcze bardziej skłaniał umysły na stronę rządu. Toteż prefekt Worms-Clavelin z zupełną szczerością informował ministra spraw wewnętrznych, że sytuacja polityczna w jego departamencie jest doskonała. A oto prorokini z placu Św. Eksuperego zamąciła ten błogi stan rzeczy. Pod dyktandem świętej Radegondy zapowiadała upadek gabinetu, rozwiązanie Izby, dymisję prezydenta Republiki i kres rządów, grzęznących w błocie. Przemawiała o wiele gwałtowniej od „Liberała” i daleko więcej jej słuchano. „Liberał” miał bardzo ograniczony nakład, a panna Deniseau przyjmowała całe miasto. Duchowieństwo, wielka własność ziemska, szlachta, prasa klerykalna, wszyscy pochylali się nad nią i spijali jej słowa. Święta Radegonda zbierała pokonanych przeciwników Republiki i skupiała „konserwatystów”. Zgromadzenie nie niebezpieczne, lecz dokuczliwe. Pan Worms-Clavelin obawiał się głównie, by jakiś

dziennik paryski nie poruszył tej sprawy. „Przybrałaby wtedy — szeptał — rozmiary skandalu i naraziłaby mnie na naganę od ministra”. Postanowił więc znaleźć jak najłagodniejszy sposób, by panna Deniseau musiała zamilknąć. Przede wszystkim kazał zasięgnąć wiadomości o trybie życia państwa Deniseau.

Rodzina ze strony ojca nie była dobrze widziana w mieście. Deniseau byli nieszczerólnego pochodzenia. Ojciec panny Klaudyny miał kantor pośrednictwa pracy, ani lepszy, ani gorszy od innych biur tego rodzaju. Chlebodawcy i służba narzekali na niego, ale wracali doń. W r. 1871 Deniseau wydał rozkaz proklamowania komuny na placu Św. Eksuperego. Później, przy wydalaniu trzech dominikanów *manu militari*<sup>47</sup> stawiał opór żandarmom i był aresztowany. Odtąd kandydował w wyborach miejskich jako socjalista, ale otrzymywał bardzo małą ilość głosów. Była to głowa szalona, umysł słaby. Uchodził za człowieka uczciwego.

---

<sup>47</sup>*manu militari* (łac.) — zbrojnie, z bronią w ręku. [przypis edytorski]

Matka była z domu Nadal. Nadalowie, bardziej szanowani niż Deniseau, byli drobną szlach-  
tą, ale mieli dobrą opinię, tyle tylko, że panna  
Nadal, ciotka panny Klaudyny, miewała halu-  
cynacje i przebyła kilka lat w domu zdrowia.  
Nadalowie byli pobożni i mieli księży w rodzi-  
nie. Pan Worms-Clavelin niczego więcej do-  
wiedzieć się nie mógł.

Pewnego rana miał w tej sprawie rozmowę  
ze swoim osobistym sekretarzem, panem La-  
carelle, który należał do starej rodziny miejsco-  
wej i znał cały departament.

— Mój kochany Lacarelle, trzeba raz skoń-  
czyć z tą wariatką. Boć jasne jest, że panna De-  
niseau to wariatka.

Lacarelle odrzekł poważnie, nie bez pew-  
nej dumy, nieodłącznej od jego długich blond  
wąsów:

— Panie prefekcie, zdania są podzielone co  
do tego i dużo osób sądzi, że panna Deniseau  
jest przy zupełnie zdrowych zmysłach.

— Ależ, panie Lacarelle, nie wierzysz chy-  
ba, że święta Radegonda przychodzi co dzień

z nią rozmawiać i w rozmowach tych z błotem miesza prezydenta i rząd.

Lacarelle sądził, że ludzie bardzo przesadzają i że niechętni rządowi wyzyskują ten niezwykły objaw. Niezwykłe bowiem istotnie było to, że panna Deniseau przepisywała lekarstwa skuteczne na nieuleczalne choroby; uzdrowiła dozorcę drogowego Jobelin i byłego woźnego, niejakiego Favru. To jeszcze nie wszystko. Zapowiadała wypadki, które istotnie się zdarzały.

— Jeden fakt mogę poświadczyć. W zeszłym tygodniu panna Deniseau powiedziała: „Na polach Faifeu w Noiselles jest ukryty skarb”. Zaczęto kopać w oznaczonym miejscu i natrafiono na kamienną płytę zamykającą wejście do podziemia.

— Ależ raz jeszcze powtarzam — zawołał prefekt — że niemożliwe jest, by święta Rade-gonda...

Przerwał — i zamyślił się zaciekawiony.

Nie znał zupełnie ani hagiografii Galii chrześcijańskiej, ani wczesnych dziejów Francji. W szkołach jednak uczył się kiedyś z podręczników hi-

storii. Usiłował przywołać wspomnienia z młodych lat.

— Święta Radegonda — to matka świętego Ludwika?

Pan Lacarelle, znający lepiej przeszłość, zawahał się tylko na chwilkę.

— Nie — rzekł. — Matką świętego Ludwika była Blanka Kastylska. Święta Radegonda to daleko dawniejsza królowa.

— Bądź co bądź nie mogę pozwolić na to, by podnosiła taki gwałt w głównym mieście departamentu. A ty, mój kochany Lacarelle, powinien byś dać do zrozumienia jej ojcu... to znaczy temu Deniseau, żeby dobrze dał w skórę swej córce i zamknął ją pod kluczem.

Lacarelle pogładził swe galijskie wąsy:

— Panie prefekcie, radzę, żeby pan odwiedził pannę Deniseau. Jest bardzo zajmująca. Przyjmie pana oddzielnie i prywatnie.

— Co też mówisz, Lacarelle! Ja miałbym iść do tej smarkatej, aby mi powiedziała, że rząd mój leży w błocie!



Prefekt Worms-Clavelin nie był człowiekiem łatwowiernym. Na religie zapatrywał się z punktu widzenia urzędowego. Po swych rodzicach, obcych wszelkim przesądom i tradycyjnym przywiązaniam, nie odziedziczył nic. Żadna gleba nie syciła jego duszy swym pokarmem pradawnym. Był człowiekiem pustym, bezbarwnym i wolnym. Swą niezdolnością do metafizyki i swym instynktem, by działać i posiadać, trzymał się tylko prawdy widomej, dotykanej i w dobrej wierze miał się za pozytywistę. Niegdyś w kawiarniach Montmartre prześiadywał w towarzystwie politykujących chemików; z tych czasów pozostał mu pełen ufności szacunek dla metod naukowych, które z kolei w lożach zachwalał nauczycielom-masonom. Swe intrygi polityczne i szacherki administracyjne chętnie przybierał w piękne pozory socjologii doświadczalnej. I tym więcej cenił naukę, im pożyteczniejsza mu była: „Wyznaję — mówił szczerze — tę absolutną wiarę w fakty, która cechuje uczonego-socjologa”. I dlatego właśnie, że wierzył tylko w fakty i wy-

znawał pozytywizm, sprawa z jasnowidzącą zaczynała go niepokoić.

Pan Lacarelle, jego osobisty sekretarz, powiedział mu: „Ta młoda osoba uleczyła dozorcę drogowego i woźnego. To są fakty. Wskazała miejsce, gdzie ma być odnaleziony skarb, i naprawdę znaleziono tam płytę nakrywającą wejście do podziemia. To jest fakt. Przepowiedziała nieurodzaj szczepów winnych. To jest fakt”. Prefekt Worms-Clavelin miał poczucie śmieszności i absurdu, ale dla jego umysłu wyraz *fakt* był wszechwładny. Przychodziło mu na myśl, że lekarze tacy jak Charcot<sup>48</sup> robili w szpitalach obserwacje na chorych posiadających władze niezwykle. Przypomniawszy sobie dziwne fenomeny hysterii i jasnowidzenia. I zapytywał sam siebie, czy panna Deniseau nie jest czasem histeryczką na tyle interesującą, żeby powierzyć ją lekarzom psychiatrom i w ten sposób usunąć z miasta. Rozmyślał dalej:

---

<sup>48</sup>Jean-Martin Charcot (1825–1893) — fr. neurolog, jeden z nauczycieli Zygmunta Freuda, ojciec lekarza i podróżnika Jeana-Baptiste Charcota (1867–1936). [przypis edytorski]

„Mógłbym z urzędu kazać zamknąć tę dziewczynę w domu obłąkanych, jak każdą osobę, której stan umysłowy zagraża porządkowi publicznemu i bezpieczeństwu obywateli. Przeciwnicy naszych rządów skrzeczeliby jak sroki i słyszę już, jak adwokat Lerond oskarża mnie o nieprawne pozbawienie wolności. Trzeba rozplątać intrygę, jeżeli w ogóle jest to intryga naszych klerykałów. Bo nie można pozwolić na to, by jakaś panna Deniseau co dzień kazała sobie powtarzać przez świętą Radegondę, że Republika grzęźnie w błocie. Przyznaję, że popełniono niejedno, czego żałować należy, częściowe zmiany, zwłaszcza w parlamencie, byłyby pożądane, ale Republika, chwała Bogu, jest dość jeszcze silna na to, żebym ja ją podtrzymywał.”

## X

Ksiądz Lantaigue, rektor seminarium, i pan Bergeret, profesor nadzwyczajny na wydziale humanistycznym, siedząc na jednej z ławek w par-

ku gwarzyli, jak to było ich zwyczajem podczas miesięcy letnich. We wszystkich sprawach mieli wręcz przeciwne poglądy. Trudno było znaleźć dwóch ludzi bardziej odmiennych umysłem i charakterem. Ale tylko oni w całym mieście interesowali się ideami ogólnymi. To ich łączyło. W piękne wieczory letnie w cieniu alei pocieszali się filozofowaniem i zapominali: jeden o smutkach celibatu, drugi o kłopotach rodzinnych, obaj — o przykrościach zawodowych i niepopularności.

Tego dnia ze swej ławki widzieli pomnik Joanny d'Arc, jeszcze okryty płótnem. Dziewica Orleańska nocowała raz w tym mieście u zamożnej niewiasty, pani Gausse, więc w roku 189... miasto przy udziale państwa postawiło pomnik na pamiątkę tego zdarzenia. Dwaj artyści pochodzący z tej okolicy, rzeźbiarz i architekt, wznosili ten pomnik, na którego wysokim piedestale stała Dziewica uzbrojona i zadumana.

Datę odsłonięcia wyznaczono na najbliższą niedzielę. Oczekiwano przyjazdu ministra oświaty. Liczono na szczodre rozdawnictwo or-

derów i palm akademickich. Mieszczanie schodzili się na plac oglądać płótno pokrywające posąg z brązu i kamienny cokół. Na wałach rozbijali namioty wędrowni kramarze. Na budach wzniesionych w alejach handlarze wody sodowej przybijali pasy perkalu z wielkimi napisami: „Prawdziwe piwo Joanny d’Arc” albo „Kawiarnia pod Dziewicą”.

Na ten widok pan Bergeret zauważył, że podziwiać należy zgodny udział obywateli w oddaniu czci oswobodzicielce Orleanu.

— Szczególnie wyróżnił się spośród innych pan Mazure, archiwista departamentalny. Opracował on memoriał, by wykazać, że sławny arras historyczny, przedstawiający spotkanie w Chinon<sup>49</sup> nie był wykonany w Niemczech w 1430 roku, jak dotychczas sądzono, lecz wyszedł w tej-że epoce z jakiejś pracowni flamandzkiej we Francji. Wnioski swego memoriału przedłożył panu prefektowi Worms-Clavelin, który nazwał je wysoce patriotycznymi, pochwalił i wyraził

---

<sup>49</sup> *Chinon* — miejscowość niedaleko Tours, miejsce spotkania Joanny d’Arc z następcą tronu, Karolem VII, w 1427 r. [przypis edytorski]

nadzieję, że autor tego odkrycia otrzyma palmy akademickie u stóp posągu Joanny. Zapewnia się jeszcze, że w swej mowie inauguracyjnej prefekt zwracając oczy ku Wogezom<sup>50</sup> powie, że Joanna d'Arc jest córką Alzacji i Lotaryngii<sup>51</sup>.

Ksiądz Lantaigne, niewrażliwy na żarty, nie odrzekł nic i zachował twarz surową i poważną. W zasadzie pochwalał te uroczystości na cześć Joanny d'Arc. Sam przed dwoma laty wygłosił w kościele Św. Eksuperego panegiryk na cześć Dziewicy Orleańskiej i ukazał w tej bohaterce typ dobrej Francuzki i dobrej chrześcijanki. Nie sądził, by uroczystość, będąca gloryfikacją ojczyzny i wiary, mogła być tematem do szyderstw. Żałował tylko jako patriota i chrześcijanin, że biskup ze swoim klerem nie zajmie w niej pierwszego miejsca.

---

<sup>50</sup>Wogezy (fr. *Vosges*) — tu: masyw górski z najwyższym szczytem Grand Ballon (1424 m. n.p.m.), położony w departamencie o tej samej nazwie, na terenie Lotaryngii (w płn.-wsch. części Francji). [przypis edytorski]

<sup>51</sup>Alzacja i Lotaryngia (fr. *Alsace et Lorraine*) — płn.-wsch. regiony Francji; tereny sporne, w ciągu wieków podlegały to francuskiej, to niemieckiej dominacji. [przypis edytorski]

— Ciągłości Ojczyzny francuskiej nie zawdzięczamy ani królom, ani prezydentom Republiki, ani prefektom lub innym urzędnikom królewskim czy republikańskim, lecz episkopatowi, który od pierwszych apostołów Galii aż po dziś dzień trwał bez przerwy, bez zmian, bez uszczuplenia; tworzył on, że tak powiem, krzepki rdzeń dziejów Francji. Potęga biskupów jest duchowa i trwała, władza królów, prawowita, lecz przemijająca, jest wątła już od swych narodzin. Od jej trwania nie jest zawisłe trwanie ojczyzny. Ojczyzna jest duchem, polega całkowicie na łączności moralnej i religijnej. Ale duchowieństwo, nieobecne ciałem w przygotowywanych uroczystościach, zaiste przytomne tu będzie duchem. Joanna d'Arc do nas należy i daremnie niedowiarki usiłowały nam ją wydrzeć.

*P. Bergeret*: Jest jednak rzeczą bardzo naturalną, że do tej prostej dziewczyny, która stała się symbolem patriotyzmu, roszczą sobie prawa wszyscy patrioci.

*Ks. Lantaigne:* Nie rozumiem — mówiłem to panu — ojczyzny bez religii. Każdy obowiązek pochodzi od Boga, obowiązek obywatelski tak samo jak każdy inny. Bez Boga wszystkie obowiązki upadają. Jeśli prawem i obowiązkiem jest bronić ziemi rodzinnej przed obcym najeźdźcą, to nie dla jakiegoś rzekomego prawa narodów, które nie istniało nigdy, lecz dlatego, że zgodne to jest z wolą Boga. Ta zgodność objawia się w dziejach Jael i Judyty<sup>52</sup>. Uwidocznia się również w księgach Machabeuszów. Można odnaleźć ją w czynach Dziewicy Orleańskiej.

*P. Bergeret:* Więc ksiądz rektor sądzi, że Joanna d'Arc otrzymała swe posłannictwo od samego Boga? Myśl ta napotyka na liczne trudności. Jedną tylko przedstawię, bo ta leży całkowicie w dziedzinie waszych wierzeń. Tyczy się to głosów i widzeń, które objawiały się wieśniaczce z Domrémy. Ci, którzy wierzą, że cór-

---

<sup>52</sup>*Jael i Judyta* — postaci biblijne, morderczynie wodzów wojsk zagrażających Izraelitom: Jael (Jahela) występuje w *Księdze Sędziów* (Sdz 4–5), wsławiła się zabiciem we śnie Sisery (Sysary), wodza Kananejczyków, który po klęsce schronił się w jej namiocie; tytułowa bohaterka *Księgi Judyty* podstępem wkradła się w łaski Holofernesa, dowódcy asyryjskiego, i odcięła mu głowę, przez co uratowała obleżone miasto Betulię i w konsekwencji cały kraj. [przypis edytorski]



ce Jakuba d'Arc istotnie ukazała się święta Katarzyna w towarzystwie świętego Michała i świętej Małgorzaty, będą, jak sędzę, bardzo zakłopotani, gdy im się wykaże, że święta Katarzyna z Aleksandrii nigdy nie istniała i że jej historia jest tylko kiepskim greckim romanssem. A dowiódł tego w XVII wieku nie jakiś ówczesny niedowiarek, lecz uczony doktor Sorbony, Jan de Launoy, człowiek pobożny i dobrych obyczajów. Rozsądny Tillemont, tak uległy Kościołowi, uważa biografię świętej Katarzyny za bezsensowną bajkę. Czyż nie jest to nieco kłopotliwe dla tych, którzy wierzą, że głosy słyszane przez Joannę d'Arc istotnie pochodziły z nieba?

*Ks. Lantaigne:* Martyrologia, łaskawy panie, choć czcigodna, nie jest artykułem wiary, można więc za przykładem doktora Launoy i Tillemont powątpiewać o istnieniu świętej Katarzyny Aleksandryjskiej. Co do mnie, nie posuwam się do tej ostateczności i uważam, że tak absolutne odrzucenie tej legendy jest rzeczą zbyt śmiałą. Przyznaję, że hagiogra-

fia tej świętej przysłała do nas ze Wschodu, przeładowana bajkami, ale myślę, że te ozdoby utkane zostały na trwałym tle. Ani Launoy, ani Tillemont nie są nieomylni. Wcale nie jest pewne, że święta Katarzyna nie istniała nigdy, a gdyby przypadkowo nawet przeprowadzono historyczny dowód na to, upadłby on wobec przeciwnego dowodu teologicznego, wobec cudownych objawień tej świętej, stwierdzonych przez ordynariusza i uroczyście uznanych przez papieża. Boć ostatecznie prawdy naukowe muszą ustąpić przed prawdami rzędu wyższego. Ale nie znamy jeszcze sądu Kościoła o widzeniach Dziewicy Orleańskiej. Joanna d'Arc nie jest zaliczona w poczet świętych, a cuda działane dla niej i przez nią mogą jeszcze być tematem dyskusji. Nie potwierdzam ich ani im nie zaprzeczam, a tylko z czysto ludzkiego punktu widzenia dostrzegam w dziejach tej cudownej Dziewicy rękę Boga, wyciągniętą ku Francji. Zaprawdę, widok to przejmujący i potężny.

*P. Bergeret*: Jeśli dobrze zrozumiałem, ksiądz rektor nie uważa za cud stwierdzony przygody

w Fierbois, gdzie Joanna miała wskazać miecz ukryty w murze. I nie jest też ksiądz rektor pewny, czy Dziewica, jak to sama utrzymywała, wskrzesiła dziecko w Lagny. Ksiądz rektor zna moje poglądy: daję tym dwu faktom tłumaczenie naturalne. Przypuszczam, że miecz był wmurowany jako *ex voto*<sup>53</sup>, a zatem był widoczny. Co zaś do niemowlęcia, które Dziewica wskrzesić miała, aby je ochrzczono, i które po chrzcie zmarło powtórnie, przypomnę tylko, że koło Domrémy był cudowny kościół Matki Boskiej Wskrzesicielki, której specjalnością było ożywiać na kilka godzin dzieci nieżywo urodzone. Przypuszczam, że wspomnienie tej cudownej Matki Boskiej wpłynęło na złudzenie Dziewicy, gdy jej się zdało, że w Lagny wskrzesiła noworodka.

*Ks. Lantaigne:* W takich tłumaczeniach jest dużo rzeczy niepewnych, panie profesorze, więc zanim się zgodzę na nie, raczej wstrzymuję się

---

<sup>53</sup>*ex voto* (łac.) — jako wotum, tj. jako symboliczny przedmiot, umieszczony w kościele w wyniku uroczystego zobowiązania, w ramach dziękczynienia lub ofiary przebłagalnej. [przypis edytorski]

z sądem, który przechyla się, przyznaję, na rzecz cudu, przynajmniej co się tyczy miecza świętej Katarzyny. Bo teksty są ścisłe: miecz był w murze, który trzeba było zburzyć, by miecz znaleźć. Nie jest również niemożliwe, żeby Bóg, na miłe modły dziewicy, wrócił życie niemowlęciu zmarłemu bez chrztu.

*P. Bergeret:* Ksiądz rektor mówi o „miłych modłach dziewicy”. Czy zgodnie z wierzeniami wieków średnich ksiądz przypuszcza, że w dziewictwie Joanny d’Arc była jakaś moc, jakaś siła szczególna?

*Ks. Lantaigne:* Oczywiście, dziewictwo miłe jest Bogu. Jezus Chrystus rad jest triumfowi swych dziewic. Attyłę i Hunów odwróciła od Lutecji dziewica, dziewica obroniła Orlean i kazała ukoronować prawowitego króla w Reims.

Na te słowa księdza pan Bergeret godził się w sposób mu właściwy:

— Ano tak! — rzekł. — Joanna d’Arc była osobą przynoszącą szczęście.

Ale ksiądz Lantaigue tego nie słyszał. Wstał i rzekł:

— Losy Francji w chrześcijaństwie nie są jeszcze skończone. Przeczuwam, że wkrótce Bóg znowu posłuży się tym narodem, który był ze wszystkich najwierniejszy i zarazem najniewierniejszy.

— Toteż — odparł pan Bergeret — zjawiają się teraz prorokinie, jak za nieszczęsnych czasów króla Karola VII. Wszak i w naszym mieście jest jedna, która poczyną sobie szczęśliwiej niż Joanna. Córkę Jakuba d'Arc nawet jej rodzice uważali za obłąkaną i szaloną, a panna Deniseau w swym ojcu znalazła ucznia i adepta. Nie sądzę jednak, by powodzenie jej mogło być wielkie i trwałe. Naszemu prefektowi, panu Worms-Clavelin, zbywa na wytwornym obyciu, ale jest on mniej głupi niż Baudricourt<sup>54</sup>, a dziś nie jest już zwyczajem naczelników państw dawać posłuch wizjonerkom. Spowied-

---

<sup>54</sup>*Robert de Baudricourt* (zm. 1454) — dowódca wojskowy w Vaucouleurs, do którego trzykrotnie zwracała się Joanna d'Arc z prośbą o eskortę. [przypis edytorski]

nik nie poradzi Feliksowi Faure<sup>55</sup>, by spróbował słuchać panny Deniseau. Na to ksiądz rektor może mi odpowiedzieć, że za dni naszych wpływ Bernadetty z Lourdes jest silniejszy, niż był kiedykolwiek wpływ Joanny d'Arc. Ta rozpędziła kilkuset zgłodniałych i wylękłych Anglików; Bernadetta poruszyła niezliczonych pielgrzymów i miliardy ich ściągnęła na nieznaną górę w Pirenejach. I mój czcigodny przyjaciel, pan Piotr Laffitte<sup>56</sup> zapewnia mnie, że wstąpiliśmy w erę filozofii pozytywnej!

— Co do Lourdes — rzekł ksiądz Lantaigne — nie chcę ani mędrkować, ani wpadać w zbytnią łatwowierność, nie wydaję więc sądu w sprawie, co do której Kościół nie wydał orzeczenia. Ale już teraz w tym napływie pielgrzymów widzę triumf religii, tak jak pan sam widzi w nim porażkę filozofii materialistycznej.

---

<sup>55</sup>*Félix Faure* (1841–1899) — prezydent Francji w latach 1895–1899. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>*Pierre Laffitte* (1823–1903) — fr. filozof i matematyk, uczeń Augusta Comte'a, związany z nurtem pozytywizmu. [przypis edytorski]

## XI

Rząd upadł. Prefekta Worms-Clavelin nie zmartwiło to ani zdziwiło. W duchu uważał, że rząd był zbyt niespokojny i niepokojący, podejrzewany nie bez powodu przez ziemiaństwo, przez wielki handel i przez drobnych kapitalistów. Ten gabinet ministrów nie mącił wprawdzie szczęśliwej obojętności mas, ale, z wielkim żalem pana prefekta, wywarł wpływ ujemny na masonerię, w której od lat piętnastu skupiało i streszczało się całe życie polityczne departamentu. Pan prefekt Worms-Clavelin potrafił przekształcić w swoim departamencie loże masonskie na instytucje, którym poruczono wyznaczać z góry kandydatów na urzędy publiczne, na posłów i na godności państwowe. Spełniając takie rozległe i określone zadania, loże zarówno oportunistów<sup>57</sup>, jak i radykalne zgromadzały się, łączyły we wspólnej akcji i zgodnie urabiały sprawy Republiki. Pan prefekt, rad, że

---

<sup>57</sup>*opportunist* — tu: stronnik umiarkowanego nurtu we fr. polityce w latach 1879–1895, którego przedstawicielami byli Léon Gambetta i Jules Ferry. [przypis edytorski]

ambicja jednych miarkuje chętki innych, według uzgodnionych wskazówek łóż dobierał senatorów, deputowanych, radców miejskich i dozorców robót publicznych, jednako oddanych rządowi, lecz dostatecznie różnych i dostatecznie umiarkowanych w sądach, by mogli zadowolić i zaspokoić wszelkie partie republikańskie prócz socjalistów. Panująca harmonia była dziełem pana prefekta Worms-Clavelin. I właśnie ostatni rząd radykałów tę szczęśliwą harmonię zakłócił.

Nieszczęście chciało, że posiadacz teki bez znaczenia — minister rolnictwa czy handlu — przejeżdżał przez departament i zatrzymał się na parę godzin w jego stolicy. Wystarczyło, że na jednym z posiedzeń loży wygłosił mowę filozoficzno-moralną. Mowa ta zamąciła wszystkie posiedzenia, rozdziwiła loże, poróżniła braci i doprowadziła do sporu obywatela Mandar, aptekarza z ulicy Culture, członka „Nowego Przymierza”, radykała, z panem Tricoul,



właścicielem winnicy w Tournelle, członkiem „Świętej Przyjaźni”, oportunistą.

W duchu pan Worms-Clavelin stawiał jeszcze inny zarzut ostatniemu rządowi: palmy akademickie i orderzy „Zasługi Rolniczej” rozdawał samym tylko radykałom, i to bardzo szczerze, pozbawiając w ten sposób prefekta tej pomocy w rządzeniu, jaką daje posługiwanie się obietnicami odznaczeń i umiejętne ich dozowanie. Pan prefekt dawał wyraz tym myślom siedząc w swym gabinecie i szepcząc te gorzkie słowa: „Jeśli im się zdawało, że wywracając moje poczciwe łoże i rozdając palmy pierwszym lepszym chłystkom w departamencie uprawiają politykę, to trafili jak kulą w płot”.

Toteż dowiedział się bez przykrości o upadku rządu.

Zresztą te zmiany, przewidywane zawsze, nie dziwiły go nigdy. Jego system administracyjny opierał się na tej zasadzie, że ministrowie przemijają. Starał się żadnemu ministrowi spraw wewnętrznych nie służyć zbyt gor-

liwie. Żadnemu nie chciał zbytńo się podobać i unikał wszelkich okazji do nadgorliwości. Umiarkowanie to, zachowywane przez cały czas trwania jednego rządu, zapewniało mu sympatię rządu następnego, który, od razu przychylnie usposobiony, zadowalał się znowuż mierzną gorliwością — co prowadziło do łask trzeciego gabinetu. Pan prefekt Worms-Clavelin administrował powściągliwie, z placem Beauvau<sup>58</sup> korespondował zwięźle, nie przysparzał pracy kancelarii ministerialnej i — trwał na stanowisku.

Do gabinetu przez odemknięte okna wnikał zapach rozkwitłych bzów i szczebiot wróbli. Prefekt godnie, spokojnie rozmyślał o tym, że wreszcie powoli cichną skandale, które po dwakroć pochłonać już miały wodzów partii. Widział ten dzień, daleki jeszcze, kiedy znów będzie można robić dobre interesy. Myślał, że mimo trudności przejściowych, mimo tak nie-

---

<sup>58</sup>*prefekt Worms-Clavelin administrował powściągliwie, z placem Beauvau korespondował zwięźle* — przy placu Beauvau w Paryżu mieściło się ministerstwo spraw wewnętrznych. [przypis tłumacza]

fortunnie rozdmuchanej niezgody w łóżach masonskich i komitetach wyborczych wybory do rad miejskich wypadną dobrze. Miał doskonałych merów w tej rolniczej okolicy. Nastroje ludności były tak dobre, że obaj posłowie, skompromitowani w kilku sprawach finansowych i znajdujący się pod śledztwem, mimo to zachowali cały wpływ w swoich okręgach. Prefekt myślał dalej, że wybory z list nie dałyby wyników tak korzystnych. Z głębi duszy wypływały mu prawie filozoficzne uwagi na temat łatwości, z jaką można rządzić ludźmi. Miał jakby niejasną wizję trzody ludzkiej, która w swej niewyczerpanej, cichej łagodności daje się prowadzić pod okiem czujnego psa.

Pan Lacarelle wszedł do gabinetu z gazetą w ręku.

— Panie prefekcie, dymisję ministrów, przyjętą przez prezydenta Republiki, już ogłoszono w „Dzienniku Urzędowym”.

Prefekt Worms-Clavelin snuł dalej nić swych marzeń, a pan Lacarelle podkrecał galijskiego węża, przewracał swymi błękitnoporcelanowy-

mi oczyma na znak, że chce wyrazić jakąś myśl. Wyraził ją też istotnie:

— Upadek rządu jest oceniany rozmaicie.

— Doprawdy? — zapytał prefekt nie słuchając wcale.

— I cóż, panie prefekcie, nie da się zaprzeczyć, że panna Klaudyna Deniseau przepowiedziała ten rychły upadek gabinetu.

Prefekt wzruszył ramionami. Był dość rozumny, żeby pojąć, że w spełnieniu tej przepowiedni nie było nic nadzwyczajnego. Ale Lacarelle z głęboką znajomością rzeczy lokalnych, z cudownie udzielającą się głupotą i potężnym instynktem ciemnoty opowiedział mu natychmiast trzy czy cztery najświeższe baśnie obiegujące miasto, zwłaszcza rzecz o panu de Gromance. Święta Radegonda od razu odpowiedziała na jego ukrytą myśl, z którą przyszedł do niej: „Uspokój się, hrabio, dziecię, które żona twoja nosi w swym łonie, jest istotnie twoim synem”. Następnie Lacarelle powrócił do odnalezienia skarbu. W miejscu wskazanym zna-

lezione dwie monety rzymskie. Poszukiwania trwają dalej. Zdarzyły się także uzdrowienia, co do których pan sekretarz przytaczał niejasne, lecz za to obfite szczegóły. Prefekt Worms-Cla-velin słuchał ogłupiały. Sama myśl o tej małej Deniseau trapiła go i niepokoiła. Wpływ wizjonerki na tłumy mieszkańców przechodził granice jego umysłu. Obawiał się zbłądzić na manowce w tej sprawie czysto psychicznej natury. Obawa ta osłabiała jego rozsądek, dość przecież krzepki w zwykłych okolicznościach życia. Słuchając Lacarelle'a bał się, że mu uwierzy, i instynktownie zawołał porywczo:

— Nie wierzę w takie rzeczy! Nie wierzę w to!

Jednakże wątpliwość i niepokój nieznośnie go trapiły. Zapragnął dowiedzieć się, co myśli o pannie Deniseau ksiądz Guitrel, którego uważał za człowieka uczonego i inteligentnego. Zbliżała się właśnie godzina, kiedy spotkać można było księdza w domu jubilera. Prefekt zastał Rondonneau młodszego w magazynie nad skrzynią, którą zabijał gwoździami.

Ksiądz Guitrel szczegółowo oglądał pozłacane naczynie w rodzaju kielicha na wysokiej nóżce, z okrągłą pokrywką.

— Piękny kielich, nieprawdaż, księże profesorze?

— To cyborium, panie prefekcie, cyborium, naczynie przeznaczone *ad ferendos cibos*<sup>59</sup>. Istotnie cyborium zawiera hostię świętą, pokarm duszy. Dawniej przechowywano cyborium w srebrnym gołębiu, którego zawieszano nad chrzcielnicą, nad ołtarzami lub grobowcami męczenników. To oto cyborium zdobione jest w stylu XIII wieku. Jest to styl surowy a wspaniały, bardzo odpowiedni, panie prefekcie, dla sprzętów kościelnych, a w szczególności dla naczyń poświęcanych.

Pan Worms-Clavelin nie słuchał księdza, lecz obserwował jego roztropny a niespokojny profil. „Ten — myślał sobie — może mi coś powiedzieć o prorokini i o świętej Radegondzie”. I przedstawiciel Republiki w okręgu \*\*\* krzepił swój umysł, napinał władze duszy, aby

---

<sup>59</sup>*ad ferendos cibos* (łac.) — do noszenia pokarmów. [przypis edytorski]

przed księdzem nie wydać się człowiekiem nie-inteligentnym, przesądnym, łatwowiernym.

— Tak, panie prefekcie — mówił dalej ksiądz Guitrel — zacny pan Rondonneau młodszy według dawnych dokumentów skomponował ten piękny okaz sztuki złotniczej. Gotów jestem twierdzić, że nie zrobiono by nic lepszego w Paryżu na placu Świętego Sulpicjusza, gdzie są przecież najlepsi złotnicy.

— Ale, ale, co ksiądz myśli o jasnowidzącej, którą teraz ma nasze miasto?

— Co za jasnowidząca, panie prefekcie? Czy ma pan na myśli tę biedną dziewczynę, która utrzymuje, że porozumiewa się ze świętą Radebondą, królową Francji? Niestety! Nie może być, by temu biednemu dziecku pobożna małżonka Klotara miała dyktować głupstwa i brednie wszelkiego rodzaju, które nie godzą się ani ze zdrowym rozsądkiem, ani tym mniej z teologią. Głupstwa, panie prefekcie, dzieciństwa!

Pan Worms-Clavelin, który miał w zapasie kilka ostrych szyderstw na temat łatwowierności księży, milczał.

— Nie, zaiste — mówił dalej z uśmiechem ksiądz Guitrel — niepodobna uwierzyć, by święta Radegonda dyktowała te głupstwa, brednie, te zdania próżne, lekkomyślne, czasem nawet sprzeczne z wiarą, które słyszymy z ust owej panienki. Głos świętej Radegondy brzmiałby inaczej, ani wątpić o tym.

*Prefekt:* Ta święta Radegonda jest chyba mało znana.

*Ks. Guitrel:* Myli się pan, panie prefekcie, myli się pan. Święta Radegonda, czczona przez cały świat katolicki, jest osobliwie czczona w diecezji Poitiers, która była niegdyś miejscem jej czynów i zasług.

*Prefekt:* Tak więc ksiądz profesor powiada, że to kult lokalny...

*Ks. Guitrel:* Nawet niewierzący podziwiają tę wielką postać! Co za wzniosły widok, panie prefekcie! Gdy jej własny mąż zabił jej brata,



dostojna małżonka Klotara udaje się do Noyon, do biskupa Medarda, i błaga, by poświęcił ją Bogu. Zdziwiony święty Medard waha się, zasłania nierozzerwalnością małżeństwa. Ale Radegonda sama zarzuca sobie na głowę welon zakonny i klęka u stóp biskupa. Ten, pokonany świętym uporem królowej, narażając się na gniew srogiego monarchy, ofiarowuje Bogu tę błogosławioną ofiarę.

*Prefekt:* Ależ czy ksiądz profesor broni biskupa, który się sprzeciwia władzy świeckiej i popiera bunt małżonki naczelnika władzy wykonawczej? Do licha! Jeżeli takie są przekonania księdza, wdzięczny będę, jeżeli mi to teraz ksiądz powie.

*Ks. Guitrel:* Niestety, panie prefekcie, nie jestem świętym, jak błogosławiony Medard, bym w okolicznościach nadzwyczajnych mógł rozpoznawać wolę Boga. Dziś, na szczęście, już ściśle oznaczono reguły, wedle których winien postępować biskup w stosunku do władzy świeckiej. I pan prefekt zechce pamiętać, mówiąc o mnie ze swymi przyjaciółmi w ministerstwie

w sprawie biskupstwa w Tourcoing, że w zupełności uznaję wszystkie zobowiązania wynikające z konkordatu. Ale po co łączyć moją skromną osobę z wielkimi zdarzeniami dziejów? Święta Radegonda przywdziawszy welon zakonny założyła klasztor Świętego Krzyża w Poitiers, w którym przeżyła przeszło lat pięćdziesiąt w najostrzejszym ascetyzmie. Zachowywała posty i umartwienia z taką dokładnością...

*Prefekt:* Te opowiadania niech ksiądz profesor zachowa dla swoich seminarzystów. Nie wierzy ksiądz, że święta Radegonda rozmawia z panną Deniseau! Winszuję. Pragnąłbym, by wszyscy księża w departamencie byli równie rozumni. Ale wystarcza, że ta histeryczka — bo przecież to histeryczka — napada na rząd, a już proboszczowie tłumnie schodzą się, słuchają jej z rozdziawionymi ustami i oklaskują te bezceństwa.

*Ks. Guitrel:* Księża zachowują postawę wyczekującą, panie prefekcie, postawę wyczekującą. Kościół uczy ich, że należy zachować nie-

zmierną ostrożność wobec zdarzeń mających pozory cudu. I zaręczam panu, że, co do mnie, zgoła nie dowierzam wszelkim cudownym nowinkom.

*Prefekt:* Mówiąc tak między nami, szanowny ksiądz profesor chyba nie wierzy w cuda?

*Ks. Guitrel:* Istotnie, niełatwo skłonny jestem wierzyć w cuda nie stwierdzone w sposób należyty.

*Prefekt:* Jesteśmy sami. Przyzna więc ksiądz, że nie ma cudów, nigdy ich nie było i być nie mogło.

*Ks. Guitrel:* Przeciwnie, panie prefekcie, cud jest możliwy, daje się poznać, jest potrzebny dla potwierdzenia wiary, a użyteczność cudów okazała się dobitnie w nawracaniu narodów.

*Prefekt:* Ale ksiądz przyznaje przecież, że śmieszne jest wierzyć, by święta Radegonda, która żyła w wiekach średnich...

*Ks. Guitrel:* W szóstym wieku, w szóstym.

*Prefekt:* Tak, w szóstym wieku, doskonale... aby więc ona przychodziła w r. 189... na pogawędkę do córki właściciela biura pośred-

nictwa pracy i z nią rozprawiała o polityce rządu i o parlamencie.

*Ks. Guitrel:* Stosunki między Kościołem triumfującym a Kościołem wojującym są możliwe; dzieje przytaczają tego liczne i niezaprzeczone przykłady. Ale raz jeszcze powtarzam: nie wierzę, by młoda osoba, o której mówimy, dostała takiego zaszczytu. Zdania, które wygłasza, nie mają, śmiem to powiedzieć, piętna objawienia niebieskiego. Wszystko, co mówi, jest pewnego rodzaju...

*Prefekt:* Błazeństwem.

*Ks. Guitrel:* Można i tak się wyrazić... Możliwe też, że ta dziewczyna jest opętana.

*Prefekt:* Co też ksiądz mówi? Ksiądz tak inteligentny, przyszły biskup Republiki, wierzy w opętanie! To pogląd średniowieczny! Czytałem o tym dzieło Micheleta<sup>60</sup>.

*Ks. Guitrel:* Ależ, panie prefekcie, opętanie jest faktem uznanym nie tylko przez teologów, ale i przez uczonych, przeważnie nie wierzą-

---

<sup>60</sup>Jules Michelet (1798–1874) — fr. historyk, autor traktatu *Czarownica* (*La Sorcière*). [przypis edytorski]

cych. Nawet Michelet, którego pan prefekt cytuje, wierzył w historię opętanych z Loudun<sup>61</sup>.

*Prefekt:* Co za pomysł! Jesteście wszyscy jednacy!... Więc gdyby ta Klaudyna Deniseau była opętana, jak ksiądz mówi, to co?...

*Ks. Guitrel:* To trzeba by ją egzorcyzmować.

*Prefekt:* Egzorcyzmować? Czy nie myśli ksiądz, że byłoby to śmieszne?

*Ks. Guitrel:* Bynajmniej, panie prefekcie, bynajmniej!

*Prefekt:* Jak postępuje się w takich wypadkach?

*Ks. Guitrel:* Są na to reguły, panie prefekcie, ceremoniał, rytuał dla tej czynności, która nigdy nie została zaniechana. Joannę d'Arc również egzorcyzmowano, w mieście Vauco-uleurs, jeśli się nie mylę. Proboszcz Św. Eksuperego, ksiądz Laprune, byłby właśnie odpowiedni do wykonania egzorcyzmów nad panną Deniseau, która jest owieczką z jego parafii. Ksiądz Laprune jest czcigodnym kapłanem.

---

<sup>61</sup>*Loudun* — miejscowość w środkowo-zach. części Francji. [przypis edytorski]

To prawda, że wobec rodziny Deniseau znajduje się on w położeniu, które może oddziaływać na jego charakter i w pewnej mierze wpłynąć na jego umysł rozważny i ostrożny, nie osłabiony wiekiem i w każdym razie zdolny jeszcze dźwigać brzemień tak długiego i ciężkiego kapłaństwa. Chcę powiedzieć, że zjawiska przez niektórych za cud uważane zdarzyły się w parafii tego czcigodnego proboszcza, a gorliwość księdza Laprune musiała zbłądzić na manowce na myśl, że właśnie parafia Św. Eksuperego wyróżniona została, iż w niej właśnie, a nie w jakiejś innej parafii naszego miasta objawiła się widomie potęga boska. Żywiąc taką nadzieję uległ może złudzeniom, które mimowolnie udzieliły się jego duchowieństwu. Omyłka to i pokusa, które, zważywszy na okoliczności, łatwo wybaczyć. Istotnie, jakież błogosławieństwa z nowego cudu spłynęłyby na kościół parafialny Św. Eksuperego! Ożywiłaby się pobożność wiernych; napływ darów do sławnych, lecz ubogich murów starożytnej bazyliki wniósłby no-

we bogactwa. I łaska kardynała arcybiskupa byłaby radością ostatnich dni życia księdza Lapruno, który dobiega już kresu swych sił i swej pracy duszpasterskiej...

*Prefekt:* Jeśli dobrze rozumiem księdza profesora, to ten cherlawy proboszcz od Św. Eksuperego, ksiądz Lapruno, ze swymi wikariuszami urządził ten cały kawał z prorokinią! Stanowczo, księża są chytry. Nie wierzą temu w Paryżu, nie wierzą w biurach urzędów, ale to prawda. Księża są porządnie chytry! Zatem wasz stary Lapruno urządził te seanse klerykalno-spiirytystyczne, na które schodzi się całe miasto, by słuchać obelg miotanych na parlament, na prezydenta, na mnie, bo wiem dobrze, że nie oszczędzają i mnie na tych schadzkach na placu Św. Eksuperego.

*Ks. Guitrel:* O, panie prefekcie, daleki jestem od myśli, by posądzać wielebnego proboszcza Św. Eksuperego o taką intrygę! Przeciwnie, jestem szczerze przekonany, że jeżeli w jakikolwiek sposób ksiądz Lapruno przyczy-

nił się do tej nieszczęsnej sprawy, pozna wkrótce swą omyłkę i dołoży wszelkich sił, by zniweczyć jej skutki... Ale dla jego własnego dobra jako też i dla dobra diecezji można by uprzedzić i zawiadomić Jego Eminencję o faktach, o których może jeszcze nic nie wie. Uprzedzony o tych wykroczeniach, kardynał każe ich bez wątpienia zaprzestać.

*Prefekt:* Doskonała myśl!... Kochany księżę profesorze, czy nie podjąłby się ksiądz tej misji? Ja jako prefekt nie powinienem nawet wiedzieć o istnieniu arcybiskupa, z wyjątkiem wypadków prawem przewidzianych, np. w sprawach dzwonów czy procesji. Gdy się nad tym zastanowić, jest to bardzo głupie położenie, bo skoro już są arcybiskupi... Ale polityka zna takie konieczności. Proszę mi odpowiedzieć szczerze. Czy ksiądz jest w łaskach u arcybiskupa?

*Ks. Guitrel:* Jego Eminencja raczy niekiedy słuchać mnie dobrotliwie. Dobroć i wyrozumiałość Jego Eminencji jest ogromna.

*Prefekt:* A więc niech ksiądz mu powie, że nie można pozwolić, aby święta Radegonda zmar-



twychwstać miała po to, by napędzać kłopotów senatorom, deputowanym i prefektowi departamentu, i że zarówno w interesie Kościoła, jak i Republiki czas zamknąć gębę małżonce srogiego Klotara. Proszę to powiedzieć Jego Eminencji.

*Ks. Guitrel:* Tylko istotę rzeczy powiem, panie prefekcie, samą istotę rzeczy.

*Prefekt:* Niech ksiądz profesor bierze się do tego, jak mu się podoba, ale proszę przedstawić arcybiskupowi, że swym księżom musi zabronić wstępu do domu Deniseau. Proboszcza Laprunie niech zgromi otwarcie. W „Tygodniku Religijnym” niech potępi zdania wygłoszone przez tę wariatkę, a redaktorom „Liberala” poradzi życzliwie, by zaprzestali reklamować i popierać cud sprzeczny z konstytucją i konkordatem.

*Ks. Guitrel:* Będę się starał, panie prefekcie. Oczywiście, będę się starał. Ale czymże jestem ja, skromny profesor wymowy kościelnej, wobec Jego Eminencji kardynała arcybiskupa?

*Prefekt:* Wasz arcybiskup jest człowiekiem inteligentnym, zrozumie przecież, że jego interes... i honor świętej Radegondy, u licha!...

*Ks. Guitrel:* Bez wątpienia, panie prefekcie, bez wątpienia. Ale Jego Eminencja, tak dbały o sprawy duchowe diecezji, uważa, być może, że nadzwyczajny napływ dusz ku tej biednej dziewczynie jest oznaką tej potrzeby wiary, która nurtuje nowe pokolenia, może jest dowodem, że wiara wśród tłumów jest żywsza niż kiedykolwiek, może jest wreszcie przykładem, który poddać się godzi rozwadze mężów stanu. I w tej myśli może niepilno mu będzie usunąć tę oznakę, ten dowód i ten przykład. Być może...

*Prefekt:* ...że zechce zakpić sobie ze wszystkich. On to potrafi.

*Ks. Guitrel:* Och, panie prefekcie, to przypuszczenie jest zupełnie nieuzasadnione! Ale o ileż moja misja byłaby łatwiejsza i pewniejsza, gdybym jak gołąbka z arki niósł gałązkę oliwną, gdybym Jego Eminencji upoważniony był powiedzieć — o, bardzo cichutko — że uposa-

żenie siedmiu biednych proboszczów diecezji, zawieszane przez ostatniego ministra wyznań, będzie teraz przywrócone!

*Prefekt:* Nic za darmo, nieprawdaż? Pomyślę nad tym... Zatelegrafuję do Paryża i dam odpowiedź u Rondonneau młodszego. Dobranoc, księżu dyplomato!

W tydzień po tej tajemnej konferencji ksiądz Guitrel szczęśliwie wywiązał się ze swej misji. Jasnowidzącej z placu Św. Eksuperego nie uznało arcybiskupstwo, opuściło ją duchowieństwo, wyparł się „Liberał”. Nikt się już nią nie zajmował prócz dwóch członków korespondentów akademii nauk psychicznych: z tych jeden uważał ją za godną poważniejszych badań, drugi zaś — za niebezpieczną symulantkę. Pozbywszy się tej wariatki, zadowolony z wyborów miejskich, bo nie wydały ani nowych idei, ani nowych ludzi, pan prefekt Worms-Clavelin radował się w głębi duszy.

## XII

Pan Paillot miał księgarnię na rogu placu Św. Eksuperego i ulicy des Tintelleries. Domy okalające ten plac były przeważnie stare; te z nich, które przylegały do kościoła, były ozdobione godłami rzeźbionymi i malowanymi. Niektóre miały dachy spiczaste i fasadę przeciętą belkami. Jeden z nich swe rzeźbione belki zachował w dobrym stanie; był to klejnot podziwiany przez znawców. Zewnętrzne belki tego domu podtrzymywane były rzeźbionymi podpórkami, z tych jedne wyobrażały aniołów trzymających tarcze, inne — półklęczących mnichów. Na lewo od drzwi, wzdłuż słupa znajdowała się uszkodzona figura kobiety z czołem uwieńczonym architektoniczną ozdobą w kształcie kwiatów. Starzy mieszczanie utrzymywali, że figura ta wyobraża królowę Małgorzatę. Dom ten znany był pod mianem domu królowej Małgorzaty.

Na słowo księdza Maurice, autora drukowanego w roku 1703 *Skarbca starożytności*, wie-

rzono, że przez kilka miesięcy w 1438 r. mieszkała w tym domu Małgorzata Szkocka. Ale pan de Terremondre, prezes Towarzystwa Rolniczego i Archeologicznego, dowodzi w poważnie napisanej pracy, że dom ten zbudowano w r. 1488 dla wybitnego patrycjusza, Filipa Tricouillard. Miejscowi archeolodzy, prowadzący ciekawych przed to domostwo, pokazują chętnie — korzystając z chwilowej nieuwagi dam — wymowny herb Filipa Tricouillard<sup>62</sup>, rzeźbiony na tarczy trzymanej przez dwa anioły. Pan de Terremondre słusznie wskazuje na podobieństwo tego herbu do herbu rodziny Colleoni z Bergamo; herb ten umieszczony jest również na podpórcie nad lewą futryną drzwi wejściowych. Reszta jest już mocno zatarta i rozpoznać ją mogą tylko osoby uprzedzone o jej treści. Co zaś do posągu kobiety w wieńcu, opartego o belkę pionową, pan de Terremondre łatwo wykazał, że należy widzieć w niej świętą Małgorzatę. Istotnie, u stóp świętej widać

---

<sup>62</sup>wymowny herb Filipa Tricouillard — można domyślać się, że obraz na tarczy był związany z nazwiskiem (przezwiskiem) właściciela: *Tricouillard* oznacza męczyznę o trzech jądrach (od fr. *la couille*: jądro). [przypis edytorski]

jeszcze resztki niekształtnego ciała, które może być tylko ciałem diabła; utracona obecnie prawa ręka głównej postaci musiała trzymać kropicidło, którym święta kropiła wroga rodu ludzkiego. Figurę znajdującą się na tym placu uznano za św. Małgorzatę od czasu, kiedy pan Mazure, archiwista departamentalny, wydobył na jaw dokument stwierdzający, że w r. 1488 Filip Tricouillard, liczący wówczas około siedemdziesięciu lat, poślubił Małgorzatę Larrivée, córkę starosty. Wskutek zwykłego nieporozumienia niebiańską patronkę Małgorzaty Larrivée wzięto za młodą księżniczkę szkocką, której pobyt w mieście pozostawił niezatarte wspomnienie. Mało jest niewiast, które by pozostawiły po sobie bardziej żalosalną pamięć niż ta księżna zmarła w dwudziestym roku życia z westchnieniem: „Jak brzydkie jest życie!”

Dom księgarza Paillot przytyka do domu królowej Małgorzaty. Pierwotnie i ten dom miał fasadę belkowaną, tak jak dom sąsiedni, a zewnętrzne jego tramy były równie misternie rzeźbione. Ale w roku 1860 Paillot-ojciec, księgarz

arcybiskupstwa, kazał dom zburzyć i odbudować na nowo w nowoczesnym stylu, skromnie, bez pretensji do bogactwa i sztuki, lecz z należytyimi wygodami dla mieszkania i księgarni. Węgiel w stylu renesansu, wyobrażający drzewo Jessego<sup>63</sup>, sięgający od stóp do szczytu domu Paillot i wznoszący się na zbiegu placu Św. Eksuperego z ulicą des Tintelleries, obalono przy burzeniu domu, lecz go nie zniszczono. Pan de Terremondre odnalazł go znacznie później w jakimś składzie drzewa i zakupił dla muzeum. Jest to rzeźba w dobrym stylu. Niestety, prorocy i patriarchowie umieszczeni na gałęziach jak owoce cudowne oraz Matka Boska wykwitła na szczycie proroczego drzewa ucierpiała od terrorystów w 1793; w roku 1860 rzeźbę znowu uszkodzono podczas przenoszenia jej do składu jako drzewo na opał. Pan Quatrebarbe, budowniczy diecezjalny, rozwodził się nad tymi uszkodzeniami w swojej interesującej broszu-

---

<sup>63</sup>*Drzewo Jessego* — artystyczne przedstawienie drzewa genealogicznego Jezusa z Nazaretu. W *Księdze Izajasza* (II,1) jest mowa o wybitnym potomku Jessego, a chrześcijanie widzą w tym proroctwo dotyczące Chrystusa. *Jesse* — postać biblijna, ojciec króla Dawida, uważanego za przodka Jezusa. [przypis edytorski]

rze pod tytułem *Nowocześni wandale*: „Dreszcz przejmuje na myśl, że tej cennej pamiątki wieku pełnego wiary omal nie porąbano i nie spalono w naszych oczach”.

Słowa te, napisane przez człowieka, którego tendencje klerykalne były dobrze znane, ostro skrytykowała „Latarnia” w notatce anonimowej, w której słusznie czy niesłusznie poznano rękę archiwisty departamentalnego, pana Mazure. „W dwudziestu słowach — mówi ta notatka — pan budowniczy diecezjalny daje nam niejeden powód do zdziwienia. Po pierwsze, jak można drzeć na myśl utraty belki nieosobliwie rzeźbionej i tak zniszczonej, że szczegóły rzeźby są prawie zatarte? Po wtóre, jak belka ta dla pana Quatrebarbe, człowieka znanego z wykształcenia, może być relikwią wieku pełnego wiary, skoro pochodzi ona z r. 1530, to jest z roku soboru protestanckiego w Augsburgu? Po trzecie, dlaczego pan Quatrebarbe zapomina dodać, że cenną tę belkę zwałił i do składu odesłał teść pana Quatrebarbe, pan Nicolet, architekt diecezjalny, który w r. 1860



przebudował dom pana Paillot i doprowadził go do obecnego stanu? Po czwarte, pan Quatrebarbe udaje, iż nie wie, że to właśnie archiwista Mazure odnalazł rzeźbioną belkę w składzie Clouzot, gdzie od dziesięciu lat gnęła sobie pod nosem pana Quatrebarbe, i że on to wskazał ją panu de Terremondre, prezesowi Towarzystwa Rolniczego i Archeologicznego, który nabył ją dla muzeum”.

W obecnym stanie dom pana Paillot, księgarza, był trzypiętrową białą i gładką kamienicą. Na sklepie z zielono malowanymi drewnianymi oknami błyszczał złocony napis: „Księgarnia A. Paillot”, w oknie wystawowym widniały globusy różnych wielkości, pudełka z cyrklami, książki szkolne, małe podręczniki dla miejscowych oficerów tudzież kilka romansów i najświeższych pamiętników, które pan Paillot nazywał literaturą. Drugie okno, węższe i płytsze, wychodziło na ulicę des Tintelleries i zajęte było na dzieła rolnicze i prawnicze, które razem z poprzednimi zaspokajały umysłowe życie stolicy departamentu. W samym sklepie

na półkach leżały utwory literackie, powieści, krytyki, pamiętniki.

„Klasycy” zalegali przegrody szaf; w samej głębi, przy drzwiach wiodących na schody, były półki zarezerwowane dla starych książek. Bo sklep pana Paillot był księgarnią i antykwarnią zarazem. Ten ciemny kąt z książkami ściągał okolicznych bibliofilów, którzy nieraz robili tu prawdziwe odkrycia. Opowiadano, że pan de Terremondre, ojciec obecnego prezesa Towarzystwa Rolniczego i Archeologicznego, odnalazł tu w 1871 r. egzemplarz trzeciej księgi *Pantagruela* w edycji oryginalnej, dobrze zachowanej. Jeszcze bardziej tajemniczo mówiono o jakimś Mellin de Saint-Gelais<sup>64</sup>, na którym na odwrotnej stronie karty tytułowej znajdować się miały własnoręcznie pisane wiersze Marii Stuart. Książkę tę znaleźć miał w tym samym czasie i miejscu pan Dutilleul i kupił ją za trzy franki. Ale odtąd nikt nie wspominał już o nowych cudownych odkryciach. Cichy

---

<sup>64</sup>*Mellin de Saint-Gelais* (ok. 1491–1558) — fr. poeta renesansowy, lekarz i astrolog, nadworny poeta Franciszka I. [przypis edytorski]

kącik antykwarski wcale się nie zmieniał. Widziano w nim zawsze *Historię powszechną odkryć i podróży* w pięćdziesięciu sześciu tomach i pojedyncze tomy Woltera w dużym formacie. Co do odkrycia pana Dutilleul, to wielu o nim wątpiło, a inni wprost mu przeczyli. Ci ostatni opierali swój sąd na tym, że były rejent mógł skłamać przez próżność, oraz na fakcie, że po śmierci pana Dutilleul w jego bibliotece nie znaleziono śladu egzemplarza poezji Melin de Saint-Gelais. Bibliofile miejscy, stali bywalcy księgarni Paillot, mimo to dalej szperali w kącie ze starymi książkami co najmniej raz na miesiąc. Najwytrwalszym był pan de Terremondre.

Był to dobrze skoligacony właściciel rozległych dóbr w departamencie i hodowca bydła tudzież znawca sztuki. On to rysował kostiumy historyczne dla pochodów i przewodniczył w komitecie zorganizowanym dla wzniesienia pomnika Joanny d'Arc na Wałach. Cztery miesiące roku spędzał w Paryżu. Mówiono, że lubi się zabawić. Mając lat pięćdziesiąt zachował

wysmukłość i elegancję. Był dobrze widziany w towarzystwach i kilka razy ofiarowywano mu mandat poselski. Odmawiał zawsze, mówiąc, że drogi mu jest spokój i niezależność. Zastanawiano się powszechnie nad powodem tej odmowy.

Pan de Terremondre zamierzał nabyć dom królowej Małgorzaty, by urządzić w nim muzeum miejscowych zabytków archeologicznych i ofiarować je miastu. Ale właścicielka tego domu, wdowa Houssieu, nie godziła się na sprzedaż. Była to kobieta osiemdziesięcioletnia, żyła w starym domostwie sama z tuzinem kotów. Uchodziła za bogatą i skąpą. Trzeba więc było czekać jej śmierci. Ilekroć pan de Terremondre wchodził do księgarni, pytał pana Paillot:

— Cóż, królowa Małgorzata przebywa jeszcze na tym świecie?

A pan Paillot odpowiadał zawsze, że skoro w tym wieku mieszka sama, niechybnie któregoś ranka ludzie zastaną tylko jej trupa. Tymczasem bał się, aby staruszka nie podpaliła swego domostwa. Było to jego ustawiczną zmorą.

Żył w trwodze, aby nie spaliła swojej rudery i jednocześnie jego domu.

Wdowa Houssieu bardzo interesowała pana de Terremondre. Ciekaw był wszystkiego, co robi i mówi ta, którą nazywał królową Małgorzatą. Ostatnim razem, kiedy był u niej, pokazała mu kiepski sztych z epoki Restauracji. Sztych przedstawiał księżnę d'Angoulême przyciskającą do serca medalion z portretem Ludwika XVI i Marii Antoniny. Sztych ten w czarnej ramce zawieszony był w sali na parterze. Wdowa Houssieu pokazując go powiedziała:

— To portret królowej Małgorzaty, która niegdyś mieszkała w tym domu.

I pan de Terremondre pytał sam siebie, jak nawet wśród najciemniejszych umysłów portret Marii Teresy Karoliny, księżniczki francuskiej, mógł ujść za portret Małgorzaty Szkockiej? Myślał nad tym od miesiąca.

Tego dnia wchodząc do sklepu pana Paillot zawołał:

— Znalazłem!

I zaczął tłumaczyć swemu przyjacielowi księgarzowi prawdopodobny powód tego dziwnego pomieszania.

— Niech pan posłucha, panie Paillot! Małgorzata Szkocka zamiast Małgorzaty Larrivée, tę znów pomieszano z Małgorzatą de Valois, księżną d'Angoulême, a tę księżnę znów wzięto za księżnę d'Angoulême, córkę Ludwika XVI i Marii Antoniny. Małgorzata Larrivée — Małgorzata Szkocka — Małgorzata de Valois, księżna d'Angoulême. Jestem dość dumny, że to odkryłem, panie Paillot; zawsze dobrze jest odwołać się do tradycji. Ale gdy nabędziemy wreszcie dom królowej Małgorzaty, odświeżymy trochę pamięć tego zacnego Filipa Tricouillard.

Przy tych słowach ze zwykłym sobie rozmachem wszedł doktor Fornerol. Tak zawsze wbiegał tu ten niestrudzony opiekun cierpiących, wnoszący z sobą nadzieję i pokrzepienie. Był to tęgi mężczyzna z dużymi wąsami. Po teściu odziedziczył małą posiadłość ziemską i z tego powodu pozował na ziemianina, chodził do chorych w miękkim kapeluszu, w kurt-

ce myśliwskiej i w skórzanych getrach. Chociaż klientela jego składała się wyłącznie z rolników podmiejskich i drobnych mieszczan, uchodził za najzdolniejszego lekarza w mieście. Mimo że był przyjacielem pana Paillot, jak w ogóle wszystkich w mieście, doktor Fornerol nie zachodził niepotrzebnie do sklepu i nie tracił czasu na gawędy. Tym razem jednak rzucił się na jedno z trzech wyplatanych krzeseł stojących w kącie ze starymi książkami. Krzesła te zapewniały księgarni Paillot sławę gościnnej, uczonej akademii literackiej.

Odsapnął, ręką przesłał powitanie panu Paillot, z szacunkiem ukłonił się panu de Terremondre i rzekł:

— Ależ jestem zmęczony!... No jakże, panie Paillot, czy byłeś zadowolony z wczorajszego przedstawienia? Co sądzi pani Paillot o sztuce i aktorach?

Księgarz nie wypowiedział swego zdania. Uważał on, że mądry kupiec nie wygłasza własnych sądów w swoim sklepie. Zresztą chodził do teatru tylko z rodziną i nader rzadko. Dok-

tor Fornerol zaś jako lekarz teatralny miał wolny wstęp i nie opuszczał żadnego przedstawienia.

Trupa przejezdna poprzedniego dnia wystawiła *Marszałkową* z Pauliną Giry w roli głównej.

— Zawsze jeszcze jest doskonała ta Paulina Giry — rzekł doktor.

— Jest to opinia powszechna — powiedział księgarz.

— Zaczyna się starzeć — wtrącił pan de Terremondre przerzucając trzydziesty ósmy tom *Historii powszechnej odkryć i podróży*.

— Ale gdzie tam! — odrzekł doktor. — Pan wie, że ona wcale nie nazywa się Giry?

— Jej prawdziwe nazwisko jest Girou — odparł z pewnością siebie pan de Terremondre. — Znałem jej matkę, Klementynę Girou. Przed piętnastu laty Paulina Giry była bardzo piękną brunetką.

I wszyscy trzej w kącie księgarni zaczęli dochodzić, ile lat może mieć aktorka. Ale że liczyli według danych niepewnych lub fałszywych,



otrzymywali wyniki niezgodne, czasem zupełnie niemożliwe, niezadowolające.

— Zmęczony jestem — rzekł doktor. — Wy po teatrze poszłicie spać, a ja o północy wezwany zostałem do Duroc do starego wieśniaka cierpiącego na uwięzłą przepuklinę. Jego parobek mnie objaśnił tak: „Zwymiotował już wszystko, co zwymiotować można, krzyczy okrutnie, pewnie umrze”. Każę zaprzęgać i pędzę do Duroc, het, na sam koniec przedmieścia Tramayes. Zastaję chorego w łóżku, wyjącego z bólu. Twarz trupia, wymiotuje kałem. Świetnie! Jego żona mi mówi: „Złapało go we wnętrzu”.

— Paulina Girya ma lat czterdzieści siedem — rzekł pan de Terremondre.

— Bardzo być może — odpowiedział pan Paillot.

— Co najmniej czterdzieści siedem lat — powtórzył doktor. — Przepuklina była podwójna i wielka. Świetnie! Zaczynam wprowadzać ją przez ucisk. Chociażby się tylko bardzo lek-

ko naciskało ją ręką, po pół godzinie tej pracy ma się krzyż i ramiona jak połamane. A dopiero po pięciu godzinach i po dziesięciokrotnym powtórzeniu tego zabiegu udało mi się wprowadzić przepuklinę do wnętrza.

W tym miejscu opowiadania doktora Fornerola księgarz Paillot poszedł usłużyć damom, które żądały zajmujących książek do czytania na wsi. Doktor, zwracając się tylko do pana de Terremondre, ciągnął dalej:

— Byłem wykończony. Mówię memu chłopu: „Trzeba pozostać w łóżku i o ile możliwości leżeć na wznak, aż bandażysta zrobi wam pas podług moich wskazówek. Trzeba leżeć na wznak, bo inaczej znów uwięźnie! Wiecie teraz, jak to smakuje! Nie mówię już o tym, że któregoś dnia możecie z tego klapnąć. Zrozumielście?” „Tak jest, panie doktorze!” No, dobrze! Idę na dziedziniec umyć się pod studnią. Pojmuje pan, że po tej czynności musiałem się nieco oczyścić; rozbieram się po pas do naga i przez kwadrans szoruję się szarym mydłem. Potem ubieram się znów. Wychyłam kieliszek

wina, które przyniesiono mi do ogródka. Przyglądam się, jak wstaje szary dzień, słucham śpiewu skowronka i wracam do pokoju chorego. Ciemno w nim zupełnie. Wołam w kierunku łóżka: „He? Zrozumiano? Leżeć nieruchomo, aż przyniosą nowy pas. Ten, który macie, nic nie wart. Słyszycie?” Nikt nie odpowiada. „Śpiacie?” Wtem słyszę za sobą głos starej: „Panie doktorze, nie ma go już w domu, pilno mu było iść do winnicy”.

— Poznają po tym naszych chłopów — rzekł pan de Terremondre.

Zamyślił się i dodał:

— Panie doktorze, Paulina Girya ma teraz czterdzieści dziewięć lat. Debiutowała w 1876 roku w Wodewilu; miała wtedy dwadzieścia dwa lata. Jestem tego pewny.

— W takim razie miałyby teraz lat czterdzieści trzy, bo mamy rok 1897.

— To niemożliwe — rzekł pan de Terremondre — ma najmniej sześć lat więcej niż Róża Max, która z pewnością przekroczyła czterdziestkę.

— Róża Max! Nie przeczę, ale mimo to jest to jeszcze piękna kobieta — powiedział doktor.

Ziewnął, przeciągnął się i dodał:

— Powróciwszy od chorego o szóstej rano, zastaję w swoim przedpokoju dwóch piekarczyków, którzy oznajmniają mi, że gospodyni ich, piekarka z ulicy des Tintelleries, właśnie ma rodzić.

— Ale — rzeki pan de Terremondre — czyż aż dwóch piekarczyków trzeba było, żeby to panu powiedzieć?

— Przysłano ich po kolei — odrzekł doktor. — Pytam ich, czy wystąpiły już charakterystyczne objawy. Nie odpowiadają, a wtem nadjeżdża trzeci piekarczyk na wózku swego pana. Wsiadam, sadowię się obok niego. Skręcamy i oto pędzę po bruku ulicy des Tintelleries.

— Przypomniałem sobie — zawołał pan de Terremondre — Giry debiutowała w Wodewilu w 69 r., a w 76 mój kuzyn Courtrai znał ją... i często u niej bywał.

— Czy mówi pan o Jakubie de Courtrai, rotmistrzu dragonów?

— Nie, o Agenorze, który umarł w Brazylji... Ma ona syna, który zeszłego roku skończył Saint-Cyr.

Tak przemawiał pan de Terremondre, kiedy pan Bergeret, profesor nadzwyczajny na wydziale humanistycznym, wszedł do sklepu.

Pan Bergeret był jednym z trzech kandydatów do krzeseł akademickich firmy Paillot i najwytrwalszym jej gościem. Przyjacielską ręką przerzucał tam stare i nowe utwory, a chociaż nie kupił nigdy żadnej książki, z obawy, by nie podrapała go żona lub córki, był zawsze życzliwie przyjmowany przez pana Paillot, który wysoce go szanował jako rezerwuar i destylator tego kunsztu literackiego, z którego żyją i bogacą się księgarze. Ten kąt starych ksiąg był jedynym miejscem w mieście, w którym pan Bergeret przebywać mógł z zupełnym zadowoleniem. W domu pani Bergeret przepędzała go z pokoju do pokoju dla różnych powodów gospodarskich; w uniwersytecie dziekan,

który go nie znosił, wyznaczył mu na wykład ciemną i niezdrową piwnicę, dokąd niewielu schodziło studentów, a w trzech ośrodkach towarzyskich miasta krzywo patrzono na niego za to, że nazwał Joannę d'Arc maskotą żołnierską.

Pan Bergeret wsunął się do kąta starych ksiąg.

— Dzień dobry panom. Co nowego?

— Tylko dziecko piekarki z ulicy des Tinteileries — rzekł doktor. — Sprowadziłem je na świat przed dwudziestu minutami. Miałem właśnie opowiedzieć to panu de Terremondre. I mogę dodać, że nie poszło to bez trudu.

— To dziecię — rzekł profesor — wahało się, czy się narodzić, czy nie. Nigdy nie zgodziłoby się na to, gdyby było obdarzone rozumem i zdolnością przewidywania i wiedziało o losie człowieka na ziemi, a w szczególności w naszym mieście.

— To ładna dziewczynka — rzekł doktor — ładne małe dziewczątko z malinką pod lewą brodawką.

Rozmowa ciągnęła się dalej między doktorem a panem de Terremondre.

— Ładna dziewczynka z malinką pod lewą brodawką? Powiedzą, że piekarce zachciało się malin, gdy zdejmowała koszulę. Zachcenie matki nie wystarcza, by obraz tego, czego pragnie, odbił się na owocu jej łona. Trzeba jeszcze, żeby pragnąc czegoś, dotknęła się jakiegoś miejsca na ciele. Wówczas obraz ten utworzy się na dziecku w miejscu odpowiadającym temu, którego dotknęła się matka. Czyż nie tak mówią, panie doktorze?

— W to wierzą kumoszki — odrzekł doktor Fornerol. — Ale znałem mężczyzn, nawet lekarzy, którzy byli babami pod tym względem i podzielali łatwowierność nianiek. Co do mnie, doświadczenie nabyte w długiej praktyce, znajomość spostrzeżeń zebranych przez uczonych, a przede wszystkim ogólny pogląd na embriologię nie pozwalają mi dać wiary temu przesądowi ludowemu.

— Zatem wedle pana doktora są to plamy jak każde inne, które tworzą się na skórze bez żadnej znanej przyczyny?

— Za pozwoleniem! Plamy te mają odrębny charakter. Nie zawierają naczyń krwionośnych i nie mogą prężyć się jak narośle, z którymi może je pan mieszasz.

— Pan doktor jednak stwierdza, że stanowią one odrębny rodzaj. Czy nic stąd pan nie wnioskuje o ich pochodzeniu?

— Absolutnie nic.

— Ale jeżeli plamy te istotnie nie są „zachciankami”, jeżeli odmawia się im przyczyny... że tak powiem... psychicznej, to nie pojmuję, jak mogło utrzymać się przekonanie, które znajdujemy w Biblii, a które dziś jeszcze podziela tak znaczna liczba osób. Moja ciotka Pastré była kobietą inteligentną i bynajmniej nie łatwowierną. Umarła zeszłej wiosny mając lat siedemdziesiąt siedem i do zgonu była przekonana, że trzy białe porzeczki, widoczne na ramieniu jej córki Berty, są pochodzenia dostojnego, bo powstały w parku Neuilly, tam bo-



wiem w czasie swej ciąży, w jesieni 1834 roku, przedstawiona została królowej Marii Amelii i przechadzała się z nią po ścieżce obsadzonej krzewami porzeczek.

Doktor Fornerol nic na to nie odpowiedział. Nie miał wielkiej ochoty sprzeciwić się sądom bogatej klienteli. Ale pan Bergeret, profesor nadzwyczajny na wydziale humanistycznym, przechylił głowę na lewe ramię, spojrzął w dal, co czynił zawsze, ilekroć chciał przemawiać, i rzekł:

— Panowie, faktem jest, że te znaki zwane „zachciankami” ograniczają się do małej liczby typów, które klasyfikować można według barwy i kształtu na poziomki, porzeczeki, maliny, plamy z wina i kawy. Należy może dodać do tych typów rodzaj plam żółtych, rozlanych, w których usiłuje się rozpoznawać części tortów i pulpetów. Któż by uwierzył, że kobiety w ciąży mają jedynie chęć pić wino lub kawę z mlekiem, jeść czerwone owoce i, jak powiadają, pulpety? Podobna myśl obraża filozofię przyrody. Pożądanie, które według pewnych fi-

lozofów samo tylko stworzyło świat i utrzymuje go, działa u kobiet ciężarnych jak i u wszystkich istot żywych, lecz z większą jeszcze rozmaitością i z większą siłą. Daje im ono tajone zapęły, ukryte namiętności, dziwne niepokoje. Nie poszukując nawet wpływu ich wyjątkowego stanu na zachcianki wspólne wszystkiemu, co żyje, nawet roślinom, przyznajemy, że ciąża nie powoduje obojętności, lecz raczej wypacza i potęguje głębsze instynkty. Gdyby niemowlę miało istotnie nosić ślady pożądań matki, widziano by niewątpliwie na jego ciele inne obrazy niż te niewinne poziomki i plamy kawowe, którymi zabawia się głupota kumoszek.

— Rozumiem pana — rzekł pan de Terremondre — kobiety lubią klejnoty, a więc dużo dzieci rodziłoby się z szafirami, szmaragdami i rubinami na palcach, ze złotymi bransoletami na rękach, sznury pereł i brylantów pokrywałyby im szyje i piersi. Dzieci takie mogłyby służyć przynajmniej na pokaz.

— Właśnie tak myślałem — odparł pan Bergeret.

I biorąc trzydziesty ósmy tom *Historii powszechnej odkryć i podróży* ze stołka, na którym położył go pan de Terremondre, profesor zatopił nos w książce między stronicą 212 a 213. Ta to karta od sześciu lat, gdy księgę otwierał, zawsze nieuchronnie ukazywała się jego oczom jako przykład monotonii, w jakiej upływa życie, jako symbol dni i prac w prowincjonalnym uniwersytecie, dni poprzedzających dzień zgonu i proces rozkładu ciała w trumnie. I tym razem, jak czynił to był tylekroć, pan Bergeret przeczytał w trzydziestym ósmym tomie *Historii powszechnej odkryć i podróży* pierwsze wiersze stronicy 212:

...znaleźć przejście na północ. — Niepowodzeniu temu — rzekł — zawdzięczamy, że mogliśmy ponownie zwiedzić wyspy Sandwich i wzbogacić naszą podróż odkryciem, które, choć ostatecznie, zdaje się pod wieloma względami być najważniejszym, jakiego dokonali Europejczycy na całym obszarze Oceanu Spokojnego. —

Pomyślne przepowiednie, zawarte w tych słowach, nie ziściły się, niestety.

I tym razem, jak po tylekroć, odczytanie tych wierszy napełniło pana Bergeret smutkiem. Podczas gdy był w nim pogrążony, pan Paillot, księgarz, wyniośle i lekceważąco odpowiadał młodemu żołnierzycowi, który żądał papieru listowego za jednego *sou*<sup>65</sup>.

— Nie sprzedaję papieru listowego na sztuki — oświadczył pan Paillot odwracając się od żołnierza. I począł uskarżać się na Leona, swego subiekta, który ciągle biega za posyłkami, a gdy raz wyjdzie, doczekać się go nie można. Toteż on sam, Paillot, musi przerywać swą pracę, by odpowiadać różnym natrętom. Teraz chcą odeń papieru listowego za *sou*!

— Pamiętam — rzekł doktor — jak w dzień targowy zaszła do pana poczciwa wieśniaczka żądając synapizmu i jak z wielkim trudem udało się panu powstrzymać ją, by nie podniosła spódnic, bo chciała pokazać miejsce, gdzie plaster trzeba przyłożyć.

---

<sup>65</sup>*sou* (fr., lm *sous*) — drobna moneta, warta 5 centymów. [przypis edytorski]

Księgarz Paillot na tę anegdotkę odpowiedział wymownym milczeniem, oznaczającym obrażoną godność.

— Nieba! Co za obelga! — wykrzyknął bibliofil, pan de Terremondre. — Magazyn naszego Frobena<sup>66</sup>, naszego Elzevira<sup>67</sup>, naszego Debure'a<sup>68</sup> wzięto za aptekę Tomasza Biegunki<sup>69</sup>!

— Zapewne — ciągnął doktor Fornerol — poczciwa wieśniaczka nie miała nic złego na myśli pokazując Paillotowi siedlisko swego cierpienia. Ale nie należy według niej sądzić o chłopkach. Na ogół bardzo niechętnie dają się one badać lekarzowi. Moi koledzy praktykujący na wsi często mi na to zwracali uwagę. Kobiety wiejskie nawet w poważnych chorobach opierają się badaniu lekarza z energią

---

<sup>66</sup>*Johann Froben* (1460–1527) — szwajcarski drukarz i wydawca. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>*Elzevir* a. *Elzevier* — rodzina drukarzy i wydawców holenderskich, słynna w XVII w. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>*Debure* — rodzina fr. księgarzy, wydawców i bibliografów, najbardziej znani byli kuzyni Guillaume-François (1731–1782) oraz Guillaume (1734–1820). [przypis edytorski]

<sup>69</sup>*Tomasz Biegunka*, fr. *Thomas Diafoirus* — jeden z bohaterów komedii Molière'a *Chory z urojenia*. [przypis edytorski]

i uporem, czego nie spotyka się wśród mieszczek, zwłaszcza wśród kobiet z towarzystwa. Sam widziałem taką chłopkę w Lacigny: umarła na guz wewnętrzny, a nie dała się zbadać lekarzowi.

Pan de Terremondre jako prezes kilku uczonych stowarzyszeń lokalnych miał z tego tytułu przesady akademickie i na zasadzie twierdzeń doktora począł oskarżać Zolę o to, że zniesławił chłopów w *Ziemi*.

Na to oskarżenie pan Bergeret otrząsnął się ze swej smutnej zadumy i rzekł:

— Proszę zważyć, że wśród chłopów niezadkie jest pijaństwo, ojcobójstwo, kazirodztwo, tak właśnie, jak opisał Zola. Ich wstręt do poddania się badaniu lekarskiemu nie jest dowodem ich wstydlivości i czystości. Dowodzi on jedynie, jak silne są przesady u istot ograniczonych. Przesady im prostsze, tym są silniejsze. Przesąd, że źle jest pokazywać swą nagość, tkwi w nich potężnie. Słabnie u ludzi inteligentnych i wytwornych wskutek nawyknień do kąpieli, natrysków, masażu, a także

z poczucia estetyki i zamiłowania do wrażeń rozkosznych; ustępuje też łatwo wobec wymagań higieny i zdrowia. Tyle tylko da się wyciągnąć ze spostrzeżeń doktora.

— Zauważyłem — rzekł pan de Terremondre — że kobiety dobrze zbudowane...

— Takich wcale nie ma — rzekł doktor.

— Pan doktor przywodzi mi na myśl mego operatora nagniotków — odrzekł pan de Terremondre. — Mówił on mi któregoś dnia: „Gdyby pan był operatorem nagniotków, nie zawracałby pan sobie głowy kobietami”.

Księgarz Paillot, oparty o ścianę, od dłuższego czasu nasłuchiwał. W końcu rzekł:

— Co to się dzieje w domu królowej Małgorzaty? Słyszę krzyki i odgłos przewracanych mebli.

Znów opanowała go zwykła obawa.

— Ta stara baba podpali kiedyś swój dom i połowa miasta spłonie; tu wszystko jest drewniane.

Nikt nie zwrócił uwagi na te słowa, nikt nie uspokoił tych zlekceważonych obaw. Doktor

Fornerol wstał, z trudem rozprostował znużone członki, wyprężył mięśnie ramion i poszedł na miasto odwiedzać chorych. Pan de Terremondre naciągnął rękawiczki i postąpił ku drzwiom. Potem, zauważywszy wysoką, cienką postać, idącą przez plac sztywnym i zamaszystym krokiem, powiedział:

— Oto idzie generał Cartier de Chalmot. Życzę prefektowi, żeby go nie spotkał.

— A to dlaczego? — zapytał pan Bergeret.

— Bo te spotkania nie wypadają pomyślnie dla pana Worms-Clavelin. Zeszłej niedzieli nasz prefekt jadąc na spacer powozem spotkał generała Cartier de Chalmot idącego z żoną i córkami. Rozparty na poduszkach, w kapeluszu na głowie, przesłał staremu wojakowi protekcyjnalny ukłon ręką, wołając: „Dzień dobry, dzień dobry generałowi”. Generał poczerwieniał z gniewu. U ludzi nieśmiałych gniew bywa bardzo gwałtowny. Generał Chalmot nie posiadał się ze złości. Był straszny. Wobec wszystkich spacerujących, naśladując poufały gest pa-



na Worms-Clavelin, zawołał piorunującym głosem: „Dzień dobry, dzień dobry prefektowi!”

— Już nic nie słyhać w domu królowej Małgorzaty — rzekł pan Paillot.

### XIII

Słońce południowe słało swe żary subtelne i jasne. Ani chmurki na niebie, ani powiewu w powietrzu. W ciszy i spokoju sama tylko jasność, jak okiem sięgnąć, wiodła tan płomienny. Na opustoszałym placu zabaw u stóp wiązków padał cień bezwładny i ciężki. Dozorca drogowy spał w rowie, okalającym wały. Ptaki umilkły.

Siedząc na ocienionym końcu ławki, w trzech czwartych oblanej słońcem, pan Bergeret zapominał w miłej samotności pod klasycznymi drzewami o żonie, o swych córkach, o swym ciasnym życiu w ciasnym mieszkaniu; jak Ezop rozkoszował się swobodą swego umysłu i błędził krytyczną wyobraźnią wśród żywych i umarłych.

Tymczasem ksiądz Lantaigne, rektor seminarium, z brewiarzem w ręku przechodził główną aleją. Pan Bergeret wstał, by ofiarować księdzu miejsce na ławce w cieniu. Ksiądz Lantaigne zajął je bez pośpiechu, z tą godnością kapłańską, która nie opuszczała go nigdy i była u niego tylko prostotą. Pan Bergeret usiadł przy nim w miejscu, gdzie przesiane przez gałązki promienie słoneczne kładły na czarny jego surdut złote plamy i zmuszały go do mrużenia powiek dla osłony olśnionych źrenic.

Powitał księdza Lantaigne winszując mu:

— Księżę rektorze, mówią wszędzie, że ksiądz będzie powołany na biskupstwo w Tourcoing. „Przyjmuję wróżbę i czekam jej spełnienia”.<sup>70</sup> Ale wybór ten zbyt jest trafny, żeby nie miał być wątpliwy. Księdza rektora uważa się za monarchistę, i to mu szkodzi. Czyż ksiądz rektor nie jest republikaninem, jak papież?

---

<sup>70</sup>Przyjmuję wróżbę i czekam jej spełnienia (fr. *J'en accepte l'augure et j'ose l'espérer*) — cytat ze sztuki *Cynna* (*Cinna ou la Clémence d'Auguste*) Pierre'a Corneille. [przypis edytorski]

*Ks. Lantaigne:* Jestem republikaninem, jak papież. To znaczy, że jestem z rządem Republiki na stopie pokojowej, a nie wojennej. Ale pokój nie jest miłością. Nie lubię Republiki.

*P. Bergeret:* Zgaduję przyczynę tych uczuć. Ksiądz zarzuca jej, że jest wroga duchowieństwu i wolnomyślna.

*Ks. Lantaigne:* Istotnie zarzucam jej, że jest bezbożna i wroga księżom. Ale ta bezbożność i ta niechęć nie są to jej cechy istotne. Winni im republikanie, nie Republika. Zmniejszają się one lub potęgują przy każdej zmianie osób. Są mniejsze dziś, niż były wczoraj. Wzrosną może jutro. Może nadejdzie czas, że tak samo istnieć nie będą, jak nie istniały za panowania marszałka Mac-Mahona lub przynajmniej w zwodniczych początkach tego panowania i za zwodniczego rządu 16 maja. Mają swe źródło w ludziach, nie w istocie rzeczy. Ale gdyby nawet Republika miała szacunek dla religii i jej sług, nienawidziłbym jej również.

*P. Bergeret:* Dlaczego?

*Ks. Lantaigne:* Bo jest ona różnorodnością. I w tym jest zasadniczo zła.

*P. Bergeret:* Nie rozumiem dobrze księdza rektora...

*Ks. Lantaigne:* Pochodzi to stąd, że nie ma pan umysłu teologicznego. Dawniej nawet laicy nie byli go pozbawieni. Zeszyty szkolne, które zachowywali, przypominały im podstawy filozofii. Jest to prawdziwe, zwłaszcza jeżeli chodzi o mężów siedemnastego stulecia. Wtedy wszyscy ludzie wykształceni literacko, nawet poeci, umieli rozumować. Doktryna z Port-Royal jest podstawą *Fedry* Racine'a. Ale dzisiaj, kiedy teologia zamyka się w seminariach, nikt już rozumować nie umie, ludzie z najlepszego towarzystwa są prawie tak głupi, jak poeci i uczeni. Nie dalej jak wczoraj pan de Terremondre powiedział mi w najlepszej wierze: „Kościół i Państwo powinny czynić sobie wzajemne ustępstwa”. Nikt już nic nie umie, nie myśli się wcale. Próżne słowa krzyżują się w powietrzu. Jesteśmy na wieży Babel. Pan,

panie Bergeret, daleko więcej zajmował się Wolterem niż świętym Tomaszem.

*P. Bergeret:* To prawda. Ale czyż ksiądz nie powiedział, że Republika jest różnorodnością samą i przez to jest zasadniczo zła? Proszę mi to wytłumaczyć. Może potrafię zrozumieć. Mam więcej pojęcia o teologii, niż ksiądz przypuszcza. Czytałem Baroniusa z piórem w ręku.

*Ks. Lantaigne:* Baronius jest tylko kronikarzem, chociaż największym ze wszystkich; pewien jestem, że pan zauważył w nim tylko drobności historyczne. Gdyby pan był choć trochę teologiem, nie byłby pan ani zdziwiony, ani zbity z tropu tym, co powiedziałem. Różnorodność jest obrzydliwa. Główną cechą zła jest właśnie różnorodność. Cecha ta objawia się w rządzie Republiki, który bardziej niż jakikolwiek inny oddala się od jedności. Prócz tego brak mu niezależności, ciągłości, siły. Brak mu świadomości i można powiedzieć o nim, że nie wie, co robi. Chociaż trwa na naszą udrękę, nie ma w nim trwałości. Bo pojęcie trwałości wymaga tożsamości, a Republika nie jest nigdy

tym dziś, czym była wczoraj. Nawet brzydota jej i błędy nie do niej należą. Sam pan widzi, że nic jej nie bezcześci. Hańby i skandale, które zrujnowałyby najpotężniejszą monarchię, po niej spłynęły bez szkody. Nie można jej zniszczyć, ale sama ona jest zniszczeniem. Jest rozsypką, jest nietrwałością, jest różnorodnością, jest złem.

*P. Bergeret:* Czy ksiądz mówi o republice w ogóle, czy tylko o naszej?

*Ks. Lantaigne:* Oczywiście, że uwagi moje nie dotyczą ani rzeczypospolitej rzymskiej, ani bawarskiej, ani szwajcarskiej, lecz tylko francuskiej. Bo te rządy tylko nazwę mają wspólną, a nie myśli pan chyba, że sędzę je z nazw, którymi się mianują. Nie sędzę nawet z tego, że wszystkie te rządy przeciwstawiają się monarchii: przeciwstawienie to samo w sobie nie jest godne potępienia. Ale republika we Francji jest tylko brakiem panującego i brakiem władzy. A lud ten był za stary w chwili amputacji, żeby można było nie obawiać się, czy wskutek niej nie umrze.

*P. Bergeret:* Jednakże Francja już o dwadzieścia siedem lat przeżyła Cesarstwo, o czterdzieści osiem — monarchię burżuazyjną, a o sześćdziesiąt sześć lat monarchię legitymistyczną.

*Ks. Lantaigne:* Powiedz pan raczej, że od stu lat śmiertelnie ranna Francja, na przemian w atakach buntu i apatii, wlecze resztki nędznego żywota. I niech pan nie sądzi, że jestem chwalcą ubiegłych czasów lub że tęsknię, żałuję złudnych obrazów złotego wieku, który nie istniał nigdy. Losy ludów są mi znane. Godziny ich znaczą się niebezpieczeństwami, dni — nieszczęściami. I słuszne, i potrzebne jest, żeby tak było. Życie ludów, tak jak życie jednostki, gdyby wolne było od prób, byłoby niepojęte. Historia dawnej Francji jest pełna zbrodni i pokuty za zbrodnie. Bóg karmił zawsze naród francuski z gorliwością miłości niewyczerpanej, dobroć Boża za czasów królów nie oszczędziła Francji żadnego cierpienia. Ale że Francja była wtedy chrześcijańska, cierpienia te były dla niej pożyteczne i cenne. Odczuwała w nich dostojność kary. Teraz cierpienia nie mają już

dla Francji żadnego znaczenia: nie rozumie ich i nie godzi się na nie. Znosząc próby losu, nie przyjmuje ich. I, szalona, chce być szczęśliwą! Bo tracąc wiarę w Boga, wraz z ideą absolutu traci się zrozumienie rzeczy względnych i nawet samo poczucie historii. Jedynie Bóg spaja logiczny ciąg wydarzeń ludzkich, które bez niego nie układają się w ład dający się pojąć i rozumiały. Od stu lat historia Francji jest zagadką dla Francuzów. Była jednak i za dni naszych uroczysta chwila oczekiwania i nadziei. Rycerz zjawiający się w chwili przez Boga wyznaczonej, mający na imię czy to Salmanasar czy Nabuchodonozor, Cyrus, Kambyzes, Memmius, Tytus, Alaryk, Attyła, Mahomet II czy też Wilhelm, w płomieniach przebiegł przez Francję. Upokorzona, okrwawiona, okaleczona, wzniosła oczy do nieba. Oby ta chwila była jej policzona. Zdawała się pojmować, odzyskiwać zrozumienie wraz z wiarą, oceniać wartość i pożytek swych mąk niezmiernych, lecz opatrnościowych. Wydała ludzi sprawiedliwych, chrześcijan, żeby utworzyć z nich zgromadze-



nie najwyższe. Widziano, jak zgromadzenie to wznawiało uroczysty obyczaj i oddawało Francję sercu Jezusowemu. I jak za czasów świętego Ludwika, widziano bazyliki powstające na szczytach gór na wprost grodów pokutujących, widziano najlepszych obywateli przygotowujących odbudowę monarchii.

*P. Bergeret (po cichu):* 1) Zgromadzenie w Bordeaux<sup>71</sup> 2) Bazylika Sacré-Coeur na Montmartre, kościół Fourvières w Lyonie, 3) Komisja dziewięciu i misja pana Chesnelong<sup>72</sup>.

*Ks. Lantaigne:* Co pan mówi?

*P. Bergeret:* Nic. Opatruję przypisami tę *Rozprawę o historii powszechnej*.

*Ks. Lantaigne:* Niech pan nie szydzi i nie zaprzecza. Po drogach słuchano tętentu białych rumaków wiozących Francji króla. Hen-

---

<sup>71</sup>Zgromadzenie w Bordeaux — Zgromadzenie Narodowe, obradujące w Bordeaux w 1871 r., na którym doszło do zmiany rządu i ratyfikacji pokoju z Prusami, kończącego wojnę francusko-pruską. W Zgromadzeniu dominowali zwolennicy monarchii. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>Charles Chesnelong (1820–1899) — fr. polityk, senator, jeden z przywódców partii legitymistów, orędownik powrotu monarchii w osobie Henryka d'Artois. [przypis edytorski]

ryk<sup>73</sup> od Boga zesłany powracał, by ustanowić władzę, z której biorą początek obie siły społeczne: rozkaz i posłuszeństwo; przybywał, by wraz z ładem boskim odbudować ład ludzki, duchem religijnym ożywić mądrość polityczną, hierarchię, prawa, ustawy, wolność prawdziwą, jedność. Naród, nawiązując do swych tradycji, odzyskiwał zrozumienie swej misji, tajemnicy swej potęgi i swego zwycięstwa. Nie zechciał tego Bóg. Wielkie te zamysły krzyżowane przez nieprzyjaciela, który zaspokoivszy swą nienawiść wciąż nas nienawidził, zwalczane przez znaczną liczbę Francuzów, niedostatecznie popierane nawet przez tych, którzy je powzięli, w dzień jeden zniweczono. Granice ojczyzny zamknięto przed Henrykiem zesłanym od Boga i naród popadł w Republikę, to jest, wzgardził swym dziedzictwem, zrzekł się swych praw i obowiązków, aby rządzić się według upodobania i żyć wygodnie w tej wolno-

---

<sup>73</sup>*Henryk od Boga zesłany* — Henri d'Artois, hrabia Chambord (1820–1882), spadkobierca korony fr., przez zwolenników przywrócenia monarchii nazywany Henrykiem V. [przypis edytorski]

ści, której przeszkadza Bóg i która burzy jego ziemski wizerunek: ład i prawo. Odtąd królem było zło i ono wydawało ustawy i rozporządzenia. Kościół wystawiono na nieustanne szykany, postawiono go chytrze między abdykacją, niemożliwą do przyjęcia, a karygodnym buntem.

*P. Bergeret:* Do szykan zapewne ksiądz rektor zalicza wypędzenie zakonów?

*Ks. Lantaigne:* Oczywiście, że wypędzenie zakonów wypłynęło z myśli złej i jest wynikiem bezbożnego wyrachowania. Jest rzeczą pewną, że wydalani zakonnicy nie zasługiwali na takie postępowanie. Godząc w nich zamierzano ugodzić w Kościół. Ale cios źle skierowany wzmocnił tylko ciało, którym zachwiać chciano, i przywrócił parafiom władzę i środki poprzednio utracone. Nieprzyjaciele nasi nie znali Kościoła; ówczesny ich przywódca, lepiej uświadomiony, bardziej pragnął przypodobać się swym zwolennikom niżli zniszczyć Kościół; wypowiedział więc nam wojnę udawaną, pozorną. Bo nie sądzę, by wypędzenie zakonów nie zatwierdzonych było

skutecznym atakiem. Bez wątpienia, szanuję te ofiary niezręcznego prześladowania, ale uważam, że duchowieństwo świeckie bez pomocy duchowieństwa zakonnego wystarcza Kościołowi Francji do rządów i opieki nad duszami. Niestety! Republika zadała Kościołowi rany głębsze i bardziej ukryte. Zbyt dobrze znane są panu, panie Bergeret, sprawy nauczania, abyś ran tych sam nie widział. Najbardziej jednak jątrzącą ranę zadano wynosząc na biskupów księży o ciasnym umyśle i słabym charakterze... Powiedziałem chyba dosyć. Chrześcijanin pociesza się i nabiera otuchy wiedząc, że Kościół nie zginie. Ale jaka pociecha pozostaje patriocie? Widzi on, że wszystkie członki państwa są zgangrenowane, zgniłe. Co za postęp w rozkładzie w ciągu dwudziestu lat! Głowa państwa!... Jedyłą jego cnotą jest niemoc, a staje się on winny zbrodni, gdy tylko się go posądzi, że działa lub choćby myśli. Ministrowie podlegli są nieudolnemu i, jak się powszechnie sądzi, przekupnemu parlamentowi. Członków Izby, z dnia na dzień głupszych,

wybierają i naznaczają bezbożne zgromadzenia masonów; mają oni tworzyć zło, do którego nawet nie są zdolni, i jeszcze więcej szkodzą swą niespokojną bezczynnością. Ciągłe wzrasta biurokracja niezmierna, chciwa, szkodliwa. W niej Republika zamierza zapewnić sobie popleczników, lecz żywi ich na swoją zgubę. Sędziów dobiera się nie dbając o zasady słuszności; rząd zbyt często żąda od nich usług, aby ich można było nie podejrzewać o stronnictwo. Armia, jak i cały naród, przesiąknięta złowrogim duchem niezależności i równości, wyrzuca do wsi i miast cały tłum ludzi zepsutych w koszarach, niezdatnych do sztuk i rzemiosł, niechętnych do jakiegokolwiek pracy. Nauczycielstwo ma za zadanie uczyć ateizmu i niemoralności. Dyplomacji brak czasu i autorytetu, toteż naszą politykę zagraniczną i zawieranie przymierzy pozostawia się szynkarzom, pannom z magazynów i dziennikarzom. Wszystkie władze — prawodawcza i wykonawcza, sądownicza, wojskowa i cywilna — są połączone, pomieszane i niszczone jedne przez drugie.

Rząd godny śmiechu w swej niemocy niszczy-  
cielskiej dał społeczeństwu dwa najpotężniej-  
sze narzędzia śmierci, jakie bezbożność kiedy-  
kolwiek wytworzyła: rozwód i maltuzjanizm<sup>74</sup>!  
A wszystkie nieszczęścia, które szybko tu wy-  
mieniłem, są nieodłączne od Republiki i z niej  
logicznie wypływają. Republika jest zasadniczo  
zła. Jest zła, bo chce wolności, a tej nie chciał  
Bóg-Władca, który część swej władzy przelał  
na kapłanów i królów; jest zła, bo chce równo-  
ści, której Bóg nie chciał, skoro ustanowił hie-  
rarchię w niebie i na ziemi; jest zła wprowadza-  
jąc tolerancję, której Bóg chcieć nie mógł, zła  
bowiem tolerować nie może; jest zła, bo zasię-  
ga zdania ludu, jak gdyby tłum nieuków miał  
mieć pierwszeństwo przed małą liczbą wybra-  
nych stosujących się do woli Boga, a wola ta  
rozciąga się na rząd i nawet na szczegóły ad-  
ministracji, jako zasada, której skutki w nie-  
skończoność się rozwijają; jest zła wreszcie, bo  
ogłasza swą obojętność religijną, to jest swą

---

<sup>74</sup>*maltuzjanizm* — teoria przeludnienia, ukuta przez ang. ekonomistę Tho-  
masa Malthusa (1766–1834); tu: kontrola urodzeń, antykoncepcja. [przypis edy-  
torski]

bezbożność, swe niedowiarstwo, swe bluźnierstwa, z których najmniejsze jest śmiertelne; jest zła, bo przyznaje się do różnorodności, która jest złem i śmiercią!

*P. Bergeret:* Czy ksiądz rektor nie mówił przed chwilą, że będąc republikaninem, tak jak papież, jest zdecydowany żyć w zgodzie z Republiką?

*Ks. Lantaigne:* Zaiste, będę uległy jej i posłuszny. Buntując się przeciw niej, działałbym zgodnie z jej zasadą, a przeciw mojej. Oporny, podobny byłbym do niej, a niepodobny do siebie. Nie wolno być złym względem złych. Ona włada. Jeśli rządzi źle lub nie rządzi wcale, to jej grzech. Niech na nią spada! Obowiązkiem moim jest słuchać. Spełnię go. Będę posłuszny. Jako ksiądz, a jeśli spodoba się Bogu, jako biskup, nie odmówię Republice nic z tego, co jej się należy ode mnie. Przytomne mam w pamięci to, że święty Augustyn w Hipponie obleganej przez Wandalów umarł jako biskup i obywatel rzymski. Ja, drobny członek znamienitego Kościoła Galii, za przykładem naj-

większego z ojców Kościoła będę błagał Boga, by odegnał Wandalów, i umrę we Francji jako ksiądz i obywatel francuski.

Wiązy przesunęły swój cień ku wschodowi. Orzeźwiający powiew zaleciał od dalekiej burzy i wstrząsnął liśćmi. Podczas gdy po rękawie jego surduta spacerowała boża krówka, pan Bergeret uprzejmym tonem odpowiadał księdzu Lantaigne:

— Księżę rektorze, z wymową, którą tylko na księdza wargach spotkać jeszcze można, nakreślił ksiądz przed chwilą obraz rządu demokratycznego. Rząd ten mniej więcej jest taki, jak go ksiądz przedstawia. Ale mimo to — ten rząd jest mi jeszcze najmilszy. Wszystkie węzły są w nim rozluźnione; to osłabia państwo, ale sprawia ulgę rządzonym i daje pewną łatwość życia, pewną niezależność, którą, niestety, tępią tyranie lokalne. Bez wątpienia, zepsucie wydaje się większe w republice niż w monarchii. Pochodzi to stąd, że dużo, i to bardzo różnych ludzi jest powołanych do władzy. Ale zepsucie to byłoby mniej widoczne, gdyby



tajemnica była lepiej zachowywana. Nieścisle przestrzeganie tajemnicy i brak ciągłości unie-  
możliwiają republikanom demokratycznym wszel-  
kie przedsięwzięcia. Ponieważ jednak zamysły  
rządów monarchistycznych najczęściej tylko ruj-  
nowały ludy, nie martwię się tym, że żyję pod  
rządem niezdolnym do wielkich zamysłów. Naj-  
więcej mnie jednak cieszy to, że nasza Republi-  
ka ma szczerą chęć niewszczywania wojen w Eu-  
ropie. Chętnie jest militarna, lecz nie wojow-  
nicza. Rozważając szanse wojny, inne rządy oba-  
wiają się tylko klęski. Nasz rząd zupełnie jed-  
nakowo, i słusznie, obawia się zarówno zwycię-  
stwa, jak klęski. Ta zbawienna obawa zapewnia  
nam pokój, który jest najwyższym dobrem.

Najgorszą wadą obecnego systemu rzado-  
wego jest to, że drogo kosztuje. Nie bawi się  
w reprezentacje, nie ma w nim przepychu. Nie  
wydaje ani na konie, ani na kobiety. Ale mimo  
skromnych pozorów i zaniedbanej powierzchow-  
ności jest rozrzutny. Ma za dużo ubogich krew-  
nych, przyjaciół, którym trzeba pomóc. Jest mar-  
notrawny. A najbardziej przykre jest to, że żyje

z dochodów kraju wyczerpanego, którego siły opadają i który się już nie bogaci. A rząd bardzo potrzebuje pieniędzy. Zaczyna pojmo-  
wać trudności, ale jego trudności finansowe są  
większe, niż sam sądzi. I jeszcze wzrosną. To  
zło nie jest nowe; od niego zginął dawny po-  
rządek. Powiem teraz księdzu rektorowi wiel-  
ką prawdę: dopóki państwo zadowala się do-  
chodami, których dostarczają mu ubodzy, pó-  
ki wystarczają mu podatki, które z mechanicz-  
ną regularnością zapewniają mu warstwy żyją-  
ce z pracy rąk, póty państwo jest szczęśliwe,  
spokojne, szanowane. Ekonomiści i finansiści  
zgodnie głoszą jego uczciwość. Ale niech tylko  
to nieszczęśliwe państwo, przyciśnięte potrze-  
bą, spróbuje zażądać pieniędzy od tych, którzy  
pieniądze mają, i zechce nałożyć choćby małą  
kontrybucję na bogatych, natychmiast dają mu  
uczucie, że popełnia nikczemny zamach, gwał-  
ci wszelkie prawa, nie szanuje rzeczy świętej,  
rujnuje handel i przemysł, że ubożąc bogatych  
gnębi biednych. Nie tai się przed takim pań-  
stwem, że się zniestawia. Popada ono w pogar-

dę u zacnych obywateli. Tymczasem ruina zbliża się powoli i nieuchronnie. Republika dobiera się do renty. Wtedy już jest zgubiona.

Nasi ministrowie kpią z nas mówiąc o niebezpieczeństwie klerykalnym lub socjalistycznym. Jest tylko jedno niebezpieczeństwo: niebezpieczeństwo finansowe. Republika zaczyna to spostrzegać. Ubolewam nad nią, będę jej żałował. Za Cesarstwa wychowano mnie w uwielbieniu dla Republiki. „Jest ona sprawiedliwością” — mawiał mój ojciec, profesor retoryki w liceum w Saint-Omer. Nie znał jej. Nie jest ona sprawiedliwością, jest natomiast łatwością życia. Gdyby ksiądz rektor miał duszę mniej wzniosłą, mniej poważną, a dostępniejszą myślom radosnym, zwierzyłbym się, że Republika obecna, Republika roku 1897, podoba mi się i wzrusza mnie swą skromnością. Zgadza się na to, żeby jej nie podziwiano. Nie wymaga wielkiej czci i zrzeka się nawet szacunku. Wystarczy jej, że żyje. To jedyne jej pragnienie, zaiste uprawnione. Najnędniejszym istotom zależy na życiu. Jak drwal z bajki, jak aptekarz z Man-

tui<sup>75</sup>, który tak zadziwił tego szaleńca Romea, i ona lęka się śmierci; to jej jedyna trwoga. Nie dowierza książętom i generałom. W niebezpieczeństwie utraty życia stałaby się okrutna. Strach wytrąciłby ją z równowagi i uczynił dziką. Szkoda by było. Ale dopóki nie godzą w jej życie, a tylko w jej honor, dopóty jest dobrotliwa. Rząd taki podoba mi się, budzi we mnie spokój. Tyle było rządów bezlitosnych dla ambicji! Tyle innych okrucieństwami zapewniło sobie słuszność, wielkość i rozkwit! Tyle innych krew przelewało dla swych przywilejów i swego majestatu! Republika nie ma ambicji, nie ma majestatu. Szczęśliwa to wada, która ją czyni nieszkodliwą. Byle tylko żyła, jest zadowolona. Rządzi mało. Mam ochotę chwalić ją za to więcej niż za wszystko inne. A ponieważ rządzi mało, wybaczam jej, że rządzi źle. Przypuszczam, że ludzie zawsze, we wszystkich

---

<sup>75</sup>aptekarz z Mantui, który tak zadziwił tego szaleńca Romea — mowa o Aptekarzu z dramatu *Romeo i Julia* Shakespeare'a, opisanym przez tytułowego bohatera tymi słowami: *Tak bardzo jesteś biedny, tak cię srodze / Los upośledza i boisz się umrzeć?* (tłum. J. Paszkowski). Romeo chce skłonić Aptekarza do nielegalnej sprzedaży trucizny, za co zagraża kara śmierci. [przypis edytorski]

czasach przesadzali w podkreślaniu konieczności rządów i dobrodziejstw silnej władzy. Bez wątpienia, silna władza daje narodowi wielkość i rozkwit. Ale ludy w ciągu wieków tyle wycierpiały dla swej wielkości i rozkwitu, że pojąć łącno, iż chętnie się ich zrzekają. Sława kosztuje zbyt drogo, toteż winniśmy wdzięczność naszym obecnym rządóm, że dostarczają nam tylko sławy... kolonialnej. Gdyby kiedyś przekonać się miano o bezużyteczności jakiegokolwiek rządu, nieocenione to odkrycie doprawdy byłoby przygotowane przez Republikę pana Carnot. I za to należałaby się pewna wdzięczność. Wszystko to rozważywszy, jestem szczerze przywiązany do naszych instytucji.

Tak mówił pan Bergeret, profesor nadzwyczajny na wydziale humanistycznym.

Ksiądz Lantaigne wstał, wyjął z kieszeni chustkę w niebieską kratkę, przesunął nią po ustach, włożył na powrót do kieszeni, uśmiechnął się wbrew swemu zwyczajowi, poprawił brewiarz pod pachą i rzekł:

— Przyjemnie pana słuchać, panie Bergeret. Tak niegdyś przemawiali retorzy w Rzymie, gdy Alaryk wkraczał ze swymi Wizygotami. Jednakże retorzy w V wieku w cieniu cyprysów na Eskwilinie wygłaszali myśli mniej czcze, bo Rzym wtedy był chrześcijański, a pan już nie jest chrześcijaninem.

— Księżę rektorze — odrzekł profesor — niech sobie ksiądz zostanie biskupem, tylko niech ksiądz nie będzie rektorem uniwersytetu.

— To prawda, panie Bergeret — powiedział ksiądz z głośnym śmiechem — że gdybym był rektorem uniwersytetu, zabroniłbym panu nauczania młodzieży.

— I wyświadczyłby mi ksiądz przysługę. Bo wtedy pisywałbym do dzienników jak pan Jules Lemaître<sup>76</sup> i kto wie, czy jak on...

---

<sup>76</sup>Jules Lemaître (1851–1914) — fr. pisarz, członek Akademii Francuskiej, przywódca jednego ze stronnictw nacjonalistycznych, przeciwnych uniewinnieniu Dreyfusa. [przypis edytorski]

— He, he, czułby się pan świetnie między tymi wytwornisiami. Akademia Francuska ma słabość do libertynów.

Po tych słowach oddalił się krokiem równym, stanowczym i ciężkim. Pan Bergeret został sam na ławce, już w trzech czwartych okrytej cieniem. Boża krówka na jego ramieniu poruszała już od pewnego czasu skrzydełkami i w końcu odleciała. Pan Bergeret zadumał się. Nie był szczęśliwy. Miał umysł subtelny i ostry, którego nie wszystkie kolce zwrócone były na zewnątrz; bardzo często sam ranił się żądlami swej krytyki. Anemiczny śledziennik, miał żołądek bardzo delikatny i zmysły osłabione; sprawiały mu one więcej wstrętów i cierpień niż zadowolenia i radości. Był nieostrożny w słowach, a niezręczność ta tak zawsze była niezmienna i nieomylna, jak u innych najlepiej wyćwiczonego sprytu. Z subtelnym kunsztem korzystał z każdej sposobności, żeby sobie szkodzić. Wzbudzał we wszystkich naturalną odrazę i cierpiał z tego powodu, bo był sam usposobienia towarzyskiego i lubił obcować z ludźmi. Nigdy nie

udało mu się wykształcić uczniów; literaturę łacińską wykładał w ciemnej, wilgotnej i pustej piwnicy, dokąd zepchnęła go zapalczywa nieprzychylność dziekana. Wszakże budynek uniwersytecki był obszerny. Wzniesiony w 1894 r. „nowy ten gmach — jak się wyraził na inauguracji pan prefekt Worms-Clavelin — świadczył, jak rząd Republiki dba o krzewienie wiedzy!” Była tam sala amfiteatralna ozdobiona przez Leona Glaize malowidłem alegorycznym, przedstawiającym Nauki i Literaturę; pan Compagnon wykładał tam swój oklaskiwany kurs matematyki. Inni profesorowie, czy to żółtej, czy czerwonej togi, wykładali różne nauki w pięknych, jasnych salach. Jeden tylko pan Bergeret pod szyderczym spojrzeniem woźnego schodził z trzema słuchaczami do ciemnej piwnicy. Tam, w ciężkim, dusznym powietrzu, z francuską finezją a niemiecką wiedzą tłumaczył *Eneidę*; tam swoim moralnym i literackim pesymizmem głęboko zasmucał pana Roux z Bordeaux, swego najlepszego ucznia; tam otwierał nowe widnokreśli, które jego samego przera-



żały; tam wyrzekł pewnego wieczora owe pamiętne słowa, które stały się sławne, a które powinny były raczej być zduszone w ciemnej piwnicy: „Urywki rozmaitego pochodzenia, niezgrabnie zlepione, złożyły się na *Iliadę* i *Odyseję*. Takie to wzory kompozycji naśladowali Wergiliusz, Fénelon i w ogóle autorowie epiccy wierszem lub prozą w literaturach klasycznych”.

Pan Bergeret nie był szczęśliwy. Nie otrzymał żadnego odznaczenia naukowego. Prawda, że gardził zaszczytami, ale czuł, że piękniej byłoby gardzić nimi otrzymując je. Ze swych prac literackich był w mieście mniej znany niż pan de Terremondre, autor *Przewodnika dla turystów*, niż generał Milher, ceniony w departamencie poligraf, mniej nawet niż uczeń jego, Albert Roux z Bordeaux, autor *Nireidy*<sup>77</sup>, poematu białym wierszem. Gardził sławą literacką wiedząc, że sława Wergiliusza w Europie polega na dwu sprzecznościach, jednym nonsensie i jednym nieporozumieniu. To prawda. Ale

---

<sup>77</sup>*Nireida* — w oryginale fr. *Nivée*. [przypis edytorski]

cierpiał nad tym, że nie miał stosunków z pisarzami takimi, jak Faguet, Doumic lub Pellissier<sup>78</sup>, którzy, jak mu się zdawało, odpowiadali jego umysłowi. Chciałby ich znać, żyć z nimi w Paryżu, jak oni pisywać w dziennikach, polemizować z nimi, dorównać im, może nawet ich prześcignąć. Czuł w sobie znaczną bystrość umysłu i napisał niejedną stronicę, którą uważał za udaną.

Nie był szczęśliwy. Był ubogi, żył z żoną i córkami w ciasnym mieszkaniu, w którym do syta zaznał niewygód wspólnego pożycia; często na biurku znajdował papiloty i często zasmucał go widok rękopisów popalonych rurkami do fryzowania włosów. Nigdzie nie miał spokojnego i przyjemnego schronienia prócz ławki w parku pod cieniem starego wiązu i kąta ze starymi książkami w sklepie Paillota.

Podumał chwilę nad swym smutnym losem, po czym wstał z ławki i poszedł drogą wiodącą do księgarni.

---

<sup>78</sup>*Émile Faguet* (1847–1916), *René Doumic* (1860–1937) i *Georges Pellissier* (1852–1918) — fr. krytycy literaccy. [przypis edytorski]

## XIV

Gdy pan Bergeret wchodził do sklepu, księgarz Paillot z ołówkiem za uchem zajęty był zbieraniem „zwrotów”. Układał tomy, których żółte okładki, długo na słońce wystawione, ściemniały i popstrzone były przez muchy. Były to egzemplarze wzgardzone, które odsyłał wydawcom. Pan Bergeret dostrzegł wśród „zwrotów” utwory, które lubił. Nie zmartwił się tym jednak; miał zbyt wiele smaku, by ulubionym swoim autorom życzyć powodzenia u przeciętnych umysłów.

Pogrążył się, jak to miał w zwyczaju, w kąt pełen książek i z przyzwyczajenia wziął do ręki trzydziesty ósmy tom *Historii powszechnej odkryć i podróży*. Książka w zieloną skórę oprawiona otworzyła się sama na stronicy 212 i pan Bergeret raz jeszcze przeczytał nieuniknione słowa:

...znaleźć przejście na północ. — Niepowodzeniu temu — rzekł — zawdzięcza-

my, że mogliśmy ponownie zwiedzić wyspy Sandwich...

I pan Bergeret popadł w zadumę.

Pan Mazure, archiwista departamentalny, i pan de Terremondre, prezes Towarzystwa Rolniczego i Archeologicznego, obaj stali bywalcy w kącie starych ksiąg, przyłączyli się bardzo w porę do profesora literatury. Pan Mazure był zasłużonym paleografem, ale jego obyczaje nie były wytworne. Poślubił służącą archiwisty, swego poprzednika; na ulicy pokazywał się w połamanym słomianym kapeluszu. Był radykałem i napisał źródłową historię stolicy departamentu w czasie rewolucji. Z przyjemnością wymyślał rojalistom w swoim departamencie; ale ponieważ zażądał palm akademickich i nie otrzymał ich, zaczął ostatnio z taką przyjemnością wymyślać swym przyjaciółom politycznym, a szczególnie panu prefektowi Worms-Clavelin. Z natury był skłonny do gniewu, a zawodowa wprawa w wyjaśnianiu tajemnic pchała go tym bardziej do plotek i obmowy.

Mimo to był miły w obcowaniu, zwłaszcza przy stole, kiedy śpiewał wesołe piosenki.

— Wiecie co, panowie — rzekł do pana de Terremondre i pana Bergeret — prefekt mie-  
wa schadзки z kobietami w domu Rondonneau  
młodszego. Zdybano go na tym. Ksiądz Gu-  
itrel też tam uczęszcza. I właśnie ten dom w ka-  
tastrze z roku 1783 nazwany jest „domem dwóch  
satyrów”.

— Ależ — odrzekł pan de Terremondre —  
w domu Rondonneau młodszego nie ma kobiet  
lekkiego prowadzenia.

— Kaze je sprowadzać — odparł archiwista  
Mazure.

— Cóż to, kochany panie Bergeret — rzekł  
pan de Terremondre — słyzałem, że w po-  
gawędkach w parku gorszy pan mego starego  
przyjaciela, księdza Lantaigne, cynicznie przy-  
znając się do niemoralności politycznej i spo-  
łecznej. Powiadają, że nie zna pan kresu ani  
miary...

— Mylą się — odparł pan Bergeret.

— ...że jest pan obojętny na formę rządu.

— Bynajmniej! Ale prawdę powiedziawszy, nie przywiązuję zbytnej wagi do formy rządu. Zmiany rządu prawie nie zmieniają położenia rządzonych. Nie jesteśmy zależni od konstytucji i ustaw, lecz od instynktów i obyczajów. Na nic się nie przyda zmieniać nazwę konieczności powszechnych, toteż tylko głupcy lub pożerani ambicją próbują dokonywać przewrotów.

— Nie więcej nad dziesięć lat temu — rzekł pan Mazure — dałbym się zabić za Republikę. Dziś, gdybym widział, że wywraca koziołka, założyłbym ręce i śmiałbym się. Lekceważy się dziś starych republikanów. Łaski mają tylko świeżo nawróceni. Nie mówię tego do pana, panie de Terremondre. Ale zbrzydło mi to. Zaczynam podzielać zdanie pana Bergeret. Wszystkie rządy są niewdzięczne.

— Wszystkie są bezsilne — rzekł pan Bergeret. — Mam tu właśnie w kieszeni nowelę, którą chciałbym panom przeczytać. Źródłem jej była anegdota, którą kilkakrotnie opowiadał

mi ojciec. Wynika z niej, że władza absolutna jest najbardziej bezsilna. Chciałbym zasięgnąć zdania panów o tej drobnostce. Jeżeli się panom spodoba, pošlę ją do „Revue de Paris”.

Pan de Terremondre i pan Mazure przysunęli swe krzesła do krzesła pana Bergeret, który wyciągnął zeszyt z kieszeni i zaczął czytać głosem cichym, lecz wyraźnym:

## NOMINACJA

Ministrowie zebrali się...

— Pozwól mi pan posłuchać — rzekł księgarz Paillot. — Czekam na Leona, który nie wraca. Gdy go posłać za interesami, doczekać go się nie można. Muszę pilnować sklepu i obsłużyć klientów. Ale choć trochę posłucham czytania. Lubię się kształcić.

— Bardzo dobrze, panie Paillot — odrzekł pan Bergeret.

I zaczął na nowo:

## NOMINACJA

Ministrowie zebrali się na radzie pod przewodnictwem cesarza w jednej z sal Tu-

ileries. Napoleon III milcząc kreślił ołówkiem znaki na jakimś planie dzielnicy dla robotników. Długa, blada jego twarz dziwna się wydawała w swej smutnej zadumie, wśród tępych głów i rumianych twarzy tych ludzi praktycznych i czynnych. Cesarz podniósł spuszczone powieki i powiódłszy nakoło owalnego stołu swym łagodnym i zamglonym spojrzeniem, zapytał:

— Panowie, czy innych spraw nie ma już na porządku dziennym?

Głos jego przytłumiony gęstymi wąsami brzmiał głucho, zdawało się, że dochodzi z daleka.

W tej chwili minister sprawiedliwości koledze swemu, ministrowi spraw wewnętrznych, dał znak, którego tenże zdawał się nie zauważać.

Ministrem sprawiedliwości był wtedy pan Delarbre. Z rodu prawników, na wysokich urzędach sądowniczych okazał był przyzwoitą giętkość, niekiedy jednak przybierał nagle surową powagę zawodo-



wą, której nic ugiąć nie zdołało. Mówiono, że odkąd został mężem zaufania cesarzowej i klerykałów, jansenizm wielkich adwokatów, jego przodków, często nie dawał mu spokoju. Ale ci, którzy go bliżej poznawali, uważali, że był tylko drobiazgowy, trochę fantasta. Nie interesował się wielkimi sprawami, bo ich nie pojmował, był uparty w drobiazgach, które właśnie odpowiadały jego ciasnemu umysłowi intryganta.

Cesarz, z obiema rękami wspartymi na złożonych poręczach fotela, już miał powstać. Delarbre, widząc, że minister spraw wewnętrznych z nosem zatopionym w swoje papiery unika jego wzroku, wprost go zainterpelował:

— Wybacz mi, szanowny kolego, że podnoszę sprawę, która choć należy do waszego resortu, tym niemniej interesuje i mój. Sam pan przecie poinformował mnie o zamiarze przedstawienia na Radzie niezmiernie trudnego położenia, w jakim się zna-

lazł jeden z prokuratorów na skutek postępowania prefekta jednego z departamentów zachodnich.

Minister spraw wewnętrznych wzruszył szerokimi ramionami i spojrział na pana Delarbre z pewnym zniecierpliwieniem. Miał minę zarazem rubaszną i szorstką, właściwą ludziom rozkazującym licznej falandze podwładnych.

— To są obłudne, śmieszne plotki, które wstydzilibym się powtarzać Jego Cesarskiej Mości, gdyby mój kolega ze Sprawiedliwości nie widział w nich czegoś interesującego, czego ja bynajmniej w nich dopatrzyć się nie mogę.

Napoleon znów zaczął kreślić ołówkiem.

— Idzie tu o prefekta Dolnej Loary — ciągnął dalej minister. — Urzędnik ten ma w swoim departamencie sławę zdobywcy serc. I ta reputacja, wraz z jego dobrze znaną uprzejmością i poświęceniem dla rządu, niemało przyczyniła się do po-

pularności, jaką cieszy się w okolicy. Zauważono i tłumaczono złośliwie jego nadskakiwanie pani Méreau, żonie prokuratora generalnego. Przyznaję, że prefekt Péli-son dał powód do wzbogacenia kroniki skandalów w Nantes i że surowo osądzono go w burżuazyjnych kółkach miasta, głównie w tych, do których uczęszcza sądownictwo. Bez wątpienia, zachowanie się pana Péli-son względem pani Méreau, której stanowisko powinno by ją bronić przeciwko wszelkim dwuznacznym zamysłom, byłoby pożałowania godne, gdyby miało trwać dłużej. Ale zasięgnąłem wiadomości i mogę twierdzić stanowczo, że pani Méreau właściwie nie jest skompromitowana i że nie trzeba się obawiać skandalu. Dość będzie zachować trochę przezorności i ostrożności, a cała ta sprawa nie będzie miała niepożądanych skutków.

Minister spraw wewnętrznych skończył i zamknąwszy swą tekę rozparł się w fotelu.

Cesarz milczał.

— Za pozwoleniem, kochany kolego — rzekł sucho minister sprawiedliwości. — Żona generalnego prokuratora sądu apelacyjnego w Nantes jest kochanką prefekta Dolnej Loary; ta sytuacja, znana w całym mieście, może szkodzić powadze sądownictwa. Na ten stan rzeczy należy zwrócić uwagę Jego Cesarskiej Mości.

— Bez wątpienia — odparł minister spraw wewnętrznych z oczami zwróconymi na alegoryczne malowidła na suficie — bez wątpienia, fakty takie są godne pożałowania, nie trzeba jednak przesadzać. Możliwe, że prefekt Dolnej Loary był trochę nieostrożny, a pani Méreau nieco lekkomyślna, ale...

Minister resztę swych myśli przesłał figurom mitologicznym unoszącym się na malowanym niebie. Nastąpiła chwila milczenia, w której słychać było bezczelny szczebiot wróbli na gałęziach drzew w ogrodzie i na gzymsach pałacu.

Pan Delarbre przygryzał wąskie wargi i skubał swe poważne, a jednak eleganckie faworyty.

— Wybaczcie, że nalegam dalej — odrzekł — ale tajne raporty, które otrzymałem, nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do stosunków łączących pana Péliссon z panią Méreau. Stosunki te trwają już dwa lata. We wrześniu 18... prefekt Dolnej Loary kazał zaprosić prokuratora generalnego na polowanie do hrabiego de Morainville, deputowanego z trzeciego okręgu tego departamentu, i podczas nieobecności prokuratora dostał się do pokoju pani Méreau. Wszedł przez ogród warzywny. Nazajutrz ogrodnik spostrzegł ślady włamania i zawiadomił władze sądowe. Czyniono poszukiwania, zaaresztowano nawet jakiegoś włóczęgę, który nie mogąc wykazać swej niewinności siedział kilka miesięcy pod śledztwem. Był to zresztą osobnik źle notowany i mało interesujący. Dziś jeszcze pan prokurator generalny, mając

za sobą drobną cząstkę opinii publicznej, utrzymuje, że włóczęga ów winien był włamaniu. Sytuacja mimo to jest przykra i szkodzi, powtarzam to, powadze sądownictwa.

Minister spraw wewnętrznych, według swego zwyczaju, rzucił na to kilka zdań potężnych, które przecinały dyskusję i przytłaczały ją swym ciężarem. Trzyma przecież swych prefektów w garści i potrafi pana Péliison zmusić do należytej oceny położenia; nie trzeba się jednak uciekać do surowych środków względem urzędnika inteligentnego i gorliwego, bardzo użytecznego w swym departamencie i cennego zwłaszcza ze względu na wybory. Minister dodał, że nikt więcej odeń nie dba o utrzymanie dobrych stosunków między władzą administracyjną a sądownictwem.

Cesarz, jak zwykle w takich razach, milczał. Zdawało się, że jest pogrążony w marzeniach. Myślał zapewne o rzeczach odległych, bo nagle rzekł:

— Znałem ojca tego pana Péliſson. Nazywał się Anacharsis Péliſson. Był synem republikanina z r. 1792, sam też był republikaninem i za monarchii lipcowej pisywał w dziennikach opozycyjnych. Kiedy byłem więziony w twierdzy Ham, napisał do mnie przyjazny list. Nie możecie sobie wystawić, jaką przyjemność sprawia więźniowi choćby najmniejsza oznaka sympatii. Później kroczyliśmy odmiennymi drogami. Nie spotkaliśmy się więcej. Umarł już.

Cesarz zapalił papierosa i chwilę jeszcze dumał. Potem wstając rzekł:

— Panowie, nie zatrzymuję was dłużej.

Niezgrabnym ruchem chodzącego wielkoskrzydłego ptaka udał się do swoich prywatnych apartamentów. Ministrowie wyszli jeden po drugim przez długi rząd salonów, pod ponurym wzrokiem woźnych. Marszałek, minister wojny, podał ministrowi sprawiedliwości swą papierośnicę:

— Panie Delarbre, przejdziemy się trochę? Muszę rozprostować członki.

Szli ulicą Rivoli wzdłuż żelaznych sztachet okalających taras na ulicy Feuillants.

— Jeśli chodzi o cygara, lubię tylko te, które kosztują jednego *sou* i są mocne — rzekł marszałek. — Inne robią na mnie wrażenie konfitur. Pojmuje pan?...

Ocknąwszy się z zamyślenia, dodał:

— Ten Péliison, o którym pan mówił na Radzie, czy nie jest to człowiek niski, suchy, czarny, który przed pięciu laty był podprefektem w Saint-Dié?

Delarbre odrzekł, że istotnie Péliison był przedtem podprefektem w Wogezach.

— Toteż mówiłem sobie: znam Péliisona. I pamiętam bardzo dobrze panią Péliison. Siedziałem przy niej w czasie obiadu w Saint-Dié, dokąd udałem się na odsłonięcie jakiegoś pomnika. Pojmuje pan?

— Co to za kobieta? — zapytał Delarbre.



— Mała, czarna, szczupła. Pozornie chuda. Z rana w sukni pod szyję — nic szczególnego. Wieczorem, przy stole, w sukni wyciętej, z kwiatami przy gorsie — bardzo powabna.

— Ale moralnie, panie marszałku?

— Moralnie?... Nie jestem głupcem, nieprawdaż, lecz przyznaję się, że nigdy nie mogłem zrozumieć moralności kobiet. Mogę tylko powiedzieć, że pani Péliison uchodziła za osobę sentymentalną. Mówiono, że lubi przystojnych mężczyzn.

— Pozwoliła panu tego się domyślić, kochany panie marszałku?

— Ależ bynajmniej, bynajmniej. Powiedziała mi przy deserze: „Przepadam za krasomówstwem. Szlachetna przemowa mnie porywa”. Nie mogłem oświadczenia tego wziąć do siebie. Prawda, że tegoż rana miałem krótką przemowę, ale kazałem ją ułożyć memu adiutantowi, oficerowi artylerii. Był on, niestety, krótkowidzem; napisał tekst tak drobnym pismem, że nic po-

rzędnie odczytać nie mogłem... Pojmuje pan?

Doszli do placu Vendôme. Delarbre podał marszałkowi swą małą, chudą rękę i wśliznął się pod sklepioną bramę ministerstwa.

\*

W następnym tygodniu, ku końcowi posiedzenia, gdy ministrowie już zaczęli się rozchodzić, cesarz kładąc rękę na ramieniu ministra sprawiedliwości rzekł:

— Mój drogi panie Delarbre, dowiedziałem się przypadkowo — w moim położeniu o wszystkim tylko przypadkiem dowiedzieć się można — że wakuje posada podprokuratora sądu apelacyjnego w Nantes. Proszę pana, abyś na to miejsce pomyślał o młodym, bardzo zasługującym na to doktorze praw, który napisał doskonałą pracę o związkach zawodowych. Nazywa się Chanot. To siostrzeniec pani Ramel. Ma pana prosić o audiencję jesz-

cze dziś. Jeżeli mi pan przedłoży jego nominację, podpiszę ją z przyjemnością.

Cesarz z tkliwością wymówił nazwisko swej młecznej siostry, której nie przestał kochać, podczas gdy ona, republikanka z krwi i kości, odrzucała jego względy. Choć wdowa i uboga, nie przyjmowała nigdy pomocy, którą jej ofiarowywał, i na swym poddaszu nie przestawała się oburzać na zamach stanu. Ale po piętnastu latach, ulegając nareszcie wytrwałej życzliwości Napoleona III, przyszła na znak pojednania prosić cesarza o protekcję — nie dla siebie, lecz dla swego siostrzeńca, młodego Chanot, doktora praw, chluby wydziału prawnego, jak mówili jego profesorowie. Względy, o które pani Ramel prosiła swego brata młecznego, były zresztą zupełnie słuszne. Przyjęcie młodego Chanot do sądownictwa nie mogło uchodzić za łaskę niezasłużoną. Ale pani Ramel bardzo pragnęła, żeby jej siostrzeńca umieszczono w departamencie Dol-

nej Loary, gdzie miał rodziców. Okoliczność tę przypomniał sobie Napoleon i powiadomił o tym ministra sprawiedliwości.

— Byłoby bardzo pożądane, aby kandydat został mianowany w Nantes, skąd pochodzi i gdzie ma rodziców. Jest to okoliczność niezmiernie ważna dla młodego człowieka niezamożnego i lubiącego życie rodzinne.

— Chanot... pracowity, zasłużony i niezamożny... — szeptał minister.

Dodał, że postara się postąpić zgodnie z życzeniem Jego Cesarskiej Mości. Obawiał się tylko, czy prokurator generalny nie przedstawił mu już listy kandydatów na ten urząd, listy, na której, oczywiście, nie ma nazwiska Chanot. Tym generalnym prokuratorem był właśnie pan Méreaux, o którym była mowa na poprzednim posiedzeniu Rady. Ministrowi sprawiedliwości zależało na tym, aby względem niego postąpić jak najuprzejmiej. Ale postara się sprawą pokierować zgodnie z ży-

czeniu wyrażonym przez Jego Cesarską Mość.

Skłonił się i wyszedł. Był to jego dzień audiencji. Wszedłszy do gabinetu zapytał sekretarza Labarthe, czy dużo interesantów czeka. Czekają na posłuchanie dwóch prezesów sądu apelacyjnego, radca sądu kasacyjnego, kardynał arcybiskup Nikomedii, mnóstwo sędziów, adwokatów i księży. Minister zapytał, czy nie ma niejakiego Chanot. Labarthe przerzucił bilety wizytowe leżące na srebrnej tacy i wśród mnóstwa innych odnalazł wreszcie bilet pana Chanot, doktora praw, laureata paryskiego wydziału prawnego. Minister kazał go wezwać przed wszystkimi, polecił wszakże wprowadzić go bocznymi korytarzami, aby nie obrazić sędziów i kleru.

Minister zasiadł przy stole szepcząc sam do siebie: „Sentymentalna, powiedział marszałek, lubi przystojnych i wymownych mężczyzn...”

Woźny wprowadził do gabinetu młodzieńca wysokiego, zgarbionego, w okularach, z czaszką spiczastą. Cała jego niezgrabna postać tchnęła jednocześnie nieśmiałością samotnika i zuchwałością myśliciela.

Minister sprawiedliwości zmierzył go od stóp do głów, dostrzegł, że ma twarz dziecka i wątle ramiona. Skinieniem ręki wskazał mu krzesło. Petent przysiadł na brzeżku fotela, przymknął oczy i zaczął ze swadą:

— Ekscelencjo, przychodzę prosić, aby w swej wysokiej życzliwości Jego Ekscelencja raczyła ułatwić mi dostęp do sądownictwa. Może Jego Ekscelencja zechce uznać, że dobre stopnie, jakie uzyskałem na różnych egzaminach, i nagroda, którą otrzymałem za pracę o związkach zawodowych, są dostatecznymi do tego tytułami i że siostrzeniec pani Ramel, siostry mleczonej cesarza, nie jest zupełnie niegodny...

Minister sprawiedliwości przerwał ten potok wymowy ruchem swej małej, żółtej ręki.

— Bez wątpienia, panie Chanot, bez wątpienia, ma pan za sobą protekcję najwyższą, która nie mogłaby przypaść w udziale osobie niegodnej. Wiem, że cesarz interesuje się panem. Pragnie pan miejsca podprokuratora, panie Chanot?

— Jego Ekscelencja spełniłby me najgorętsze życzenia mianując mnie podprokuratorem w Nantes, gdzie mam rodzinę.

Delarbre utkwiał w Chanocie ołowiane źrenice i rzekł sucho:

— Nie ma wakansu w sądzie w Nantes.

— Niech Jego Ekscelencja raczy wybaczyć, myślałem...

Minister wstał.

— Nie ma wakansu.

I podczas gdy Chanot niezgrabnie kierował się ku drzwiom i wśród ukłonów szukał przejścia między białymi skrzydła-

mi drzwi, minister sprawiedliwości rzekł tonem przekonywającym, prawie poufnym:

— Wierz mi, panie Chanot, poradź swej ciotce, aby zaniechała dalszych starań i próśb, które mogłyby tylko szkodzić panu, zamiast mu przynieść korzyść. Wiedz pan, że cesarz interesuje się panem, i liczy pan na mnie.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, minister zawołał swego sekretarza.

— Labarthe — rzekł — przyprowadź swego kandydata.

\*

Tego wieczora o ósmej Labarthe wszedł do jednego z domów przy ulicy Jacob, wbiegł aż na poddasze i zawołał ze schodów:

— Gotów jesteś, Leopoldzie?

Otwarły się drzwi małego poddasza. Było tam na półce kilka dzieł prawniczych i parę podartych romansów; nad łóżkiem — czarna aksamitna maska z brodą z koronek, zaschły bukiet fiołków i para flo-



retów. Na ścianie wisiał kiepski drzeworyt, portret Mirabeau. Na środku pokoju wysoki brunet zawzięcie ćwiczył hantlami. Miał włosy kędzierzawe, czoło niskie, oczy piwne, nadzwyczaj miłe i wesołe, nos drgający jak nozdrza konia, a w ustach na pół otwartych wilcze zęby.

— Czekałem na ciebie — rzekł.

Labarthe naglił go, żeby się ubrał. Jeść mu się chciało. O którejże godzinie będą jedli kolację?

Lespardat położył hantle na podłodze, zdjął kaftan: odsłonił kark herkulesowy, łączący okrągłą głowę z szerokimi barami.

„Wygląda co najmniej na dwadzieścia sześć lat” — pomyślał Labarthe.

Gdy Lespardat wdział surdut, pod którego cienkim suknem uwydatniała się silna i gibka gra mięśni, Labarthe wypchnął go na schody.

— Za parę minut będziemy u Magny, mam powóz ministra.

W restauracji kazali sobie dać oddzielny gabinet, chcieli rozmawiać swobodnie.

Po rybie i delikatnym pieczystym Labarthe jasno sformułował kwestię:

— Słuchaj mnie uważnie, Lespardat. Jutro zobaczysz się z ministrem, nominację twoją prokurator generalny z Nantes przedłoży w czwartek, w poniedziałek podadzą ją cesarzowi do podpisu. Podsunie mu się ją znieńcka, w chwili gdy z Alfredem Maury zajęty będzie badaniem, gdzie leżała Alesia. Gdy cesarz studiuje topografię Galii za Cezara, podpisuje zwykle wszystko, co kto zechce. Ale pamiętaj, czego wymaga się od ciebie. Musisz podobać się pani prefektowej, musisz podobać się jej do końca. Tylko wtedy, rozumiesz, sądownictwo będzie pomszczone.

Lespardat pożerał i słuchał zadowolony, uśmiechnięty w swej naiwnej próżności.

— Ale — rzekł — cóż to za myśl powstała w głowie Delarbre'a? Myślałem, że to człowiek surowych obyczajów.

Labarthe wstrzymał go podnosząc nóż.

— Przede wszystkim, mój kochany, proszę cię, nie kompromituj ministra, którego nie należy mieszać w to, o czym tu mówimy. Ale skoro go wspomniałeś, powiem ci, że jego surowość jest surowością jansenisty. Jest on w trzecim pokoleniu siostrzeńcem diakona Pâris<sup>79</sup>. Jego dziadkiem po matce był ów pan Carré de Montgeron, który przed parlamentem bronił epileptyków od Świętego Medarda. Otóż janseniści chętnie stosują swą surowość do spraw alkowy, natomiast są wyrozumiali dla szelmostw dyplomatyczno-kanonicznych. To wynika z ich doskonałej czystości. Poza tym czytają Biblię. Stary Testa-

---

<sup>79</sup>*François de Pâris* (1690–1727) — diakon, zwolennik jansenizmu, słynny ze swojej gorliwości religijnej; po śmierci został uznany za świętego przez mieszkańców Paryża, na jego grobie tłumy wpadały w ekstazę, widziały cuda i prorocтва. Autorytety kościelne nie zaakceptowały tego kultu, a w 1732 r. władze świeckie zamknęły cmentarz dla odwiedzających. [przypis edytorski]

ment jest pełen przygód w rodzaju twojej, Lespardat.

Lespardat nie słuchał. Pławił się w naiwnej radości. Myśląc o rodzicach, niezamożnych sklepikarzach w Agen, mówił sobie: „Co powie ojciec? Co powie matka?” — i początek swych powodzeń jednoczył ze sławą Mirabeau, swego ulubionego bohatera. Od ławy szkolnej marzył o karierze zdobywcy kobiet i wielkiego mówcy.

Labarthe jednak dalej nakłaniał przyjaciela do uwagi.

— Powinieneś wiedzieć, panie podprokuratorze, że możesz być usunięty. Jeśli w normalnym przeciągu czasu nie potrafisz spodobać się pani Pélisson, ale to spodobać się zupełnie, popadasz w niełaskę.

— Ale — zapytał naiwnie Lespardat — ile czasu dajesz mi na to, aby spodobać się pani Pélisson ostatecznie?

— Aż do wakacji — odrzekł poważnie sekretarz ministra. — Dajemy ci prócz tego rozmaite ułatwienia, misje tajemne, urlopy etc. Wszystko ci dajemy, prócz pieniędzy. Jesteśmy przede wszystkim rządem uczciwym. Nie wierzą temu, ale przekonają się później, że nie byliśmy szachrajami. Taki na przykład Delarbre ma ręce czyste. Zresztą fundusze dyskrecyjne są w ministerstwie spraw wewnętrznych, po stronie męża. Aby uwieść panią Péliison, musisz liczyć na twą dzielną miłość i na twoje dwa tysiące czterysta franków pensji.

— Czy ładna jest moja prefektowa? — zapytał Lespardat.

Pytanie to zadał niedbale, nie przykładając do niego wielkiej wagi, spokojny jak człowiek bardzo młody, dla którego wszystkie kobiety są piękne. Zamiast odpowiedzi Labarthe rzucił na stół fotografię damy chudej, w okrągłym kapelu-

szu, z włosami na dwie strony rozczesany-  
mi i spadającymi na śniadą szyję.

— Oto — rzekł — fotografia pani  
Péliston. Ministerstwo zażądało jej w pre-  
fekturze policji, która wysłała ją przyło-  
żywszy, jak widzisz, swą pieczęć.

Lespardat żwawo pochwycił fotogra-  
fię w swe grube palce.

— Jest piękna — rzekł.

— Czy masz jakiś plan? — zapytał  
Labarthe. — Masz jakiś wyrozumowany  
system uwodzenia?

— Nie — odrzekł prosto Lespardat.

Labarthe jako intelektualista zauwa-  
żył, że trzeba by jednak przewidzieć, kom-  
binować, nie dać zaskoczyć się zniecka  
przez okoliczności.

— Zapewne będziesz zapraszany na ba-  
le prefektury i będziesz tańczył z panią Pélis-  
son. Tańczyć umiesz? Pokaż, jak tańczysz.

Lespardat wstał i trzymając swe krze-  
sło w objęciach zatańczył walca z miną miz-  
drzącego się niedźwiedzia.

Labarthe poważnie przypatrywał mu się przez binokle.

— Ciężki jesteś, niezręczny, nie masz tego nieodpartego subtelnego uroku, który...

— Mirabeau także źle tańczył — rzekł Lespardat.

— Zresztą — rzekł Labarthe — może przyczyna tkwi w tym, że krzesło nie budzi w tobie zapału.

Gdy znaleźli się obaj na wilgotnym trotuarze wąskiej uliczki Contrescarpe, spotkali dziewczyny uliczne snujące się od placu Buci do winiarni na ulicy Dauphine. Jedna z nich, ciężka, gruba, w smutnej czarnej sukni, zmęczonym krokiem przechodziła właśnie koło latarni. Lespardat chwycił ją nagle w pól, uniósł i zanim się spostrzegła, na śliskim bruku ulicy wykręcił z nią kilka obrotów walca. Oprzytomniawszy ze zdziwienia, dziewczyna najordynarniejszymi wymysłami obrzuciła tancerza, który unosił ją dalej w niepohamo-

wanym wirze. Sam był orkiestrą; przyśpiewując ciepłym i pełnym jak wojskowa orkiestra barytonem, wirował z dziewczką tak wściekle, że obryzgani wodą i błotem ulicznym uderzali o pudła snujących się drożek i czuli oddech koni na swych karkach. Potańczywszy czas jakiś, bez złości już, opuściwszy głowę na pierś studenta, szepnęła mu do ucha:

— Jesteś jednak ładny chłopak, wiesz? Muszą być szczęśliwe z tobą dziewczyny z Bullier<sup>80</sup>, he?

— Dość, dość, mój kochany — zawołał Labarthe. — Nie dostań się teraz do kozy. Chodź, pomścisz sądownictwo!

\*

Cztery miesiące później w piękny, pogodny dzień wrześniowy pan minister sprawiedliwości i wyznań przechodząc ze swym sekretarzem pod arkadami ulicy Rivoli ujrzał pana Lespardat, podprokuratora są-

---

<sup>80</sup>*Bal Bullier* — sala taneczna w Paryżu, funkcjonująca od połowy XIX w. do 1940 r. [przypis edytorski]



du apelacyjnego w Nantes; młody ten sędziownik właśnie śpiesznie wchodził do Luwru.

— Labarthe — zapytał minister — czy wiedziałeś, że twój protegowany jest w Paryżu? Czyż go nic nie zatrzymuje w Nantes? Zdaje mi się, że już od dłuższego czasu nie donosisz mi o nim nic poufnego. Pierwsze jego kroki interesowały mnie, ale nie wiem jeszcze, czy odpowiada on w zupełności pochlebnej opinii, jaką o nim powzięłaś.

Labarthe wziął podprokuratora w obronę; przypomniał ministrowi, że Lespardat jest na urlopie, że w Nantes umiał szybko pozyskać zaufanie swych przełożonych w hierarchii sędowniczej, że jednocześnie zjednał sobie życzliwość i względy prefekta.

— Pan Péliison — dodał — nie może się już obejść bez niego, bo Lespardat organizuje koncerty w prefekturze.

Tak rozmawiając minister ze swym sekretarzem szli dalej ku ulicy de la Paix wzdłuż arkad, zatrzymując się tu i ówdzie przed wystawami sklepów z fotografiami.

— Za dużo nagości wystawiają teraz — rzekł minister. — Należałoby ukrócić trochę tę swobodę wystaw sklepowych. Cudzoziemcy sądzą nas z pozoru, a takie obrazki szkodzić mogą reputacji kraju i rządu.

Nagle, na rogu ulicy de l'Echelle, Labarthe uprzedził ministra, by przyjrzał się gęsto zawoalowanej damie, która szybko szła naprzeciw nich. Delarbre przypatrując się zauważył, że jest pospolita, za drobna, nieelegancka.

— Ma brzydkie obuwie — rzekł — to ktoś z prowincji.

Gdy ich minęła, Labarthe rzekł:

— Wasza Ekscelencja się nie myli. To pani Péliison.

Na to nazwisko zaciekawiony minister szybko zawrócił. Przez niejasne po-

czucie swej godności nie śmiał iść za nią. Ale ciekawość przebijała w jego oczach.

Labarthe zachęcał go:

— Założę się, Ekscelencjo, że niedaleko idzie.

Obaj przyśpieszyli kroku i widzieli, jak pani Péliison szła wzdłuż arkad, potem minęła plac Palais-Royal, wreszcie rzucając na prawo i lewo niespokojne spojrzenia zniknęła szybko w bramie Luwru.

Minister zaczął się śmiać cichym śmiechem. Jego małe, szare źrenice zapłonęły. I przez ściśnięte zęby wyrzekł słowa, których sekretarz raczej domyślił się, niż usłyszał:

— Sądownictwo jest pomszczone!

\*

Tego samego dnia cesarz w swej rezydencji w Fontainebleau palił papierosy w bibliotece pałacowej. Stał nieruchomo z miną melancholijnego ptaka morskiego, wsparty o szafę, w której przechowy-

wano misiurkę<sup>81</sup> Monaldeschiego<sup>82</sup>. Dwaj jego powiernicy, Viollet-le-Duc<sup>83</sup> i Mérimée<sup>84</sup>, byli z nim razem.

Napoleon zapytał:

— Panie Mérimée, dlaczego podobają się panu dzieła Brantôme'a<sup>85</sup>?

— Wasza Cesarska Mość — odrzekł Mérimée — odnajduję w nich rasę francuską z jej zaletami i wadami. Najgorsza jest ona wtedy, gdy nie ma wodza, który by jej wskazał cel szlachetny.

— Doprawdy — rzekł cesarz — widać to u Brantôme'a?

— Widać tam również — dodał Mérimée — wpływ kobiet na sprawy państwowe.

---

<sup>81</sup>*misiurka* — hełm z osłoną karku, wykonaną z plecionki kolczej (z kółek metalowych). [przypis edytorski]

<sup>82</sup>*Monaldeschi* — ród możnowładców z Orvieto w środkowej części Włoch, wpływowi przeciwnicy polityczni papieżstwa w XIII–XV w. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>*Eugène Viollet-le-Duc* (a. *Viollet-Leduc*; 1814–1879) — fr. architekt, archeolog i pisarz; jego ojcem był pisarz Emmanuel-Louis-Nicolas Viollet-le-Duc (1781–1857). [przypis edytorski]

<sup>84</sup>*Prosper Mérimée* (1803–1870) — fr. pisarz, historyk i archeolog. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>*Brantôme*, właśc. *Pierre de Bourdeille* (1540–1614) — fr. pisarz, autor m.in. *Żywotów pań swawolnych*. [przypis edytorski]

W tej chwili do sali weszła pani Ramel. Napoleon dał rozkaz, aby wpuszczono ją natychmiast, gdy tylko przyjdzie. Ujrzawszy swą siostrę mleczną okazał tyle radości, ile tylko wyrazić mogło jego oblicze smutne i milczące.

— Kochana pani Ramel, jak powodzi się siostrzeńcowi pani w Nantes? Czy zadowolony?

— Ależ, Wasza Cesarska Mość — odpowiedziała pani Ramel — wcale go tam nie posłano. Kto inny został mianowany na to miejsce.

— To dziwne — szepnął monarcha, zamyślony.

Potem kładąc rękę na ramieniu Prospera Mérimée rzekł:

— Kochany panie Mérimée, ludzie myślą, że kieruję losami Francji, Europy, świata. A ja nie mogę kazać zamianować podprokuratora szóstej rangi z pensją dwóch tysięcy czterystu franków rocznie!

## XV

Skończywszy czytanie pan Bergeret zwinął rękopis i włożył go do kieszeni. Panowie Mazure, Paillot i de Terremondre po trzykroć milcząco pochylili głowy. Po czym pan de Terremondre kładąc rękę na rękawie pana Bergeret rzekł:

— Kochany panie, to, co pan nam przeczytał, jest doprawdy...

Przy tym słowie wpadł do sklepu Leon i zawołał z miną uroczystą i wzruszoną:

— Znaleziono panią Houssieu uduszoną w łóżku.

— To szczególne! — rzekł pan de Terremondre.

— Sądząc ze stanu zwłok — dodał Leon — przypuszczają, że zabito ją przed trzema dniami.

— Więc — zauważył pan Mazure, archiwista — zbrodni musiano dokonać w sobotę.

Księgarz Paillot, dotychczas milczący, z otwartymi ustami, pełen respektu wobec śmierci, coś usilnie sobie przypominał.

— W sobotę około piątej po południu doskonale słyszałem przytłumione krzyki i głuchy łoskot, jakby padającego ciała. Powiedziałem nawet tym panom — tu zwrócił się ku panom Bergeret i de Terremondre — że dzieje się coś niezwykłego w domu królowej Małgorzaty.

Nikt nie potwierdził wyższości, jaką przypisywał sobie księgarz podkreślając, że dzięki ostrości swych zmysłów i subtelności sądu miał podejrzenie zbrodni już w chwili, gdy się spełniała.

Po chwili milczenia pełnego poszanowania Paillot dodał:

— W nocy z soboty na niedzielę powiedziałem do żony: „Nic już nie słyszać w domu królowej Małgorzaty”.

Pan Mazure zapytał, w jakim wieku była ofiara. Paillot odrzekł, że pani Houssieu miała około osiemdziesięciu lat, była wdową od lat pięćdziesięciu, posiadała grunty, walory, znaczną sumę gotówki, ale była skąpą dziwaczką, nie trzymała służby, gotowała sobie strawę na ko-

minku w swoim pokoju i żyła wśród szczątków mebli i sprzętów pokrytych ćwierćwiekowym kurzem. Istotnie, więcej niż dwadzieścia pięć lat nie zamiatano w domu królowej Małgorzaty. Pani Houssieu rzadko wychodziła, kupowała żywność od razu na cały tydzień, nikt nie przychodził do niej oprócz chłopca od rzeźnika i dwóch, trzech urwisów, którzy załatwiali jej posyłki.

— Sądzi się zatem, że zbrodnię spełniono w sobotę po południu? — zapytał pan de Terremondre.

— Za tym przemawia stan zwłok — odrzekł Leon — straszny podobno widok.

— W sobotę po południu — rzekł pan de Terremondre — byliśmy tu ścianą tylko przedzieleni od tej okropnej sceny i rozmawialiśmy o rzeczach obojętnych.

Nastała znów dłuższa cisza. Potem zapytał ktoś, czy mordercę schwytano lub czy przynajmniej wiadomo, kto nim jest. Na to pytanie, mimo swej gorliwości, Leon odpowiedzieć nie mógł.



Mrok coraz gęstszy, jakby żałobny, ogarniał sklep księgarza. To okna zasłaniał tłum ciekawych, od których czernił się plac przed domem zbrodni.

— Czekają pewnie na komisarza policji i na sędziego śledczego — rzekł archiwista Mazure.

Paillot, człowiek wielce przezorny, w obawie, żeby tłumy ciekawych nie wygniotły szyb wystawowych, kazał Leonowi zamknąć okiennice.

— Tylko okno od ulicy des Tintelleries zostaw odsłonięte.

Ta przezorność wydała się nacechowana pewną subtelnością moralną. Panowie z „kąta ksiąg” pochwalili ją. Ale że ulica des Tintelleries była wąska i na szybach księgarni naklejone były różne rysunki i wzory, sklep tonął w prawie zupełnej ciemności.

Szmer tłumu, którego dotąd nie słyszeli, rozległ się w tym cieniu; poważny, głuchy, prawie straszny, wyrażający zgodność uczuć moralnych.

Wzruszony pan de Terremondre powtórnie dał wyraz prześladowającej go myśli mówiąc:  
— To dziwne. Podczas gdy tak blisko nas spełniała się zbrodnia, rozmawialiśmy spokojnie o rzeczach obojętnych.

Pan Bergeret przechylił głowę na lewe ramię, zapatrzył się w dal i przemówił w te słowa:

— Kochany pan pozwoli sobie powiedzieć, że nie ma w tym nic dziwnego. Gdy spełnia się zbrodnia, rozmowy nie milkną same przez się dokoła ofiary w promieniu kilku mil lub choćby tylko kilku kroków. Czyn wywołany nawet najbardziej nikczemną myślą sprowadza tylko swe naturalne skutki.

Pan de Terremondre nie odrzekł nic na tę przemowę, a reszta słuchaczy odwróciła się od pana Bergeret z uczuciem niejasnego niepokoju i potępienia.

Profesor nadzwyczajny na wydziale humanistycznym ciągnął jednak dalej:

— I dlaczegóż morderstwo, czyn tak naturalny i pospolity, miałoby wywołać skutki niezwykle i dziwne? Zabijać jest to dla zwie-

rząt, a szczególnie dla człowieka rzecz zwykła. Morderstwo długo uważano w społecznościach ludzkich za przejaw siły i dzielności i dotąd jeszcze istnieją w naszych obyczajach i instytucjach ślady tego starożytnego poglądu.

— Jakież to ślady? — zapytał pan de Terremondre.

— Śladem takim — odrzekł pan Bergeret — jest cześć dla wojskowych.

— To nie to samo — rzekł pan de Terremondre.

— Bez wątpienia. Lecz wszystkie czyny ludzkie mają za bodziec głód lub miłość. Głód nauczył barbarzyńców mordować, pchał ich do wojen, do najazdów. Ludy cywilizowane są jak psy myśliwskie. Spaczony instynkt pobudza je do niszczenia bez powodu i nie dla korzyści. Bezcelowość wojen nowożytnych nazywa się dziś interesem dynastycznym, interesem narodowym, równowagą europejską, honorem. Ten ostatni powód jest może najdziwniejszy, bo nie ma na świecie narodu, który by się nie skalał wszystkimi zbrodniami, nie okrył wszelką hańbą. Nie

ma ani jednego, który by nie doświadczył wszystkich poniżeń, jakie los może wymierzyć nędznemu zbiorowisku ludzkiemu. Jeżeli wszakże narody mają jeszcze jakiś honor, znalazły zaiste dziwny sposób podtrzymywania go, jeśli w tym celu prowadzą wojnę, czyli popełniają wszystkie zbrodnie, którymi zniesławia się jednostka: podpalanie, grabienie, gwałt, morderstwo. Co zaś do czynów, których bodźcem jest miłość, są one zwykle równie gwałtowne, równie dzikie, równie okrutne jak czyny wywołane głodem, należy więc dojść do wniosku, że człowiek jest zwierzęciem zło czyniącym. Ale trzeba jeszcze odkryć, skąd się wie o tym i dlaczego napełnia to bólem i oburzeniem. Gdyby istniało tylko zło, wcale by go nie widziano, tak jak noc nie miałaby nazwy, gdyby dzień nie wstawał.

Tymczasem pan de Terremondre, wyrzucając sobie swą swobodę i lekką rozmowę w minucie, w której popełniono zbrodnię, i to o dwa kroki od ofiary, uważał, że spłacił już tym samym dług delikatności i godności ludzkiej. Na tragiczny koniec wdowy Houssieu począł zapa-

trywać się jako na fakt, któremu można spojrzeć w oczy i wysnuwać zeń wnioski. Pomyślał, że nic mu już nie stoi na przeszkodzie, by nabyć dom królowej Małgorzaty, przenieść doń zbiory mebli, porcelany, makat i urządzić w ten sposób rodzaj muzeum miejskiego. Liczył na to, że za swe starania i hojny dar otrzyma wraz z pochwałami współobywateli krzyż legii honorowej, a może tytuł członka-korespondenta Akademii. W Akademii Nauk i Literatury miał kilku przyjaciół, tak jak on starych kawalerów, w Paryżu czasem jadali razem śniadania w restauracjach, opowiadając sobie anegdoty o kobietach. A w tym okręgu nie było żadnego korespondenta Akademii.

Toteż przyszło mu zaraz na myśl obniżyć wartość nieruchomości, którą zamierzał kupić.

— Dom królowej Małgorzaty ledwie się trzyma. Belki z sufitów jak krochmal osypywały się na biedną starowinę. Trzeba by wydać mnóstwo pieniędzy, żeby go do porządku doprowadzić.

— Najlepiej byłoby — rzekł archiwista Mazure — zburzyć go do szczętu, a fasadę przenieść na podwórze muzeum. Istotnie, szkoda by było dać tarczę herbową Filipa Tricouillard na pastwę murarzom dokonującym rozbiórki.

Usłyszano wielki ruch tłumów ludzkich na placu. Była to publiczność, którą rozpychała policja, by sądowi ułatwić dostęp do domu zbrodni.

Paillot wysunął nos przez odemknięte drzwi.

— Idzie pan Roquincourt, sędzia śledczy, ze swym sekretarzem, panem Surcouf. Właśnie weszli do domu.

Akademicy z „kąta ksiąg” jeden za drugim wysunęli się za panem Paillot na chodnik ulicy des Tintelleries, skąd obserwowali ruch tłumów na placu Św. Eksuperego.

Paillot rozpoznał w cizbie byłego prezesa sądu apelacyjnego, pana Cassignol. Staruszek odbywał codzienną przechadzkę. Ruchliwy tłum, który zaskoczył go na jego zwykłej drodze, niepokoił go i utrudniał mu dreptanie drobnym kroczkiem, zwłaszcza że wzrok miał osłabiony.

Szedł prosto jeszcze i pewnie, wysoko unosząc swą chudą, siwą głowę.

Paillot spostrzegłszy go podbiegł i, zdjawszy z głowy aksamitną czapkę, podał mu ramię prosząc, by wszedł odpocząć do księgarni.

— Co za nieostrożność, panie Cassignol, wchodzić w taki tłok! Można by sądzić, że to bunt uliczny.

Słowo „bunt” wywołało w pamięci staruszka wizję rewolucyjnego stulecia, którego trzy czwarte widział. Zaczynał osiemdziesiąty siódmy rok życia i już dwadzieścia pięć lat był na emeryturze.

Prowadzony przez księgarza Paillot, przestąpił próg sklepu i usiadł na jednym z wyplatanych krzesel w gronie pełnych szacunku akademików. Trzciniowa laska o srebrnej gałce, trzymana między chudymi kolanami, drżała mu pod ręką. Kręgosłup jego był sztywniejszy niż poręcz krzesła. Wyciągnął rogowe okulary, przetaił je i długo nie mógł ich nałożyć. Stracił już pamięć widzianych twarzy i choć był przygłuchy, poznawał ludzi tylko po głosie.

W kilku słowach zapytał o powód zbiegowiska na placu, lecz niewiele zwrócił uwagi na odpowiedź pana de Terremondre. Jego mózg, zdrowy i zasuszony, jakby zakonserwowany w mirrze, nie odbierał już wrażeń nowych, podczas gdy myśli i uczucia dawne były w nim głęboko wyryte.

Panowie de Terremondre, Mazure i Bergeret otaczali go stojąc. Nie znali oni jego życiorysu zagubionego w niepamiętnej przeszłości. Wiedzieli tylko, że był uczniem, przyjacielem, towarzyszem Lacordaire'a<sup>86</sup> i Montalemberta<sup>87</sup>, że opierał się Cesarstwu w ścisłych granicach swych praw i swego urzędu, że znosił niegdyś obelgi Louisa Veuillot<sup>88</sup> i że co niedziela chodził na mszę z grubą książką pod pachą. Widzieli go, tak jak i wszyscy w mieście, w aureoli antycznej uczciwości i szacunku za to, że przez całe życie popierał sprawę wolno-

---

<sup>86</sup>*Henri-Dominique Lacordaire* (1802–1861) — dominikanin, fr. publicysta i polityk, zwolennik katolicyzmu liberalnego. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>*Charles Montalembert* (1810–1870) — dziennikarz, historyk i polityk fr, zwolennik katolicyzmu liberalnego. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>*Louis Veuillot* (1813–1883) — fr. dziennikarz i literat, publicysta katolicki. [przypis edytorski]



ści. Nikt z tych panów nie umiałby wszakże dokładnie powiedzieć, jakiego pokroju liberałem był pan Cassagnol, gdyż żaden z nich nie czytał owego zdania z broszury przez niego wydanej w roku 1852 o sprawach Rzymu: „Nie ma wolności poza wiarą w Chrystusa i w moralną godność człowieka”. Mówiono o nim, że mimo wieku zachował żywość umysłu, że sam prowadzi swą korespondencję, że pracuje nad dziełem o stosunku Kościoła do Państwa. Umiał mówić jeszcze żywo i dużo.

Usłyszawszy w rozmowie, której przebieg niedokładnie śledził, nazwisko pana Garrand, prokuratora, zaczął mówić patrząc na srebrną gałkę swej laski, jako na jedyne istniejącego jeszcze świadka dawnych czasów:

— W 1838 roku znałem w Lyonie prokuratora królewskiego, który miał bardzo wysokie pojęcie o swoim urzędzie. Utrzymywał, że właściwością sądownictwa jest nieomylność i że prokurator królewski tak samo jak król mylić się nie może. Nazywał się de Clavel i pozostawił cenne prace o śledztwie kryminalnym.

Starzec zamilkł, z wspomnieniami swymi samotny wśród ludzi.

Pan Paillot z progu sklepu patrzył na ulicę.

— Pan Roquincourt wychodzi z domu.

Pan Cassagnol, myśląc o rzeczach odległych, mówił dalej:

— Rozpocząłem służbę w sądownictwie przy sprawach karnych. Byłem pod rozkazami pana de Clavel, który powtarzał mi zawsze: „Przejmij się pan dobrze tą maksymą: Dobro oskarżonego jest święte, dobro społeczeństwa jest po dwakroć święte, dobro sprawiedliwości jest święte po trzykroć”. W owych czasach zasady metafizyczne miały więcej władzy nad umysłami niż dzisiaj.

— To prawda — rzekł pan de Terremondre.

— Zabierają nocny stoliczek, porcelanę i bieleznicę w małym wózku ręcznym — rzekł Paillot — to zapewne dowody rzeczowe.

Pan de Terremondre nie mógł już wytrzymać i wyjrzał, aby przypatrzeć się ładowaniu

tych sprzętów na wózek. Nagle zmarszczywszy brwi zawołał:

— Do licha!

I na pytające spojrzenia pana Paillot dodał:

— Nic, nic!

Jako subtelny znawca, zauważył zaraz dzban do wody z cennej porcelany królewskiej i obiecywał sobie, że po wyroku pomówi o tym dzbanie z pisarzem sądowym panem Surcouf, który umiał być uczynny. Pan de Terremondre używał podstępów dla uzupełniania swych zbiorów. „Robi się, jak można — tłumaczył się sam przed sobą. — Czasy są ciężkie”.

— Zostałem mianowany podprokuratorem mając lat dwadzieścia dwa — mówił pan Cassinol. — Wtedy moje długie, jasne kędziory i twarz rumiana bez zarostu nadawały mi wygląd młodzieńczy, co mnie niepomiernie martwiło. Żeby wzbudzić szacunek, musiałem przybierać minę poważną, okazywać pewną surowość. Urząd swój sprawowałem z gorliwością, która została wynagrodzona. Mając lat trzy-

dzieści trzy zostałem prokuratorem generalnym w Puy.

— To malownicze miasto — rzekł pan Mazure.

— Wykonując swoje nowe obowiązki miałem wnosić oskarżenie w sprawie mało interesującej, jeśli zważyć tylko rodzaj zbrodni i osobę oskarżonego, sprawa jednak była ważna, gdyż szło o głowę ludzką. Pewien dość zamożny wieśniak został zamordowany w łóżku. Pomijam okoliczności zbrodni, chociaż są dokładnie wyryte w mej pamięci, bo były one najzupełniej banalne. Wystarczy, gdy powiem, że od samego początku podejrzenie zwracało się na parobka zabitej ofiary. Człowiek ten miał około trzydziestu lat. Nazywał się Poudrailles, Hiacynt Poudrailles. Nazajutrz po zbrodni nagle znikł. Schwytano go w szynku, gdzie wydawał dużo pieniędzy. Mocne poszlaki wskazywały na niego jako na domniemanego mordercę. Miał przy sobie sześćdziesiąt franków, z których posiadania wytłumaczyć się nie mógł; ubranie jego było splamione krwią. Dwóch świadków wi-

działo go kręcącego się koło chaty w noc zbrodni. Co prawda, inny świadek dostarczył mu alibi, ale był to świadek bardzo podejrzanej konduity.

Śledztwo było doskonale prowadzone przez sędziego wypróbowanych zdolności i zręczności. Akt oskarżenia był sporządzony nader kunsztownie. Ale Poudrailles do zbrodni się nie przyznawał. W sądzie przez cały czas rozprawy bronił się ciągłym zaprzeczaniem i nie przyznawał się do niczego. Przygotowałem oskarżenie z całą starannością, do jakiej byłem zdolny, z całą sumiennością człowieka młodego, pragnącego wykazać, że dorósł do swego wysokiego powołania. Wypowiedziałem mowę z zapałem właściwym memu wiekowi. Alibi dostarczone przez niejaką Cortot, która utrzymywała, że w noc zbrodni Poudrailles był u niej w Puy, bardzo mi psuło sprawę. Usiłowałem je zbić. Groziłem tej kobiecie karami wymierzonymi za fałszywe zeznania. Jeden z moich argumentów szczególnie uderzył przysięgłych. Przypomnia-

łem im, że wedle opowiadań sąsiadów psy nie czekały na zabójcę. Znały go zatem. Nie mógł to więc być człowiek obcy. Był to ów parobek Poudrailles. W końcu zażądałem jego głowy. I wygrałem. Poudrailles został skazany na śmierć większością głosów. Po odczytaniu wyroku zawołał silnym głosem: „Jestem niewinny!” Opanowała mnie wtedy straszna wątpliwość. Pomyślałem, że może ostatecznie mówi prawdę i że tej pewności, którą wszczepiłem w umysły przysięgłych, ja sam nie mam. Koledzy moi, zwierzchnicy, przełożeni, nawet adwokaci oskarżonego przyszli winszować mi powodzenia, przyklasnąć mej młodzieńczej i groźnej wymowie. Pochwały te były mi miłe. Znana jest wam, panowie, subtelna myśl Vauvenargues’a o pierwszych promieniach sławy. Jednakże głos Poudrailles’a, głos: „jestem niewinny”, brzmiał mi w uszach. Pozostały we mnie wątpliwości i musiałem powtarzać sam przed sobą własną mowę oskarżycielską.

Odwołanie Poudrailles’a odrzucono, lecz wątpliwości moje wzrastały. W owych czasach pra-

wo łaski nie powstrzymywało zbyt często wykonania wyroków śmierci. Poudrailles daremnie błagał o złagodzenie kary. W dzień egzekucji, gdy już rusztowanie wzniesiono w Martouret, udałem się rankiem do więzienia, kazałem otworzyć sobie celę skazańca, zostałem z nim sam na sam. „Nic — rzekłem — nie może zmienić twego losu. Jeśli istnieje jeszcze w tobie jakieś lepsze uczucie, dla duszy twojej i dla spokoju mego sumienia, Poudrailles, powiedz mi, czy winien jesteś zbrodni, za którą cię skazano?”

Patrzył na mnie chwil kilka nie odpowiadając. Widzę jeszcze jego twarz płaską i szerokie, milczące usta. Przeżyłem chwilę śmiertelnej obawy. Wreszcie pochylił głowę i szepnął cichym, lecz wyraźnym głosem: „Teraz, kiedy się już wypierać nie potrzebuję, mogę powiedzieć, że to ja zrobiłem. I przyszło mi to trudniej, niż myślicie, bo stary był mocny w ręku i bardzo zły”. Słuchając tego wyznania odczynałem z ulgą.

Pan Cassignol umilkł. Chwilę patrzył na gałkę swej laski wyblakłymi, jakby martwymi źrenicami, potem rzekł:

— W ciągu całej mej długiej sędowniczej kariery nie natrafiłem nigdy na omyłkę sądową.

— Takie zapewnienie uspokaja — rzekł pan de Terremondre.

— Mnie przejmuje ono zimnym przerażeniem — szepnął pan Bergeret.

## XVI

Jak zwykle tak i w tym roku pan prefekt Worms-Clavelin był zaproszony na polowanie do Valcombe, do pana radcy Dellion, właściciela pieców hutniczych i najpiękniejszych rewirów myśliwskich w okolicy. Pan prefekt lubił gościć w Valcombe; pochlebiało mu, że spotykał tam ludzi dobrze urodzonych, szczególnie rodziny Gromance i Terremondre, i z prawdziwą rozkoszą strzelał bażanty. Toteż widziano go, jak po wyrębach leśnych obnosił swą wylewną radość. Strzelał rozstawiając nogi, unosząc ramio-



na, pochylając głowę i mrużąc oczy na sposób dzierżawców polowania w Bois-Colombes, bukmacherów i sklepikarzy, pierwszych swych towarzyszy łowieckich. Hałaśliwie, z niedyskretnym zadowoleniem mówił o sztukach, które zabił; niekiedy przyznawał się i do tych, które u nóg jego padały z rąk sąsiadów, czym wywoływał gniewy i kwasy, łagodzone jego jednostajnie dobrym humorem i zupełnym niezrozumieniem, że mógł kogoś rozgniewać. W całym swym zachowaniu w miły sposób łączył powagę urzędnika z poufałością wesołego kompana. Nazywał ludzi ich tytułami jak przyjacielskimi przyzwiskami, a ponieważ wiedział równie dobrze jak cały departament, że panu de Gromance żona niejednokrotnie przypinała rogi, przy każdym spotkaniu, bez żadnej przyczyny, przyjacielsko klepał po ramieniu tego ceremonialnego człowieka. Był przekonany, że jest lubiany w towarzystwie w Valcombe, i zupełnie się mylił. Jeśli tylko z arogancką miną nie ciskał w twarz nikomu kulek śrutu lub im-

pertynencji, uważano, że jest to zręczny i w głębi rzeczy taktowny człowiek.

W tym roku powodziło mu się w świecie kapitalistycznym lepiej niż kiedykolwiek. Wiedziano, że był przeciwny podatkowi dochodowemu, o którym kiedyś szczęśliwie się wyraził, że jest to środek godny inkwizycji. Spotykały go w Valcombe powinszowania wdzięcznego towarzystwa, a pani Dellion, łagodząc dlań wyraz swych stalowobłękitnych oczu i czoła uwiecznionego splotami siwiejących włosów, uśmiechała się przyjaźnie.

Wychodząc ze swego pokoju, gdzie ubrał się był do obiadu, pan Worms-Clavelin w ciemnym korytarzu ujrzał wężową postać pani de Gromance, przesuwaną się z szelestem sukni i klejnotów. Jej obnażone ramiona w zmierzchu wydawały się jeszcze bardziej nagie. Poskoczył, by ją dogonić, ujął wpół i pocałował w kark. Gdy wydzierła się z jego objęć, szepnął tonem wymówki:

— Dlaczego nie ja także, hrabino?

Dostał za to policzek, co go bardzo zdziwiło.

Na dole w przedpokoju spotkał Noemi, która, bardzo godna w swej czarnej atlasowej sukni, krytej czarnym tiulem, naciągała wolno długie rękawiczki. Przyjaźnie mrugnął ku niej. Był dobrym mężem i miał dla żony dużo szacunku i nieco podziwu.

Zasługiwała na to. Musiała istotnie być wyjątkowo zręczna, żeby móc podobać się antysemitickiemu towarzystwu w Valcombe. A nie była w nim źle widziana. Umiała nawet pozyskać sobie pewne sympatie. A co najwięcej podziwiać należy, w tym towarzystwie nie wydawała się intruzem.

W tym wielkim, zimnym salonie prowincjonalnym przybierała twarz zdziwioną i miłą spokojną, które wprawdzie pozwalały wątpić o jej rozumie, ale przedstawiały ją jako kobietę poczciwą, łagodną i dobrą. Wobec pani Dellion i innych dam podziwiała, potakiwała i milczała. Jeśli który z panów, więcej obyty i dowcipniejszy, zbliżył się do niej, by poroz-

mawiać, stawała się jeszcze cichszą i skromniejszą, potem nieśmiało, ze spuszczonej oczyma, nagle rzucała mu jakieś zdanie swobodne i lekkie, które mu pochlebiało i które uważał za łaskę szczególną, jako że wyszło z ust tak przezornych i duszy tak skrytej. Pozyskiwała serca starych lowelasów. Bez gestu, bez ruchu, bez pomocy wachlarza, niewidocznym zmrużeniem powiek, szybkim ruchem warg umiała podać im myśli dla nich pochlebne. Uwiodła nawet wielkiego znawcę, pana Mauricet, który mawiał o niej:

— Była zawsze brzydka, nie jest już ładna, ale to prawdziwa kobieta!

Pana Worms-Clavelin posadzono przy stole między panią Dellion a panią Laprat-Teulet, żoną senatora z \*\*\*. Pani Laprat-Teulet była to mała, blada osóbką, która wydawała się jakby okryta gazą, tak rysy jej były mdłe i miękkie. Jeszcze jako pannę nasączono ją nabożnością jak oliwą. Wydana za męża za człowieka zręcznego, który ożenił się z nią dla majątku, umartwiała się w słodkiej pobożności,

podczas gdy mąż robił interesy na antyklerykalizmie i wydalaniu zakonów. Oddawała się ciągle drobnym praktykom religijnym. Głęboko przywiązana do swego stanowiska małżonki, gdy w senacie złożono wniosek o rozpoczęcie śledztwa sądowego przeciwko Laprat-Teuletowi i kilku innym senatorom, kazała zapalić dwie świece w kościele Św. Eksuperego przed malowanym posągiem świętego Antoniego na intencję umorzenia śledztwa przeciw jej mężowi. Istotnie tak się też stało. Pan Laprat-Teulet, uczeń Gambetty<sup>89</sup>, posiadał pewne dokumenciki, których fotografie w odpowiedniej chwili przesłał ministrowi sprawiedliwości. Pani Laprat-Teulet z gorliwej wdzięczności kazała wmurować w ścianę kaplicy *ex voto* — marmurową tablicę z napisem ułożonym przez samego czcigodnego księdza Laprune: „Świętemu Antoniemu za łaskę niespodziewaną podziękowanie małżonki chrześcijańskiej”. Później pan Laprat-Teulet wybił się znowu. Dał

---

<sup>89</sup>Léon Gambetta (1838–1882) — fr. polityk, przywódca partii republikańskiej. [przypis edytorski]

poważne gwarancje konserwatystom, którzy w walce z socjalizmem zamyślali wyzyskać jego wielkie zdolności finansowe. Stanowisko polityczne pana Laprat-Teulet poprawiało się znowu — zastrzeżono tylko, aby nie przynaglał spraw gwałtownie i władzy osobiście nie chwycił w ręce. A tymczasem małżonka swymi woskowymi palcami haftowała obrusy na ołtarze.

— Jakże, łaskawa pani — zapytał prefekt po zupie — idą pani zakłady dobroczynne? Wie pani, że po pani generałowej Cartier de Chal-mot pani ze wszystkich dam departamentu przewodniczy największej liczbie instytucji dobroczynnych.

Nie odpowiedziała mu. Przypomniał sobie, że jest głucha, i zwracając się do pani Dellion rzekł:

— Może pani zechce objaśnić mnie o instytucji dobroczynnej pod wezwaniem świętego Antoniego. Przypomniała mi to ta biedna pani Laprat-Teulet. Żona moja mówiła, że ta nowa forma dewocji ma ogromne powodzenie w departamencie.

— Pani Worms-Clavelin ma rację, kochany panie. Wszystkie mamy nabożeństwo do świętego Antoniego.

Usłyszano teraz pana Mauricet, który odpowiadał panu Dellion na zabłąkane w gwarze słowa:

— Pochlebia mi pan, kochany panie. Puits-du-Roi, bardzo zaniedbane od czasów Ludwika XIV, nie może się równać z polowaniem w Valcombe. Mało tam zwierzyny. Jednak pewien wyjątkowych zasług kłusownik, imieniem Rivoire, który zaszczyca Puits-du-Roi swymi nocnymi wizytami, strzela tam sporo bażantów. A gdyby pan wiedział, co za nadzwyczajny okaz z rupieciarni służy mu za strzelbę! Jest to broń godna muzeum. Wdzięczny mu jestem, że pozwolił mi przyjrzeć się jej dokładnie. Wyobraź pan sobie...

— Zapewniano mnie, proszę pani — rzekł prefekt — że dewotki posyłają swe życzenia do świętego Antoniego w zamkniętej kopercie i że płacą należność dopiero po otrzymaniu żądanej rzeczy.

— Nie szydź pan — odrzekła pani Dellion — święty Antoni udziela wielu łask.

— ...Jest to — ciągnął dalej pan Mauricet — lufa starej fuzji odcięta i umieszczona na zawiasach tak, że można ją dowolnie przechylać...

— Myślałem — odrzekł prefekt — że specjalnością świętego Antoniego jest odnajdowanie rzeczy zgubionych.

— Dlatego — odrzekła pani Dellion — zwracają się doń z tyłu prośbami. — I dodała wzdychając: — Któż na świecie nie stracił jakiejś cennej rzeczy? Spokoju serca, spokoju sumienia, przyjaźni zawartej w dzieciństwie lub... miłości męża? Więc udaje się wtedy do świętego Antoniego.

— Lub do jego towarzysza — dodał prefekt. Dobre wina gospodarza podochociły go i w naiwności swej mieszał świętego Antoniego Padewskiego ze świętym Antonim Pustelnikiem.



— Czy ten Rivoire — zapytał pan de Terremondre — nie jest oficjalnym kłusownikiem prefektury?

— Myli się pan, panie de Terremondre — odrzekł prefekt. — Ma on daleko szanowniejszy urząd kłusownika arcybiskupstwa. Jest dostawcą stołu Jego Eminencji.

— Zgadza się także owoce swej przemyślności ofiarowywać na usługi sądu — rzekł pan prezes Peloux.

Pan Dellion i pani generałowa Cartier de Chalmot rozmawiali półgłosem.

— Kochana pani, mój syn Gustaw ma w tym roku odbywać służbę wojskową. Chciałbym bardzo, aby był pod rozkazami generała Cartier de Chalmot.

— Nie pragnij pan tego! Mój mąż jest wrogiem wszelkich protekcji i nie szafuje urlopami: chce, aby synowie dobrych rodzin dawali przykład w służbie. I zasady te wszczepił wszystkim swym pułkownikom.

— ...I lufa tej fuzji — ciągnął dalej pan Mauricet — nie zgadza się z żadnym znanym

kalibrem, tak że Rivoire może w nią kłaść tylko naboje za małe. Pojmuje pan łatwo...

Prefekt rozwijał poglądy, które miały zupełnie zjednać panią Dellion dla systemu rządów, i zakończył je tą szczytną myślą:

— W chwili gdy car przybywa odwiedzić Francję, trzeba, żeby Republika związała się bliżej z wyższymi warstwami narodu i żeby one zetknęły się z naszym wielkim sprzymierzeńcem — Rosją.

Tymczasem Noemi ze spokojem świętej zносиła manewry pana prezesa Peloux, który nogami szukał jej nóg pod stołem.

Młody Gustaw Dellion szeptał cichutko do pani de Gromance:

— Spodziewam się, że tym razem nie urządzisz mnie tak jak tego dnia, kiedyś włóczyła się z tym starym lowelasem Mauricetem, podczas gdy ja w waszym żółtym salonie nie miałem innej rozrywki niż bawienie się zegarem.

— Jakaż zacna kobieta z pani Laprat-Teulet! — zawołała pani Dellion w nagłym porywie przyjaźni.

— Przesadna! — potwierdził prefekt połykając ćwiartkę gruszki. — Szkoda tylko, że jest głucha jak pień. Mąż jej jest także znacnym człowiekiem. I bardzo inteligentnym. Z przyjemnością widzę, że zaczynają inaczej go oceniać. Przeżył on trudny okres. Wrogowie Republiki chcieli go skompromitować, żeby zniesławić rząd. Padł ofiarą intryg zmierzających do usunięcia z parlamentu przedstawicieli finansów. To obniżyłoby poziom przedstawicielstwa narodowego i byłoby godne pożałowania pod każdym względem.

Zamyślił się chwilę i dodał z melancholią:

— Zresztą, nie mogą się już zdarzać skandale, dziś już nie robi się interesów. Jest to jeden z najbardziej przykrych wyników tej kampanii oszczerczej, prowadzonej z niesłychaną śmiałością.

— Być może! — westchnęła pani Dellion w natchnieniu i zadumie.

I nagle w porywie serca rzekła:

— Panie prefekcie, oddaj nam naszych kochanych zakonników, wróć siostry miłosier-

dzia do szpitali i Boga do szkół, z których go wygnaliście! Nie broń nam robić z naszych synów dobrych chrześcijan... a wtedy porozumiemy się łatwo.

Słyszając te słowa pan Worms-Clavelin wznosił w górę nóż, na którym tkwił kawałek sera, i w szczerości ducha zawołał:

— Ależ, droga pani, czyż pani nie widzi, że ulice miasta są aż czarne od księży, że za każdym płotem roi się od mnichów? A co do pana Gucia, to przecież ja nie bronię mu choćby dzień cały chodzić na mszę zamiast latać za dziewczynami!

Pan Mauricet w gwarze głosów i śmiechów, w brzęku srebra dzwoniącego o porcelanę kończył opis nadzwyczajnej strzelby kłusownika.

Prefekt Worms-Clavelin, któremu pilno było zapalić po obiedzie, pierwszy przeszedł do sali bilardowej. Wkrótce za nim poszedł prezes Peloux. Prefekt poczęstował go cygarem.

— Bierz pan, proszę, jest doskonałe.

I na podziękowania pana Peloux odpowiedział wskazując pudełko:

— Nie dziękuj mi pan: to z cygar gospodarza.

Był to zwykły jego dowcip.

Nadszedł wreszcie i pan Dellion ze znaczniejszą liczbą gości, którzy, bardziej uprzejmi, pozostali jakiś czas z paniami. Właśnie słuchał on życzliwie pana de Gromance, tłumaczącego mu, jak konieczne jest na polowaniu ściśle ocenianie odległości.

— Na przykład zając wydaje się na nierównym terenie bardziej oddalony, podczas gdy na gruncie płaskim z odległości przeszło pięćdziesięciu metrów wydaje się, że można jeszcze do niego strzelać. To tłumaczy...

— Panie Peloux — rzekł pan Worms-Clavelin biorąc kij z postumentu — cóż, zagramy partyjkę?

Prefekt Worms-Clavelin grał świetnie w bilard, ale pan prezes Peloux nie ustępował mu w tej sztuce. Skromny rejent normandzki na skutek jakiejś przykrew sprawy z gruntami zmuszony był sprzedać swą kancelarię, lecz został mianowany sędzią w epoce, gdy Republika oczysz-

czała sądownictwo. Przerzucano go z jednego końca Francji w drugi. W trybunałach, gdzie znajomość prawa niemal zanikała, jego dawna praktyka prawnicza czyniła go pożytecznym, stosunki zaś ministerialne zapewniły mu awans. Ale niejasne pogłoski o jego przeszłości szły za nim wszędzie, świat odmawiał mu szacunku. Przemyślny rozsądek pozwolił mu znieść długotrwałe lekceważenie. Obelgi przyjmował ze spokojem. Pan Lerond, dymisjonowany podprokurator, obecnie adwokat przy sądzie w <sup>\*\*\*</sup>, mawiał o nim do kolegów w kularach sądowych: „To człowiek rozumny, który mierzy, jak daleko z jego fotela do ławy oskarżonych”. Jednak ten szacunek ogólny, o który pan Peloux się nie starał i który omijał go dotąd, nagłym zwrotem dziś przyszedł sam. Od dwóch lat sfery sądowe uważały pana prezesa Peloux za szlachetnego sędziego. Podziwiano jego odwagę, gdy, spokojny i uśmiechnięty między dwoma bladymi asesoramii, skazał na pięć lat więzienia trzech anarchistów, którzy rozdawali

w koszarach odezwy wzywające ludy do braterstwa.

— Dwanaście na cztery — zapowiedział prezes Peloux.

Dzięki długoletniej wprawie, nabytej w cichej kawiarence na zapadłej prowincji, grał jak zawodowiec, zbierał kule w kąciku bilardu, robił całe serie karamboli. Prefekt Worms-Clavelin poczynął sobie w szerszym, wznioślejszym, bardziej hazardowym stylu, w stylu artystycznych kawiarni Montmartre i Clichy. I obwiniając tutejszy stół bilardowy o niepowodzenie swych śmiałych posunięć, skarżył się na twarłość band.

— W Tuilière, u mego kuzyna Jakuba — rzekł pan de Terremondre — jest bilard datujący się z czasów Ludwika XV; stoi on w bardzo niskiej, sklepionej sali, bielonej wapnem. Można jeszcze odczytać tam napis: „Uprasza się Jaśnie Panów nie opierać kijów swych o ścianę”. Prośby tej nie słuchano wcale, bo sklepienie usiane jest mnóstwem małych, okrągłych

dziurek, których pochodzenie wyjaśnia właśnie ten napis.

Z kilku stron jednocześnie zapytano pana Peloux o szczegóły sprawy w domu królowej Małgorzaty. Zabójstwo wdowy Houssieu poruszyło całą okolicę i wzbudzało ciekawość. Nikomu nie było tajne, że silne poszlaki ciążyły na dziewiętnastoletnim czeladniku rzeźniczym, imieniem Lecoeur; widywano go dwa razy na tydzień, jak z koszykiem na głowie wchodził do domu staruszki. Wiedziano także, że trzymani są pod śledztwem, jako współnicy, dwaj terminatorzy tapicerscy w wieku od czternastu do szesnastu lat, i mówiono, że zbrodnia dokonana została w okolicznościach, które czyniły opowiadanie o niej szczególnie drażliwym.

Prezes Peloux, pytany o to, uniósł znad bilardu swą okrągłą, rudą głowę, mrugnął okiem i rzekł:

— Śledztwo jest ukończone. Odtworzono w całości scenę zabójstwa. Nie zdaje mi się, by mogła istnieć jeszcze najmniejsza wątpliwość



co do czynów rozpustnych, które poprzedziły zbrodnię i ułatwiły jej spełnienie.

Wziął kieliszek, wypił łyk armaniaku, cmoknął językiem i zawołał:

— Nektar! Aksamit!

I kiedy krąg ciekawych cisnął się do niego dopytując o szczegóły, sędzia po cichu zdradził parę okoliczności, które wzbudziły szmer zdziwienia i pomruki obrzydzenia.

— Czyż możliwe? — mówiono. — Kobieta osiemdziesięcioletnia?

— Fakt ten — odrzekł prezes Peloux — nie jest odosobniony. Wierzcie, panowie, mojemu długoletniemu doświadczeniu sądowemu. Młodzi urwisze na przedmieściach więcej wiedzą o tym od nas. Zbrodnia w domu królowej Małgorzaty jest zbrodnią znanego rodzaju, mogę powiedzieć: zbrodnią typu klasycznego. Zaraz wietrzyłem rozpustę starczą i wiedziałem bardzo dobrze, że Roquincourt, któremu powierzono śledztwo, idzie mylnym śladem. Kazał naturalnie aresztować wszystkich włóczęgów i żebraków bląkających się w obrębie kilku

mil. Wszyscy wzbudzali w nim podejrzenia; do reszty stropiło go to, że jeden z nich, Sieurin, przezwany Skowronią Nóżką, stary recydywista, przyznał się do zbrodni.

— Jak to?

— Nudził się sam w celi. Obiecano mu tytoń do fajki, jeżeli się przyzna. Przyznał się. Opowiadał wszystko, czego chciano. Ten Sieurin, trzydzieści siedem razy karany za włóczęgostwo, niezdolny jest zabić muchę. Nigdy nic nie ukradł. Jest to matolek, istota nieszkodliwa. W chwili zbrodni żandarmi widzieli go na wzgórzach Duroc; robił tam dla dzieci fontanny ze słomek i czólenka z korków.

Prezes Peloux znów powrócił do partii bilardu.

— Dziewięćdziesiąt na czterdzieści... Przez ten czas Lecoeur opowiadał wszystkim dziewczynom na ulicy Carreaux, że on to zrobił, a właścicielki domów publicznych składały u komisarza policji kolczyki, łańcuszki i pierścionki wdowy Houssieu, które rzeźnik rozdawał ich dziewczętom. Ten Lecoeur, jak tylu innych mor-

derców, sam się wydał. Ale Roquincourt, wściekły, zatrzymał Skowronią Nóżkę w areszcie. Siedzi tam jeszcze. Dziewięćdziesiąt dziewięć... i sto.

— No, no! — rzekł prefekt Worms-Clavelin.

— Zatem — szepnął pan Dellion — ta osiemdziesięcioletnia kobieta miała jeszcze... To nie do uwierzenia!

Lecz doktor Fornerol przyłączając się do zdania prezesa Peloux zapewnił, że nie jest to wypadek tak rzadki, jakby sądzić można, i zaczął rzecz tłumaczyć fizjologicznie. Słuchano go z zajęciem. Z kolei przytoczył różne wypadki zbroczeń instynktu płciowego i zakończył w ten sposób:

— Gdyby diabeł unosząc nas w powietrzu uchylił przed oczami naszymi dachy domów miejskich, ujrzelibyśmy rzeczy okropne, przerażeni bylibyśmy odkryciem wśród naszych współobywateli tylu maniaków, ludzi zwyrodniałych i szaleńców.

— Ba! — rzekł prefekt Worms-Clavelin — nie trzeba się przyglądać nazbyt z bliska.

Wzięci oddzielnie, ludzie ci są może tacy, jak pan mówi, ale razem tworzą przepyszną całość dla administracji, ludność wspaniałej stolicy departamentu.

Tymczasem senator Laprat-Teulet, siedząc na ławeczce górującej nad bilardem, głaskał swą długą, siwą brodę. Było w nim coś z majestatu rzeki.

— Ja — rzekł — mogę wierzyć tylko w dobro. Gdziekolwiek spojrzę, wszędzie widzę cnotę i uczciwość. Na licznych przykładach mogłem stwierdzić, że obyczaje kobiet francuskich, zwłaszcza w klasach średnich, od czasów Rewolucji nic nie pozostawiają do życzenia.

— Nie jestem takim optymistą — odparł pan de Terremondre — ale istotnie nie przypuszczałem, aby za swymi zbutwiałymi murami, za wąskimi oknami osnutymi zasłoną sieci pajęczych dom królowej Małgorzaty ukrywał tak haniebne tajemnice. Odwiedziłem kilka razy wdowę Houssieu; wydała mi się staruszką skąpą, nieufną, trochę słabą na umyśle, ale po-

dobną do tyłu innych! Zresztą, jak mawiano za czasów królowej Małgorzaty:

Już się nie ruszy.  
Pokój jej duszy.

Nie będzie już swoją rozpustą obrażać herbowej tarczy zacnego Filipa Tricouillard.

Na to imię z rozgorzałych twarzy buchnął wesoły śmiech. Ta tarcza emblematyczna, świadectwo potrójnej mocy seksualnej, która równała dawnego mieszczanina z wielkim kondotierem z Bergamo, była skrytą radością i dumą miasta. Mieszkańcy kochali tego dzielnego pradziada z czasów króla *Stu nowych nowel*<sup>90</sup>, swego starożytnego ławnika, Filipa Tricouillard, chociaż prawdę mówiąc znany im był tylko ze swej przyrodzonej zalety, której zawdzięczał znakomite przezwisko.<sup>91</sup>

---

<sup>90</sup>„Sto nowych nowel” (fr. *Cent nouvelles nouvelles*) — zbiór stu opowiadań, wzorowany na *Dekameronie* Boccaccia. Powstał w 1462 r. na dworze i z inspiracji księcia Burgundii, Filipa III Dobrego, autorstwo pozostaje przedmiotem sporu. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>*Mieszkańcy kochali (...) Filipa Tricouillard, chociaż prawdę mówiąc znany im był tylko ze swej przyrodzonej zalety, której zawdzięczał znakomite przezwisko*

W dalszym ciągu rozmowy doktor Fornerol przytoczył jeszcze kilka innych przykładów tej anomalii i zapewnił, że wedle niektórych pisarzy zaszczytna ta potworność przekazuje się dziedzicznie i utrwała w pewnych rodzinach. Na nieszczęście ród zacnego Filipa wygasł już od przeszło dwustu lat.

W związku z tym pan de Terremondre, jako prezes Towarzystwa Archeologicznego, opowiedział historię prawdziwą.

— Nasz archiwista departamentalny, uczony pan Mazure, na strychu prefektury odnalazł niedawno dokumenty odnoszące się do procesu o cudzołóstwo, wytoczonego właśnie w epoce Filipa Tricouillard, w końcu XV wieku, przez Jehana Tabouret przeciwko Sydonii Cloche, jego małżonce. Sydonia zrodziła trojaczki, a imć pan Jehan Tabouret przyznawał się tylko do bliźniąt i utrzymywał, że trzecie dziecko nie jest jego. Twierdził, że nie jest zdolny do spłodzenia więcej niż dwóch istot na raz. I przy-

---

— przezwisko *Tricouillard* oznacza mężczyznę o trzech jądrach (od fr. *la couille*: jądro). [przypis edytorski]

taczał dowody oparte na przekonaniu kumoszek, cyrulików i aptekarzy, którzy twierdzili, że normalna budowa człowieka nie może dostarczyć materiału na więcej niż na bliźnięta. Na tej podstawie uznano, że biedna Sydonia widocznie się puściła na boku, za co posadzono ją nagą na ośle, twarzą do ogona, i oprowadzano przez całe miasto do stawu Evés, w którym po trzykroć ją zanurzono. Kary tej nie byłaby poniosła, gdyby jej złośliwy mąż był równie szczodrze uposażony przez matkę Naturę jak nasz zacny Filip Tricouillard.

## XVII

Przed boczną furtką domu Rondonneau prefekt obejrzał się na prawo i lewo, czy czasem ktoś go nie śledzi. Podobno mówiono w mieście, iż chodzi na schadzki do domu Rondonneau i że widziano panią Lacarelle wchodzącą za nim do tego domu, zwanego domem Dwóch Satyrów. Gniewało go to bardzo. Miał jeszcze inny powód do niezadowolenia. „Liberał”,

który go długo oszczędzał, napadał nań gwałtownie z powodu budżetu departamentalnego. Pismo konserwatywne ganiło go za przenoszenie wydatków z jednej pozycji budżetu na drugą i za ukrycie wydatków na propagandę wyborczą. Prefekt Worms-Clavelin był człowiekiem wypróbowanej uczciwości. Pieniądz wzbudzał w nim szacunek i miłość jednocześnie. Przed „walorami” doświadczał takiego uczucia religijnego lęku, jaki księżyc wzbudza w psach. Miał kult dla bogactwa.

Budżet jego był bardzo przyzwoicie zrównoważony. Oprócz nieprawidłowości, które już się stały prawidłowymi na skutek złej administracji, wspólnej całej Republice, nic karygodnego nie można by w nim znaleźć. Pan Worms-Clavelin wiedział o tym. Czuł się silny w swej uczciwości. Ale niecierpliwiły go polemiki prasy. Niechęć przeciwników i nienawiść partii, które, jak sądził, udało mu się rozbroić, zasmucały jego serce. Cierpiał, że pomimo tylu ofiar nie udało mu się pozyskać szacunku konserwatystów, co w duchu wyżej stawiał niż przy-



jaźń republikanów. Należało natchnąć „Laternię” do replik zręcznych i energicznych, prowadzić polemikę żywą, może długą. Ta myśl mąciła głębokie lenistwo umysłu i niepokoiła jego rozważę, która lękała się każdego czynu jako źródła niebezpieczeństw.

Toteż był w bardzo złym humorze. Sucho zapytał pana Rondonneau, rzucając się na skórzany fotel, czy przyszedł już ksiądz Guitrel. Ksiądz Guitrel jeszcze nie nadszedł. Pan Worms-Clavelin porwał gazetę z biurka jubilera i próbował czytać paląc cygaro. Ale ani polityka, ani dym cygara nie zdołały zatrzeć ciemnych obrazów nagromadzonych w jego duszy. Oczywiście czytał, lecz myślał o napaściach „Liberala”: przenoszenie wydatków! „Nie ma pięćdziesięciu osób w mieście, które by wiedziały, co to znaczy. A widzę już wszystkich głupców w departamentach, jak trzęsą głowami i powtarzają poważne zdanie swego dziennika: Z żalem stwierdzić musimy, że pan prefekt nie zerwał z nieznośną i godną potępienia praktyką budżetową”. Popiół z cygara obficie sypał się na

kamizelkę, a prefekt myślał dalej: „Czemu napada na mnie «Liberał»? Przeprowadziłem na posta jego kandydata. W moim departamencie jest najwięcej monarchistów ugodowych na urzędach”. Przewrócił stronicę gazety. Myślał dalej: „Nie maskowałem żadnego niedoboru. Sumy przyznane przy otwarciu kredytów nie zostały wydane inaczej, niż przewidziano. Ci ludzie nie znają się na budżetach. I polemizują w złej wierze”. Wzruszył ramionami i ponury, obojętny na popiół cygara pokrywający mu piersi i kolana, pogрузił się w gazetę.

Oczy jego padły na zdanie:

„Dowiadujemy się, że wielki pożar wybuchł na przedmieściu Tobolska. Sześćdziesiąt drewnianych domów stało się pastwą ognia. Przeszło sto rodzin pozostało bez chleba i dachu”.

Czytając to prefekt Worms-Clavelin wydał okrzyk głęboki, coś jakby pomruk triumfalny, i uderzając nogą w biurko jubilera zapytał:

— Rondonneau, powiedz, Tobolsk to jakieś miasto w Rosji, nieprawdaż?

Rondonneau unosząc swą łysą głowę niewiniątka odrzekł, że istotnie Tobolsk jest to miasto w Rosji azjatyckiej.

— No więc! — zawołał prefekt Worms-Clavelin — urządzamy zabawę na rzecz pogorzalców z Tobolska.

I dodał przez zęby:

— Urządzą im zabawę rosyjską. Będę miał spokój przez sześć tygodni, a oni tymczasem przestaną gadać o budżecie.

W tej chwili ksiądz Guitrel, z kapeluszem pod pachą, rozglądając się niespokojnie, wszedł do magazynu jubilera.

— Czy ksiądz profesor wie — rzekł prefekt — że na ogólne żądanie zezwalam na urządzenie koncertów, przedstawień galowych, bazarów dobroczynnych itd. na korzyść pogorzalców z Tobolska? Spodziewam się, że Kościół przyłączy się do tych zabaw dobroczynnych.

— Kościół, panie prefekcie — odrzekł ksiądz Guitrel — ma ręce pełne pociech dla strapionych, którzy się doń zwracają. I bez wątpienia jego modły...

— Ale, ale, księżę profesorze, sprawy księdza nietęgo idą. Wracam z Paryża. Widziałem kilku przyjaciół z ministerstwa wyznań i przywożę złe nowiny. Przede wszystkim jest was osiemnastu.

— Osiemnastu?...

— Osiemnastu kandydatów na biskupstwo w Tourcoing. W pierwszym rzędzie ksiądz Olivet, proboszcz jednej z najbogatszych parafii Paryża, kandydat kancelarii prezydenta. Następnie ksiądz Lavardin, wikariusz generalny w Grenoble. Ten jest bardzo wyraźnie popierany przez nuncjusza.

— Nie mam zaszczytu znać księdza Lavardin, ale nie sądzę, by był kandydatem nuncjatury. Być może, że nuncjusz ma swego wybrańca. Ale z pewnością wybraniec ten pozostanie nieznanym. Nuncjatura nie zabiega nigdy o swoich protegowanych. Raczej każe ich sobie narzucać.

— Ho, ho, sprytni oni są tam w nuncjaturze!

— Panie prefekcie, nie wszyscy ludzie są tam znakomici sami przez się, ale mają za sobą długotrwałe tradycje i postępują wedle reguł wielowiekowych. A to jest siła, panie prefekcie, wielka siła.

— Do licha, pewnie! Mówiłem więc, że są kandydaci prezydenta i nuncjatury. Jest jeszcze kandydat naszego arcybiskupa. Z początku głośzono i ja sam myślałem, że to ksiądz... Myliliśmy się, mój drogi przyjacielu, założę się, że nie zgadnie ksiądz nigdy, kto jest protegowanym Jego Eminencji kardynała Charlot.

— Proszę się nie zakładać, panie prefekcie, proszę się nie zakładać. Jestem pewny, że kandydatem Jego Eminencji kardynała arcybiskupa jest jego wikariusz generalny, ksiądz de Goulet.

— Skąd ksiądz wie o tym? Ja tego nie wiedziałem.

— Panie prefekcie, nieobce jest panu pewnie, że Jego Eminencja obawia się, by mu nie dodano koadiutora, i że ten lęk jest zmorą jego starości, zresztą tak dostojnej i pogodnej.

Boi się on, żeby ksiądz de Goulet nie ściągnął — że tak powiem — na siebie nominacji, a to ze względu na swe osobiste zasługi jako też ze względu na nabytą znajomość spraw diecezji. Poza tym Jego Eminencja tym bardziej pragnąłby jak najrychlej rozstać się ze swym wikariuszem generalnym, księdzem de Goulet, gdyż z rodu należy on do szlachty okolicznej i temu zawdzięcza pewną świetność, którą Jego Eminencja czuje się dotknięty. Och, Jego Eminencja powinien by się raczej radować, że jest synem uczciwego rzemieślnika, który jak święty Paweł uprawiał rzemiosło tapicera!

— Czy ksiądz wie, że mówią również o księdzu Lantaigne? Jest on protegowanym generałowej Cartier de Chalmot. A generał Cartier de Chalmot, choć klerykał i reakcjonista, jest bardzo szanowany w Paryżu. Mają go za najzdolniejszego i najinteligentniejszego spośród generałów dywizyjnych. Jego poglądy w chwili obecnej raczej pomagają nam, niż szkodzą. Przy rządzie koalicyjnym konserwatyści otrzymują, co chcą. Są potrzebni, są podporą rządu.

Przy tym dzięki przymierzu z Rosją i przyjaźni cara arystokracja i armia odzyskały w naszym narodzie część swego dawnego prestżu. Chcemy nadać Republice pewną wytworność i dobre maniery. Nadto zaznacza się pewna ogólna tendencja ku utrwaleniu władzy. Nie zdaje mi się jednak, by ksiądz Lantaigne miał wielkie widoki. Przede wszystkim dałem o nim bardzo nieprzychylnie informacje. Przedstawiłem go gdzie należy jako wojującego monarchistę. Zwróciłem uwagę na jego nieprzejednanie i zły charakter. A co do księdza, kochany książę Guitrel, nakreśliłem obraz sympatyczny. Podniosłem umiarkowanie księdza, giętkość, zmysł polityczny, szacunek dla instytucji republikańskich.

— Bardzom wdzięczny za tę życzliwość, panie prefekcie. I co panu odpowiedziano?

— Chce ksiądz wiedzieć? A więc powiedziano mi: „Znamy ich, tych kandydatów w rodzaju pańskiego Guitrela. Raz mianowani, gorszą się od innych. Okazują jeszcze więcej gorliwości przeciwko nam. To jest zrozumiale. Mu-

szą więcej uzyskać, żeby ich partia więcej im wybaczyła”.

— Czyż być może, panie prefekcie, żeby władza tak źle o nas sądziła?

— Tak, tak! Mój znajomy w ministerstwie powiedział mi jeszcze: „Nie lubię kandydatów na biskupstwa, którzy okazują za wiele przywiązania do naszych rządów. Gdyby mnie słuchano, wybierano by spomiędzy innych. Że do służby świeckiej, politycznej wybiera się urzędników najbardziej życzliwych, najbardziej przywiązanych do systemu rządu, to słuszne. Ale nie ma księży przywiązanych do Republiki. I wobec tego daleko zręczniejsze jest wybierać najuczciwszych”.

I prefekt, rzucając na środek pokoju niedopałek cygara, skończył słowami:

— Widzi ksiądz, kochany księżu Guitrel, że nietęgo idą księdza sprawy.

Guitrel szepnął:

— Nie widzę, panie prefekcie, nie rozumiem, dlaczego te słowa mogły wywołać u pa-



na to wrażenie... mogły zniechęcić... Ja, przeciwnie, czerpałbym z nich... nadzieję...

Pan prefekt Worms-Clavelin zapalił cygaro i rzekł ze śmiechem:

— Kto wie, czy nie mają racji w ministerstwie... Ale uspokój się, kochany księże profesorze, ja księdza nie opuszczam. Obliczmy razem, kogo mamy za sobą?

Uniósł lewą rękę, żeby liczyć na palcach.

Obaj zaczęli się zastanawiać.

Znaleźli senatora departamentu, wygrzebującego się właśnie z kłopotów, w które wpadł po ostatnich skandalach, znaleźli jednego dymisjowanego generała, polityka, publicystę i finansistę, biskupa Ekbatany, dosyć znanego w świecie sztuki, i Teofila Mayera, przyjaciela ministrów.

— Ależ, kochany księże Guitrel — zawołał prefekt — ksiądz ma za sobą samą hołotę.

Ksiądz Guitrel znosił takie facecje, ale ich nie lubił. Spojrzał na prefekta z miną zasmuconą i ściągnął swe wąskie, wygięte wargi. Pan Worms-Clavelin, który nie był złośliwy, poza-

łował swej porywczności i postanowił uspokoić starego kapłana:

— No, no, to nie jest znów protekcja najgorsza. Zresztą, moja żona jest za księdzem. A Noemi potrafi zamianować biskupa!

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/w-cieniu-wiazow>

Tekst opracowany na podstawie: Anatol France, Historia współczesna, wyd. Czytelnik, Warszawa 1956.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: Jules & Jenny@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0217-9

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska,  
ANATOLE FRANCE *W cieniu wiązów* 299  
KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę